WYCHOWANIE PUBLICZNE W ANGLII

WEDŁUG ŹRÓDEŁ ANGIELSKICH I NIEMIECKICH

opracował

Teofil Krasnosielski.

I.

Charakter narodowy Anglików.—Konserwatyzm i zmysł do reform.—Religijność i tolerancya.—Zamiłowanie wolności indywidualnéj i poszanowanie autorytetu.—Charakter angielski w związku ze szkolnictwem.—Trudność obeznania się ze szkołami angielskiemi.—Literatura traktująca o szkolnictwie angielskiém.—Dzieło Wiesego.

Nie ma w Europie narodu tak oryginalnego jak Anglicy. Ich charakter, obyczaje, urządzenia publiczne, sztuka i literatura, wszystko to nosi na sobie cechę oryginalną, narodową. Tak i wychowanie publiczne w Anglii jest na wskroś narodowém i całkiem odmiennćm od wychowania na stałym lądzie, gdyż powstało i rozwinęło się zupełnie samodzielnie, odpowiednio do charakteru, potrzeb i dążności narodu angielskiego i zgodnie z jego ogólnym rozwojem historycznym. Szkolnictwo angielskie nie jest bynajmniéj naśladownictwem obcych form i metod, lecz we wszystkiém, w starém i nowém, w złém i dobrém, jest niezaprzeczoną własnością narodu angielskiego; datuje się też ono nie od dzisiaj i nie od wczoraj, lecz jest wynikiem długiego, kilkowiekowego rozwoju. Dlatego to konserwatyzmowi angielskiemu, jak na innych tak i na tém polu, niezmiernie trudno rozstać się z tém, z czém się wszyscy zżyli, co wszyscy polubili, chociażby duch czasu stanowczo domagał się zmian i postępu.

Dziwny bo téż, powiedzmy lepiéj, podziwienia godny charakter narodowy Anglików.

Wszystko cokolwiek w życiu prywatném i publiczném zostało uświęcone zwyczajem i tradycyą, chociażby było przestarzałém i niedorzeczném—„the dear old absurdities"—jak się Anglicy wyrażają, niejedno co przez narody stałego lądu oddawna zostało zburzone, zapomniane lub złożone do muzeów archeologicznych, w Anglii pielęgnuje się i przechowuje z poszanowaniem, z wytrwałością a nawet z zaciętością prawdziwie anglo-saksońską.

Jednakże pomimo tak wielkiego zamiłowania do rzeczy starych, w żadnym znowu narodzie nie znajdujemy tak głębokiego pojmowania potrzeb kraju, takiego zmysłu do reform, jak u Anglików. Dość przypomnieć sobie wielkie i małe reformy, przeprowadzone w Anglii w bieżącém stuleciu, jako to: zniesienie niewolnictwa, emancypacyą katolików, reformę praw wyborczych i wiele innych, aby powziąść przekonanie, że ten w wysokim stopniu konserwatywny naród z równą wytrwałością, z jaką przechowuje wszelką staroświetczyznę, i z większą jeszcze energią dobija się polepszenia téjże. Zdaje się to być paradoksem, a jednakże tak jest. Tradycya historyczna jest w Anglii tak silną, że wszelkie zmiany i reformy przeprowadzają się tylko na gruncie historycznym, t. j. że nigdy nie zrywa się wręcz i stanowczo z przeszłością, nie przerzuca się z jednéj ostateczności w drugą, lecz buduje i poprawia się w związku z tém, co się historycznie wyrobiło, tak iż we wszystkich gałęziach działalności angielskiéj nie ma nic oderwanego lub historycznie niezrozumiałego. „Wszystko tu jest stare i wszystko jest nowe," powiedział król pruski Fryderyk Wilhelm IV, zwiedzając uniwersytet w Oksfordzie, a te piękne słowa można zastosować do całéj Anglii, tego klasycznego kraju konserwatyzmu i reform.

W samém przeprowadzeniu reform konserwatyzm Anglików przedstawia się we właściwém świetle. Jak tylko okaże się rzeczywista potrzeba reformy, odzywa się to w prasie, to w literaturze, to na mityngach, bez których w Anglii nic się obejść nie może, najprzód kilka głosów, potém coraz więcéj, odzywają się téż i głosy przeciwne; następnie, gdy agitacya ogarnie kraj cały, sprawa przechodzi do parlamentu, gdzie zwykle po kilkakrotnie bywa odrzucaną, aż nareszcie, gdy przeważna większość narodu okaże się przychylną projektowanéj reformie, zostaje przyjętą i wykonaną. Tak to rozumnie, oględnie i z uwzględnieniem prawdziwych potrzeb kraju przeprowadzono wszystkie reformy w Anglii, a charakter całéj polityki angielskiéj można nazwać konserwatywnym liberalizmem, gdyż wszędzie i w wielkich i w małych sprawach, obok niewzruszonego spokoju i wytrwałości widzimy niestrudzoną działalność i postęp.

Oprócz zamiłowania przeszłości cechują Anglików, zgodnie z ich konserwatywnym charakterem: głęboka religijność, wielkie zamiłowanie wolności indywidualnéj i samorządu, oraz duch korporacyjny i asocyacyjny.

Anglicy w przeciwieństwie do indyferentyzmu, panującego na stałym lądzie, są narodem wysoce religijnym: w Anglii nie tylko lud, lecz i wyższe klasy społeczeństwa zasady moralności czerpią przeważnie w religii, dlatego téż każdy członek jednéj z licznych sekt, panujących tamże, przejęty jest niekłamaném przywiązaniem do swojéj religii i gotów jest ponosić wszelkie ofiary dla niéj. Lecz z drugiéj strony nic nie jest tak obcém charakterowi angielskiemu, jak fanatyzm religijny; dlatego téż nigdzie tolerancya religijna nie jest tak wielką, jak w Anglii, o czém świadczy najlepiéj istnienie tylu sekt, z których każda ma zagwarantowaną zupełną swobodę wyznania, posiada swoje zagwarantowane prawa. Anglik tedy, ponieważ sam jest głęboko religijny, umié także uszanować uczucia religijne drugiego, a ponieważ sam namiętnie kocha swoję wolność indywidualną, przeto szanuje także tak wolność jak i zdanie osobiste drugiego, tak prawa pojedyńczych osób, jakotéż i przywileje całych korporacyj.

Z drugiéj znów strony z zamiłowaniem wolności indywidualnéj łączy się w charakterze angielskim poszanowanie władzy, autorytetu, tak w życiu domowém jak w szkole, tak w kościele jak w państwie. Nie tylko rząd i organa rządowe, nie tylko kościół i jego słudzy, lecz i ciała uczone, znakomitości naukowe, polityczne i wojskowe, doznają szacunku i posłuszeństwa. I to także zdaje się być paradoksem, a jednakże objaśnia się bardzo prosto zamiłowaniem dobra powszechnego. Wiedzą o tém dobrze Anglicy, że bez poszanowania władzy sprawa publiczna ostać się nie może, a dobro ogółu szwankować będzie; dlatego téż z zaparciem się wolności osobistéj chętnie poddają się kierownictwu wyższemu. Ale i władza w Anglii umié uszanować i wolność indywidualną obywateli i życzenia większości narodu, w żadnym téż kraju opinia publiczna nie jest tak potężną jak w Anglii, żadnemu téż mężowi stanu, nawet najpopularniejszemu, nie przyjdzie na myśl iść naprzekór opinii publicznéj.

Gdy zaś autorytet występuje jako zasada lub prawo, natenczas Anglicy poddają mu się jeszcze chętniéj, a przynajmniéj z mniejszém przezwyciężeniem własnéj godności i ambicyi, gdyż wtedy nie przypuszczają wcale samowoli osobistéj, lecz mają na względzie wyższe, historyczne lub etyczne motywa. W Anglii może więcéj jak w innym kraju poszanowanie prawa jest w poczuciu i samowiedzy

narodu; tam bowiem każdy od pierwszéj młodości uczy się przezwyciężać samego siebie, sprawy osobiste stawić niżéj od publicznych, samowolę i indywidualność podporządkować dobru powszechnemu. Tym sposobem w Anglii panuje pomyślna równowaga pomiędzy wolnością i władzą, szczęśliwe porozumienie pomiędzy rządzącymi i rządzonymi, istnieje największy liberalizm obok najwyższéj lojalności.

Streszczając charakterystykę narodu angielskiego bez przesady możemy powiedzieć, że charakter angielski jest prawdziwie szczęśliwém juste milieu wszelkich krańcowych ostateczności, jest palladyum prawdziwéj wolności, zadatkiem i źródłem pomyślnego rozwoju wszystkich sił materyalnych, umysłowych i moralnych narodu (1).

Zresztą wszystkie te dobre strony charakteru angielskiego powszechnie są znane, lecz należało przypomnieć je tutaj, gdyż bez nich niepodobna zrozumiéć historyi szkolnictwa angielskiego, zwłaszcza obecnego ruchu na tém polu, oraz samego charakteru wychowania publicznego. Szkolnictwa bowiem, jak każdéj instytucyi narodowéj, zwłaszcza w kraju z tak wybitną narodowością jak Anglia, nie zrozumié się inaczéj, jak tylko w związku z charakterem narodu, z jego religią, z jego życiem publicznem i domowém.

Zapoznać się atoli ze szkolnictwem angielskiém nie jest rzeczą tak łatwą, jakby się zdawać mogło.

Najprzód dlatego, że jak do rodziny tak i do szkoły angielskiéj, wyjednać sobie wstęp niełatwo; zakłady bowiem naukowe, a zwłaszcza téż szkoły wyższe, nie zależą od nikogo jak tylko od swych bezpośrednich zwierzchników i od nich téż należy uzyskać

---

(1) Wiese (Deutsche Briefe über englische Erziehung II, 6) wspominając o wyspiarskiém odosobnieniu Anglików, o ich oryginalnym charakterze narodowym, o rozlicznych formach konwencyonalnych, z któremi tak trudno zapoznać się cudzoziemcowi, powiada: ,,Anglia jest krajem kontrastów, a wydać sprawiedliwy i trafny sąd o Anglikach jest bardzo trudno. Cudzoziemiec obserwujący ich uważnie, im dłużéj zabawi w kraju, tém więcéj będzie ostrożnym i tém dłużéj zwlekać będzie z wydaniem stanowczego sądu. Można być pewnym, że na ogólnikowe zdanie o charakterze narodu odpowiedzą ci niezbitemi dowodami, że rzecz ma się zupełnie przeciwnie. Tego którego dziś uważasz za bardzo trzeźwego i praktycznego człowieka, jutro może będziesz uważał za idealistę. Z nieograniczonem poszanowaniem wolności osobistéj łączą Anglicy wielkie poszanowanie prawa. Nieraz w przedsięwzięciach swoich przy wielkiém wyrachowaniu zdają się być fantastami. Ileż to razy słyszéć musieli Anglicy od cudzoziemców, że nie znają polityki bezinteresownéj, kierującéj się szlachetnemi pobudkami, że gorące współczucie dla innych ludów jest im obce, że wszystko, zanim się do nich dostanie, musi przebyć morze i ostudza się po drodze: i oto widzimy w narodzie zapał nieopisany dla oswobodzenia chrześcian na Wschodzie od jarzma tureckiego i t. d.“ (było to pisane w r. 1876).

pozwolenie zwiedzenia szkoły. W tym zaś względzie zwierzchnicy angielscy, z wyjątkiem Szkocyi, nie są tak liberalni, jak np. dyrektorowie szkół w Niemczech i we Francyi, i jeżeli przy pomocy dobréj rekomendacyi nie bez wielkiéj trudności pozwolą obejrzéć szkołę, to za to rzadko dozwalają obcemu być obecnym na lekcyach.

Następnie niemałą trudność w zapoznaniu się ze szkołami angielskiemi stanowi nadzwyczaj skomplikowana i całkiem odmienna od naszéj klasyfikacya tychże. W szkołach angielskich panuje taka rozmaitość i różnorodność, taki brak jednolitości i systemu, taki prawdziwy chaos, jak sami Anglicy przyznają, iż o klasyfikacyi według naszych pojęć i mowy być nie może, albowiem co szkoła, to inny program, inna metoda, inna zwierzchność, inna nazwa i charakter szkoły (np. wyznaniowa lub bezwyznaniowa, zostająca pod kontrolą rządu lub niezależna i t. p.). Częstokroć (zwłaszcza w Szkocyi) trudno nawet zdecydować, czy szkoła jest elementarną, średnią lub wyższą, czy należy ją uważać za specyalną, czy za ogólną i t. d.

Taka rozmaitość i niesystematyczność tłómaczy się brakiem wszelkiéj centralizacyi na polu zwłaszcza średniego i wyższego szkolnictwa. Nam mieszkańcom stałego lądu, przywykłym do centralizacyi rządowéj, dziwném się wyda, że w Anglii dotąd nie ma centralnéj władzy czyli ministeryum oświecenia, któreby nadawało jednolity kierunek całemu wychowaniu publicznemu i dążyło do wyrobienia jednostajnego systemu szkolnego (1). W Anglii bowiem, zgodnie z ogólną ideą państwową i zupełnie w duchu słynnego selfgovernementu, wychowanie uważało się zawsze za rzecz prywatną, zupełnie tak jak wiele innych spraw, które na stałym lądzie podlegają władzy i inicyatywie rządowéj. Ludzie téż prywatni, gminy i korporacye zakładali i zakładają szkoły według swego upodobania lub stosownie do potrzeb miejscowych, albo w interesie pewnéj społeczności. Dopiéro w ostatnich czasach rząd zdołał osiągnąć znaczny wpływ na wychowanie ludowe, wpływ, który zresztą okupuje wielkiemi ofiarami pieniężnemi, wszystkie zaś szkoły średnie i wyższe są zupełnie niezależne od rządu.

Nadto, tak w czasach dawniejszych jak i obecnych, szkoła pozostaje w ścisłym związku z kościołem, czyli raczéj z licznemi

(1) Po kilkakrotnie, a mianowicie w r. 1856, 62, 68 i 74 był w parlamencie postawiony wniosek co do ustanowienia ministeryum oświecenia, lecz za każdą razą odrzucony znaczną większością głosów. Jest to jednakże, sądząc z tego, co już zrobiono na polu wychowania ludowego, tylko kwestya czasu.

kościołami, istniejącemi w Anglii, z których każdy szkole, służącéj jego celom, nadaje wybitny charakter wyznaniowy. Ztąd, jak również z przywilejów i statutów, w które wiele szkół z czasów dawniejszych i nowszych jest zaopatrzonych, powstaje tak wielka rozmaitość i taka mięszanina starego i nowego, że w wielu razach wypadałoby opisywać każdą szkołę z osobna.

Wreszcie zwrócić należy uwagę i na to, że obecnie w Anglii dla szkolnictwa jest czas przejściowy, że po wielu latach zastoju rozpoczął się zwłaszcza od r. 1870 wielki ruch na tém polu. Wszystkie kwestye, poruszone w różnych krajach na stałym lądzie, tyczące się szkolnictwa i zostające w ścisłym związku z ogólnym rozwojem kultury nowożytnéj, zajmują także w wysokim stopniu i w Anglii nie tylko pedagogów, lecz także rząd, parlament, prasę, cały naród. Do takich kwestyj spornych należą w zakrésie szkół elementarnych: przymus szkolny i wolność osobista, bezpłatność nauczania i opłata szkolna, bezwyznaniowość i wykład religii w szkole, stosunek państwa i kościoła do szkół, wychowanie dziewcząt, oddzielenie szkół ogólnych od specyalnych i t. p. Kwestya szkoły średniéj, mającéj zastąpić lukę pomiędzy szkołą elementarną a wyższą, zarówno interesuje Anglików jak w innych krajach. Czy wykształcenie realne jest lepsze od klasycznego, jaką wartość posiada język łaciński dla wykształcenia, w jakim zakrésie i w jakich szkołach ma być wykładany, w któréj klasie należy rozpocząć wykład języków starożytnych, te i tym podobne kwestye są obecnie w Anglii na porządku dziennym. Nawet kwestya wakacyj szkolnych i reforma ortografii angielskiéj żywo zajmuje umysły. Wiele jeszcze czasu upłynie, zanim na wszystkich stopniach wychowania publicznego w Anglii nastąpi jednolity system i pewna stała organizacya.

Wszystkie te trudności, powyżéj dotknięte, odbijają się także w literaturze traktującéj o szkolnictwie angielskiém. We wszystkich dziełach, tak angielskich jak innych, napisanych o tym przedmiocie, widać pewien zamęt, niejasność i niepewność, obok mnóstwa szczegółów brak nici przewodniéj, brak przedewszystkiém pewnéj klasyfikacyi, który to niedostatek wypływa naturalnie z saméj natury przedmiotu. Zdawaćby się mogło, że o przedmiocie najlepiéj znanym Anglikom i najbliżéj ich interesującym, w literaturze angielskiéj znajdziemy najdokładniejsze wiadomości. Zdanie takie po części jest uzasadnioném. Najprzód bowiem od lat więcéj jak trzydziestu nagromadziło się niezmiernie wiele materyału, głównie statystycznego, w raportach rozmaitych komisyj wyznaczonych przez parlament do zbadania stanu szkół w W. Brytannii i Irlandyi. Następnie i właściwa literatura pedagogiczna w tymże czasie znacznie się wzbogaciła, że

przytoczymy tylko takich pisarzy jak Tomasz Arnold, Kay Shuttlerworth, Whewell, Denison Maurice, Horace Mann i t. d.; oprócz tego powstało dużo czasopism, wydawanych przez towarzystwa pedagogiczne i przez zakłady naukowe. Jednakże pisarze angielscy, piszący dla publiczności obeznanéj z przedmiotem, nie zwracają uwagi na wiele rysów charakterystycznych, a dla nas właśnie najciekawszych—rysów, których zresztą częstokroć przy subjektywném i jednostronném zapatrywaniu się autorów, i trudno im się dopatrzéć. Dla tego téż większą dla nas wartość posiadają dzieła zagranicznych pisarzy, traktujących przedmiot objektywnie i umiejących więcéj od Anglików pochwycić rysy charakterystyczne. Tu przedewszystkiém zasługują na uwagę pisarze niemieccy. Niemcy w ogóle, przy swéj uniwersalnéj dążności, wiele zajmują się innemi narodami, szczególniejszą zaś sympatyą czują do Anglików, jako do swoich współplemieńców, z upodobaniem piszą o ich historyi, literaturze, konstytucyi. I rzeczywiście Anglicy w tym względzie zawdzięczają Niemcom wyborne prace, może najlepsze w swym rodzaju, że przytoczymy tylko dzieła Rankego, Gneista i Pauliego. Tak i o szkołach angielskich Niemcy pisali dość dużo, jak: Huber, Voigt, Schacht, Schöll, Wagner, Wiese. O ostatnim pisarzu wypada nam słów kilka powiedziéć.

Dr. Ludwik *Wiese* jest znakomitym współczesnym pisarzem niemieckim, zasłużonym pedagogiem i urzędnikiem. Był on początkowo nauczycielem gimnazyalnym, następnie dyrektorem alumnatu przy jedném z gimnazyów berlińskich, w końcu (aż do r. 1876) referentem do spraw gimnazyów protestanckich w pruskiém ministeryum oświecenia. Sprawując przez 24 lat ostatni urząd, wydał historyczno-statystyczne opisanie wyższego szkolnictwa w Prusach, oraz zbiór przepisów odnoszących się do tegoż od najdawniejszych czasów aż do r. 1875. W r. 1850 odbył Wiese podróż do Anglii i Szkocyi w celu zapoznania się ze szkołami angielskiemi. Owocem téj podróży było dzieło: Deutsche Briefe über englische Erziehung (Berlin 1850), które wówczas zwróciło na siebie powszechną uwagę tak w Niemczech jak w Anglii, doczekało się trzech wydań i zostało przetłómaczone na język angielski. W r. 1876 Wiese odbył w tymże celu drugą podróż do Anglii i wydał zaraz po powrocie pod takim samym tytułem drugą część swego dzieła (Berlin 1877 r.). Treść obydwóch książek jest wogólności ta sama, tj. charakterystyka szkół angielskich, zwłaszcza wyższych. Jednakże w pierwszéj części autor głównie rozwodzi się nad wewnętrznem urządzeniem, wykładem przedmiotów szkolnych i wartością szkół wyższych, gdy w drugiéj najwięcéj zajmuje się zewnętrzną organizacyą i zmianami, zaszłemi

od czasu pierwszego pobytu autora w Anglii. Tym sposobem jedna książka poniekąd uzupełnia drugą; pierwsza daje nam obraz wyższéj szkoły angielskiéj przed 27 laty, druga—teraźniejszéj. Pierwsza tedy serya „listów Niemca o wychowaniu angielskiém,“ ogłoszona przez autora bez zmiany, posiada dzisiaj więcéj historyczne, albo—jak sam autor utrzymuje—pedagogiczne znaczenie, gdyż jest ona rzeczywiście bardzo pouczającą, zwłaszcza dla nauczyciela gimnazyalnego. Zresztą, przy znanym konserwatyzmie Anglików, szkoły angielskie, zwłaszcza wyższe, nie wiele się zmieniły od tego czasu, a jeżeli nastąpiły zmiany, to tyczą się one więcéj strony zewnętrznéj, duch zaś i kierunek szkół pozostał wogóle ten sam, tak iż to, co autor napisał przed 27 laty, pod wieloma względami i dziś jeszcze jest uzasadnioném. Oprócz tego obie serye listów Wiesego stanowczo różnią się tendencyą, a mianowicie: w pierwszéj podnosi autor tylko same dobre strony szkół angielskich, zachwyca się młodzieżą i nauczycielami, wychwala duch panujący w wyższych zakładach naukowych, a będąc sam konserwatystą i żarliwym protestantem, przejęty jest najwyższą czcią dla charakteru narodowego Anglików i dla ich uczuć religijnych; natomiast w drugiéj części, chociaż nie cofa poprzednich pochwał, to przecież wyraża się chłodniéj i oględniéj oraz wytyka liczne usterki szkolnictwa angielskiego, karci fałszywe drogi, na których pozostaje lub na które w ostatnich czasach wstąpiło, i udziela Anglikom rozlicznych rad w duchu centralizacyi pruskiéj. Wypadki polityczne ostatnich lat nie pozostały także bez wpływu na poglądy autora. W r. 1850 autor, podnosząc duch i poczucie narodowe, znamionujące tak Anglików w ogólności, jak i młodzież angielską, z nietajonym żalem ubolewa nad rozprzężeniem, niemocą, bezbarwnością narodową Niemców; w książce zaś z r. 1877 przebija się w formie dość skromnéj i poważnéj duch podniesiony Niemca dumnego z osiągniętych wielkich zdobyczy politycznych. Autor obrał formę listów dla tego, ażeby—jak sam powiada—nie krępować się w kreśleniu swoich wrażeń, ażeby nie być zmuszonym systematycznie i szczegółowo opisać szkolnictwo angielskie, co wcale nie było jego zamiarem. Jest to zatém obraz szkół angielskich w ogólnych zarysach, chociaż niesystematyczny i niedokładny, to w każdym razie bardzo trafny i zajmujący. Przedmiot bowiem nie tylko przedstawiony jest z wielką znajomością rzeczy, jakiéj naturalnie od takiego specyalisty należało się spodziéwać, lecz nadto ze stanowiska wyższego, znamionującego człowieka wysoce ukształconego, oraz w formie powabnéj i ożywionéj.

II.

Wychowanie elementarne. Stan wychowania elementarnego w wiekach poprzednich. Robert Raikes i szkoły niedzielne. Bell i Lancaster. Towarzystwa w celu krzewienia oświaty ludowéj: „brytańskie“ i „narodowe.“ Pierwsze wsparcie rządowe dla szkół elementarnych w r. 1833. Komitet edukacyjny w r. 1839 i trudne położenie rządu w obec opinii publicznéj. Stan oświaty ludowéj i położenie socyalne niższych klas około r. 1845. Partye w sprawie oświaty ludowéj: „voluntary“ i „compulsory party“. „Religious difficulty.“ Wydział edukacyjny w r. 1856. Zwrot w opinii publicznéj. Akt edukacyjny z r. 1870 i 1876.

Jak w innych krajach, tak i w Anglii aż do początku bieżącego stulecia mało troszczono się o *oświatę ludową* (1). Wprawdzie jeszcze w r. 1698 założone „towarzystwo dla krzewienia wiedzy chrześcijańskiéj“ w programie swym pomieściło także oświatę ludową i do połowy 18 wieku założyło około 1.600 szkółek, a w wieku przeszłym Wesley, założyciel sekty Metodystów czyli Weslejańczyków, starał się gorliwie o krzewienie oświaty wśród swoich współwyznawców; jednakże były to tylko pojedyńcze usiłowania, które nie zdołały zwrócić uwagi powszechnéj na ważność sprawy. Pod koniec przeszłego stulecia Robert *Raikes* założył w Gloucester pierwszą szkołę niedzielną, a w wydawanym przez siebie „Gloucester Journal“ tak gorąco i tak umiejętnie propagował sprawę oświaty ludowéj, że w r. 1785 zawiązało się towarzystwo w celu popiérania szkół niedzielnych.

Był to właściwie początek na drodze racyonalnego krzewienia i powszechnego zajęcia się oświatą ludową.

Jednakże już wówczas pokazały się wszystkie wielkie trudności i przeszkody, które i dziś jeszcze mniéj lub więcéj ma Anglia do zwalczenia.

Przedewszystkiém, pomijając opozycyą zacofanych, którzy oświatę ludu uważali za niepotrzebną a nawet za szkodliwą—wielką prze-

---

(1) „Wychowaniem narodowém“ (national education) nazywają Anglicy oświatę ludową—piękna zaiste nazwa, lecz w rozumieniu i zwykłém użyciu Anglików nie ma ona tego znaczenia, jakie właściwie mieć powinna, tj. wychowanie w duchu narodowym i kształcenie narodowości przez wychowanie, lecz znaczy oświatę niższych, biedniejszych klas ludności. Takie znaczenie ma to słowo zwłaszcza wtedy, gdy się mówi o szkołach „narodowych“ lub systemie „narodowym“ w Irlandyi; w Angiii zaś wyrażenia te oprócz powyższego mają jeszcze specyalniejsze znaczenie, a mianowicie oznaczają szkoły, zostające pod kierunkiem towarzystwa „narodowego“ i kościoła anglikańskiego. Wychowanie i szkoły elementarne nazywają także w Anglii, jak we Francyi *primary* education, primary albo elementary schools, średnie zaś i wyższe *secondary*.

szkodę w przeprowadzeniu powszechnéj oświaty ludowéj stanowiły różnice religijne, czyli tak zwana w Anglii *religious difficulty*. Wiadomo, że w Anglii oprócz kościoła anglikańskiego (zwanego także episkopalnym albo panującym) istnieje wiele innych sekt protestanckich czyli „denominacyi“ (denominations). Pomiędzy kościołem anglikańskim a dyssydentami (dissenters) panuje wielkie współzawodnictwo i nieufność na polu oświaty ludowéj, któréj to nieufności główną przyczyną jest wykład religii w szkołach ludowych, uczęszczanych po większéj części przez dzieci różnych wyznań. Kościół anglikański bowiem pragnie utrzymać naukę religii w szkole, a więc oprócz biblii wykład katechizmu, naturalnie zgodnie z dogmatami tego kościoła, czyli żąda szkoły wyznaniowéj, dyssydenci zaś są za szkołą bezwyznaniową albo świecką (secular), tj. z obawy, aby dzieci ich nie przejęły zasad anglikańskich, pragną albo zupełnie usunąć naukę religii ze szkół, pozostawiając ją rodzicom i duchowieństwu każdego wyznania, albo ograniczyć ją tylko do czytania biblii (1). Dodajmy do tego zabiegi katolików, nie tylko w Irlandyi, lecz i w Anglii i Szkocyi, około utrzymania w szkole swobody swego wyznania, a będziemy mieli pojęcie, z jakiemi trudnościami każda niemal szkółka wówczas, a po części i dziś jeszcze, ma do czynienia.

Następnie, niemałym hamulcem był brak wszelkiego kierownictwa i jednolitego działania. Kierunku w sprawie oświaty ludowéj nie mógł przyjąć na siebie ani kościół, ani państwo. Kościół dlatego, że sam, jakeśmy widzieli, rozpadał się na wiele nieprzyjaznych sobie sekt, z których żadna, nie wyłączając kościoła panującego, nie posiadała ani tyle powagi, ani tyle zaufania, iżby inne w téj ważnéj sprawie poddać jéj się chciały. Również i państwo, czyli rząd nie mógł przyjąć kierownictwa, gdyż opinia publiczna wówczas wręcz była temu przeciwną. Anglicy bowiem, uważając wychowanie jako rzecz prywatną i nieprzymusową, wszelką inicyatywę rządu w téj sprawie uważaliby jako naruszenie wolności indywidualnéj i samorządu. Pozostawali tedy ludzie prywatni, gminy, oddzielne korporacye religijne—wszyscy działający na własną rękę i w swoim wyłącznym interesie, bez wyższych ogólnych celów, bez jednolitego planu i systemu.

---

(1) Szkołą „wyznaniową“ nazywamy w niniejszéj pracy taką, w któréj jest wykład religii, „bezwyznaniową,“ w któréj wykładu religii nie ma, albo w któréj tenże ograniczony tylko do czytania biblii.

Wreszcie, największą przeszkodą w urzeczywistnieniu powszechnéj oświaty ludowéj, był na początku bieżącego stulecia dotkliwy brak nauczycieli. Temu brakowi jednakże zaradzono, przynajmniéj na czas pewien, tak zwaną metodę „monitorów,“ zwaną także metodą Bella i Lankastra, zasadzającą się na tém, że starsi i lepsi uczniowie (monitorzy) pod kierunkiem nauczyciela dozorują i uczą młodszych i słabszych kolegów, tak iż przy pomocy kilku lub kilkunastu monitorów można obyć się jednym nauczycielem nawet w szkole liczącéj kilkuset uczniów. Wynalazcą téj metody był Andrzéj *Bell*, który ją najprzód wypróbował w Madras w Indyach Wschodnich, gdzie przez czas długi był duchownym anglikańskim, nauczycielem i przełożonym przytułku dla siérot, a następnie po powrocie do Anglii w r. 1797 i tutaj starał się ją rozpowszechnić. Równocześnie wystąpił z takąż metodą Józef *Lancaster*, należący do sekty Kwakrów, który w krótkim czasie, przy pomocy ludzi wpływowych i samego króla Jerzego III, założył wiele szkół według swéj metody.

Dwaj ci mężowie dali pośrednio pochop do założenia dwóch dla oświaty ludowéj niezmiernie ważnych towarzystw, a mianowicie: w r. 1805 przy współudziale Lancastra zostało założone, a od r. 1814 otrzymało prawa korporacyjne „towarzystwo szkolne brytańskie i zagraniczne“ (British and foreign school society), mające na celu zakładać i wspiérać szkoły ludowe. Towarzystwo to, założone przez dyssydentów, przyjęło zasadę ogólno-chrześciańską, z wyłączeniem wszelkich odcieni wyznaniowych, tak iż w szkołach wspiéranych przez toż towarzystwo nauka religii zasadzała się tylko na czytaniu i uczeniu się na pamięć biblii, bez wszelkich objaśnień. Ten mało wyznaniowy charakter szkół dyssydenckich, a więcéj jeszcze obawa coraz więcéj wzrastającéj działalności towarzystwa brytańskiego wywołała ze strony stronników kościoła anglikańskiego, zwłaszcza duchowieństwa tego wyznania, w r. 1811 przy współudziale Bella towarzystwo szkolne, mające służyć wyłącznie interesom tegoż kościoła, pod nazwą „towarzystwo narodowe dla krzewienia śród biednych oświaty w zasadach kościoła panującego“ (National society for promoting the education of the poor in the principles of the established church), które do szkół swoich oprócz biblii wprowadziło także i naukę katechizmu, naturalnie według zasad kościoła anglikańskiego.

Oba te towarzystwa, z których pierwsze dla krótkości nazwiemy „brytańskiém,“ drugie—„narodowém,“ otrzymując środki materyalne to z funduszów kościelnych, to ze składek dobrowolnych, to

z zapisów, poczęły w szlachetném współzawodnictwie krzewić oświatę ludową. Ogromne sumy pieniędzy, jakie tylko w kraju tak bogatym i tak hojnym jak Anglia zebrać można, posłużyły do założenia wielu tysięcy szkół, tak iż, gdy na początku bieżącego stulecia dzieci niższych stanów nie pobiérały prawie żadnéj nauki, to w r. 1833 w całéj W. Brytannii i Irlandii było 19.230 wszelkiego rodzaju szkół elementarnych, do których uczęszczało 674.883 dzieci, nie licząc szkół niedzielnych, do których chodziło 1.558.890 dzieci, a liczba dzieci uczęszczających do szkoły w stosunku do całéj ludności była wówczas jak 1 do 11.

W tym téż czasie, który w ogóle był epoką wielkich reform, nastąpił w sprawie oświaty ludowéj stanowczy krok ze strony rządu. W r. 1832 z inicyatywy Broughama (1), Russela i innych wyznaczono komisyą parlamentarną dla zbadania stanu całego szkólnictwa, a w roku następnym *po raz pierwszy* wyznaczono z decyzyi parlamentu wsparcie rządowe w ilości 20.000 funtów szt. (120.000 rs.) dla saméj Anglii i Walii, oprócz tego dla Szkocyi 10.000 f. na zapomogę szkołom ludowym, głównie na budowę domów szkolnych. Stanowisko rządu było wówczas dosyć trudne pod względem rozdziału powyższéj sumy pomiędzy pojedyńcze szkoły, najprzód dlatego, że—ponieważ nie istniało ani ministeryum oświecenia, ani żadną inna władza edukacyjna—rząd przeto żadnych zgoła nie miał stosunków ze szkołami; następnie zaś dlatego, że tak episkopalni jak i dyssydenci rościli sobie przeważne, jeżeli nie wyłączne, prawo do wsparcia rządowego. Dlatego rząd, pragnąc obie strony zadowolnić, w r. 1833 i w latach następnych rozdzielił pieniądze pomiędzy dwa towarzystwa szkolne, narodowe i brytańskie, jako przedstawiające interesa głównych partyj kościelnych. Tym sposobem jednakże rząd nie tylko nie wywierał żadnego wpływu i nie miał kierownictwa nad szkołami, ale nawet nie posiadał żadnéj kontroli nad sumami wyznaczonemi przez parlament.

Rząd tedy przyszedł do tego przekonania, że konieczną jest pewna centralna władza dla szkół niższych, władza, któréj nie mógł zastąpić ani kościół, ani samorząd hrabstw i gmin, ani towarzystwa

---

(1) Lord Brougham (ur. 1779. um. 1868), jeden z koryfeuszów partyi Whigów, świetny mówca i znakomity mąż stanu, już od r. 1816 występujący na korzyść oświaty ludowéj, pragnął, „ażeby prawo z zamkniętéj księgi stało się żywą literą, aby z wyjątkowéj posiadłości bogatych przeszło także na własność biednych, aby obosieczny miecz prawa w ręku ucisku i podstępu stał się podporą uczciwego i tarczą uciśnionego.“ Dlatego to zwrócił on główną uwagę na oświatę ludową, jako na podstawę dobrego i sprawiedliwego rządu.

szkolne. Dlatego w r. 1839 za ministeryum Whigów pod prezydencyą Greya przez rozkaz królewski *po raz pierwszy* ustanowioną została wyższa władza edukacyjna pod nazwą: „komitet edukacyjny rady tajnéj“ (Committee of the Privy council on education). Zadaniem tego komitetu edukacyjnego było przedewszystkiém kontrolować użycie sum, wyznaczonych przez parlament, a także przez osobnych na ten cel wyznaczonych inspektorów rozpostrzéć pewną kontrolę nad temi szkołami, które pobiérają wsparcie rządowe, przyczém wyraźnie nadmienić wypada, że szkoły, nieotrzymujące wsparcia, pozostały zupełnie niezależnemi od rządu.

Jakkolwiek władza komitetu była bardzo ograniczona—była to bowiem nie władza, wypływająca z prawa, lecz raczéj dobrowolna umowa pomiędzy rządem a szkołami chcącemi pobiérać wsparcie, to przecież samo ustanowienie tegoż wywołało silną opozycyą i w narodzie i w parlamencie. Przedewszystkiém zarzucano, że komitet, składający się z członków rady tajnéj królewskiéj, do któréj oprócz ministrów wchodzi także wielu innych dostojników, nie jest władzą odpowiedzialną przed parlamentem, jak ministerya, ani téż wydziałem jakiegobądź odpowiedzialnego ministeryum, jest zatém władzą nieparlamentarną. Wprawdzie komitet składa corocznie parlamentowi obszerne sprawozdania ze swych czynności, ale wskutek masy materyału sprawozdania te zaledwie powierzchownie bywają przejrzane i zwykle ryczałtowo potwierdzone. Następnie z przyczyny wiadomego upodobania Anglików do samorządu, z niedowierzaniem i niechęcią przyjęto tę nową władzę, któréj celem była centralizacya w rękach rządu tak ważnéj sprawy, jak oświata ludu. Wreszcie największą przyczynę niechęci stanowiła „religious difficulty“. Wszystkie wyznania były niezadowolone, wszystkie protestowały przeciw ustanowieniu nowéj władzy: biskupi anglikańscy dlatego, że inspektorowie szkolni mieli być mianowani zupełnie niezależnie od nich, przez co kościół anglikański mógł być pozbawionym wszelkiego wpływu na szkołę; niektórzy zbyt gorliwi „Churchmeni“ (tj. członkowie kościoła anglikańskiego) zwrócili nawet rządowi pieniądze poprzednio pobrane na szkoły, ażeby w obec rządu nie mieć żadnych zobowiązań; wreszcie dyssydenci byli niezadowoleni, ponieważ od kontroli rządowéj obawiali się naruszenia swobody religijnéj w szkole!

Przy takim nastroju opinii publicznéj i przy różnorodnych interesach partyj łatwo sobie wystawić, jak trudném było stanowisko utworzonego w r. 1839 komitetu edukacyjnego. Rząd znalazł się w prawdziwym kłopocie, co zrobić z sumą 30.000 f., uchwaloną wówczas przez parlament, gdyż nikt nie chciał pod warunkami po-

stawionemi przez rząd przyjąć pieniędzy! Nie pozostało tedy rządowi nic innego, jak na razie ustąpić biskupom anglikańskim: z ich potwierdzeniem mianowano dwóch inspektorów i wynaleziono szkoły, które zgodziły się przyjąć pieniądze.

Pomimo tak silnéj opozycyi i pomimo tak słabego stanowiska rządu w téj kwestyi ministrowie ówcześni kusili się nawet o rozszerzenie władzy rządu na całe wychowanie publiczne, tak ministeryum Whigów pod prezydencyą Melbournea (1837—41) jak i ministeryum Torysów pod prezydencyą Roberta Peela (1841—46), naturalnie przedwcześnie i nadaremnie; do upadku ostatniego niemało nawet przyczyniły się te centralistyczne zachcianki.

Tymczasem rokrocznie przy zatwierdzeniu sumy żądanéj na wsparcie szkół, rząd musiał staczać w parlamencie zacięte walki z opozycyą, wysłuchiwać i zbijać te same, rokrocznie powtarzające się skargi na nielegalność, centralizacyą i t. p. Mianowicie w r. 1847 za ministeryum Whigów pod prezydencyą Russela spór pomiędzy parlamentem a rządem był nadzwyczaj naprężonym, gdyż przeciwnikom centralizacyi rządowéj przybył nowy argument: w roku poprzednim zwyciężył system wolnego handlu, uważano przeto za rzecz niesprawiedliwą i niekonsekwentną tamować wolną konkurencyą na polu wychowania, kiedy ją uznawano na innem polu. Jednakże rząd wytrwał na swojém stanowisku, a każdy nowy gabinet przejmował w téj kwestyi politykę poprzedniego. Dzięki téj wytrwałości nie tylko corocznie uzyskano od parlamentu zatwierdzenie sumy coraz większéj, ale nawet z każdym rokiem mnożyli się w parlamencie i w narodzie zwolennicy centralizacyi rządowéj na polu wychowania ludowego, co więcéj, odzywały się nawet głosy na korzyść wprowadzenia przymusu szkolnego (1). Najczynniejszymi szermierzami wychowania ludowego obok wspomnianych już Broughama i Russela byli wówczas Cobden i Macaulay. Ostatni w r. 1847 wypowiedział w parlamencie mowę na korzyść wychowania ludowego pod opieką państwa, któréj argumenta, powtarzane przez innych mówców przy późniejszych debatach nad tą kwestyą, były następujące: „naród i państwo powinny być zabezpieczone od skutków ciemnoty, każde dziecko ma prawo do nauki, nawet wbrew woli i niedbalstwa rodziców; z trzech czynników, wchodzących w téj kwestyi w rachubę, jakiemi są: ojciec, dziecko i państwo, ojciec nie może sam rozstrzygać sprawy oświaty swego dziecka, każde zaś dziecko, zrodzone w Anglii, jest spadkobiercą praw, przysługujących wszystkim mie-

---

(1) Rzecz ciekawa, że już Milton był zwolennikiem przymusu szkolnego.

szkańcom W. Brytannii, lecz stać się uczestnikiem tych praw może tylko przez oświatę, którą państwo powinno mu zabezpieczyć.“

Jednakże w tym czasie, t. j. przed laty 30 w Anglii jeszcze ani słuchać nie chciano o owém straszydle nazwaném „compulsory system,“ które według zdania Anglików mogło być dobrém dla Prus, lecz nie dla Anglii; nawet lord Brougham, żarliwy przyjaciel oświaty, był mu przeciwnym, a Robert Peel ostrzegał przed systemem, który narusza wolność osobistą rodziców i wolność religijną. Tylko niektórzy przywódcy liberałów, jak Fox, Roebuck i przedewszystkiém Russel byli stanowczo za przymusem szkolnym.

Tymczasem sprawa oświaty ludowéj wcale nie posuwała się naprzód: wprawdzie istniało już wówczas wiele szkół, w wielu okolicach, w których była obfitość środków, było ich może nawet za wiele, gdy w innych panowała straszna ciemnota i nieodłączna od niéj—nędza. Prawdziwie przerażający obraz ówczesnego stanu socyalnego klas niższych w Anglii kréśli Kay Shuttlerworth (w dziele: The social condition and education of the people in England and Europe 1850). Około ośmiu milionów ludzi nie umiało wówczas w Anglii i Walii czytać ani pisać, więcéj jak połowa dzieci od 5 do 14 lat nie uczęszczała do szkoły, od r. 1835 do 1846 wydano z kas rządowych na wsparcie biédnych przeszło 57 milionów f., nie licząc w to ofiar prywatnych, a pół miliona f. wydawano rocznie po roku 1846. Stan szkół ludowych tenże Kay kréśli w bardzo jaskrawych kolorach: „wszędzie brak kierunku i dozoru, a przedewszystkiém brak uzdolnionych nauczycieli; zbyt często bowiem, zwłaszcza po wsiach i w miasteczkach obowiązki te wypełniają stare kobiéty lub mężczyzni, niezdolni do jakiegobądź innego zawodu; w braku odpowiedniego lokalu, szkoły mieszczą się częstokroć w kuchniach, piwnicach, stajniach lub na poddaszach; w wielu szkółkach wiejskich dla braku ławek, dzieci muszą stać w czasie lekcyj; o książkach i przyrządach szkolnych nie ma nawet co mówić.“ W takim stanie rzeczy zdawało się, iż tylko energiczna inicyatywa rządu będzie w możności zaradzić złemu; sam Kay żąda koniecznie współdziałania i kontroli rządowéj oraz przymusu szkolnego. Jednakże usiłowania rządu w celu uregulowania oświaty ludowéj na drodze prawodawczéj okazały się wówczas daremnemi, gdyż różnice stronnictw politycznych i religijnych w téj kwestyi były jeszcze zbyt wielkie, a żadne stronnictwo nie mogło dla swoich wniosków uzyskać w parlamencie absolutnéj większości głosów; mianowicie zaprowadzenie ogólnego podatku szkolnego i powszechnego obowiązku uczęszczania do szkoły po kilkakrotnie było odrzucane.

W ogóle jak w kwestyach religijnych i społecznych, tak i w kwestyi oświaty ludowéj istniały wówczas i istnieją jeszcze po dziś dzień dwie wielkie partye. Partya „wolna“ (voluntary party, voluntary system), jak w sprawach kościelnych i społecznych tak i w sprawie oświaty ludowéj odrzuca wszelki udział rządu. Wychowanie bowiem według ich zdania nie należy do sfery państwowéj, lecz do praw i obowiązków rodziców, którym téż w tym względzie należy pozostawić zupełną swobodę (permissive system). Jeżeli zaś odjąć rodzicom prawo wolnego wyboru w wychowaniu dzieci, natenczas węzły rodzinne znacznemu ulegną osłabieniu, a przez to i państwo, czerpiące w rodzinie główną swą siłę, niemałą poniesie stratę. Monopol państwowy w zakrésie wychowania stanie się wkrótce martwym mechanizmem, gdyż brak mu będzie podniety ze strony konkurencyi prywatnéj. Pod względem politycznym monopol rządowy grozi wolności i niezależności Anglików, albowiem przezeń wielka część obywateli, nie tylko cały legion nauczycieli, ale po części i rodzice, posyłający dzieci do szkoły i należący przeważnie do najbiédniejszych klas ludności staną się zależnymi od rządu. Obok rodziców kościół i gmina mają prawo i obowiązek zająć się oświatą swych członków w duchu takim, jaki uważają za najodpowiedniejszy, w szkołach zaś rządowych wypadałoby albo religią zupełnie wyłączyć, albo téż narzucić wszystkim wyznaniom ten sam katechizm. Jedno i drugie jest niedobre, a jeżeli religii niepodobna oddzielić od wychowania, to łożyć fundusze państwowe na cele religijne, jest wręcz przeciwne zasadom niektórych dyssydentów. Gorliwi znów Churchmeni obawiają się, aby rząd, mający uwzględnić interesa licznych wyznań, z czasem nie był zmuszonym przejść do szkoły zupełnie bezwyznaniowéj, albo mało wyznaniowéj, na co w żaden sposób zgodzić się nie chcą, gdyż bez religii nie pojmują wychowania. Wreszcie, konkludują wszyscy przeciwnicy wychowania państwowego, Anglia tyle zawdzięcza działalności i ofiarności prywatnéj na innych polach i tyle już zrobiono dla oświaty ludowéj, że w przyszłości można się spodziéwać jak najlepszych rezultatów.—Partya przeciwna, t. j. partya wychowania przez i pod kierunkiem państwa, a zarazem po części hołdująca przymusowi szkolnemu (compulsory system), biorąc na uwagę to, że dotychczasowe usiłowania korporacyj i osób prywatnych, jakkolwiek zasługujące na wszelkie uznanie, nie osiągnęły i nigdy nie osięgną takich rezultatów, jakich dopięto w krajach najwięcéj cywilizowanych stałego lądu, w których właśnie kierownictwo znajduje się w rękach rządu, że natomiast stan oświaty i moralności niższych klas w Anglii jest prawdziwie przerażający, przeto obowiązkiem jest państwa, nie tamując bynajmniéj usiłowań

prywatnych, silną dłonią uchwycić ster wychowania ludowego, nadać temuż kierunek i systematyczność.

Co do wykładu religii-religious difficulty—jedni chcą koniecznie mićć ściśle wyznaniową szkołę, pragną tedy, aby oprócz biblii wykładano także katechizm według zasad każdego wyznania. Do téj „wyznaniowéj“ (local denominational party) należą przedewszystkiém torysi i kościół anglikański, który w szkołach towarzystwa narodowego, zostających pod jego opieką, ściśle utrzymuje zasadę wyznaniową. Pośrednie stanowisko zajmuje towarzystwo brytańskie, w którego szkołach czytają biblię oraz uczą ogólnych zasad chrystyanizmu, na które wszystkie sekty się zgadzają (christianity without sectarianism). Wreszcie partya bezwyznaniowa albo „świecka“ (secular party), do któréj głównie należą liberalni, żąda zupełnego wykluczenia ze szkoły nauki religii.

Wśród takiego zamętu zdań i życzeń, przy tak różnorodnych interesach partyj rząd nie mogąc, jak wyżéj wzmiankowano, nic przeprowadzić na drodze parlamentarnéj, zmuszony był znowu uciec się do rozporządzeń administracyjnych. W r. 1856 za ministeryum koalicyjnego, do którego należeli Russel i Palmerston, przez rozkaz gabinetowy utworzoną została dotąd istniejąca wyższa władza edukacyjna pod nazwą *Wydział edukacyjny rady tajnéj* (Education department of the privy council), składający się z dwóch sekcyj, z których jednę stanowił dotychczasowy „komitet edukacyjny,“ drugą zaś „wydział politechniczny“ (Department of science and art), należący dotąd do ministeryum handlu.—Komisya parlamentarna wyznaczona w r. 1858 do zbadania stanu szkół w W. Brytannii i Irlandyi, dopiéro w r. 1861 ogłosiła obszerne sprawozdanie w sześciu woluminach, w którém większość komisyi pochwaliła kooperacyą rządu, lecz oświadczyła się przeciwko przymusowi szkolnemu. W tymże roku przedstawiony został parlamentowi i potwierdzony przez obie izby „Nowy kodeks przepisów szkolnych“ (Revised albo New code of regulations) (1).

W następnym dziesiątku lat nastąpił wreszcie stanowczy zwrot opinii publicznéj w kwestyi oświaty ludowéj. Gdy bowiem z raportów rządowych i ze sprawozdań komisyj parlamentarnych okazało się, że tak pod względem ilości jak i jakości szkoły elementarne nie

(1) Wszystkie przepisy wydane przez komitet edukacyjny do r. 1858 zawarte są w „starym“ kodeksie (Old Code of Regulations), ustawa zaś z r. 1870 zawarta jest w „Revised new code.“

tylko nie rozwijają się, ale nawet tu i owdzie upadają, to coraz więcéj poczęło szerzyć się przekonanie, że tylko silne kierownictwo rządu może zaradzić złemu. To też przy tak zmienionym prądzie opinii publicznéj rząd odważył się na krok stanowczy. W r. 1870 za ministeryum Whigów pod prezydencyą Gladstonea, głównie za staraniem Forstera, który wówczas był prezesem Wydziału edukacyjnego i Brucea, który był sekretarzem tegoż wydziału, została potwierdzoną przez parlament nowa ustawa dla szkół elementarnych *Elementary education Act*, stanowczo oddająca rządowi kierunek i zwierzchnictwo nad wychowaniem elementarném. Ta nowa ustawa, do któréj rokrocznie, zwłaszcza przez „Act“ z r. 1876, dodawano uzupełnienia i objaśnienia, jest obecnie obowiązującą dla Anglii, Walii i Szkocyi (1) i dlatego wypada nam bliżéj się z nią zapoznać.

III.

Wydział edukacyjny.—Inspektorzy szkolni.—Wsparcie rządowe. „Payement by results.“—Warunki rządu przy udzielaniu subwencyi: „trained, certificated, registrated teachers.“—Rady szkolne. — Przymus szkolny. — Podatek i opłata szkolna.—„Religious difficulty.“ — Szkoły „rządowe,“ i „wolne.“—Kontrola Rady szkolnéj nad szkolami wolnemi.—Uwagi ogólne nad Ustawą z r. 1870—6.

Najwyższą władzą dla szkół ludowych jest *Wydział edukacyjny rady tajnéj*, który, jak już wyżéj wzmiankowano, nie jest ani osobném, ściśle odpowiedzialném w obec parlamentu ministeryum oświaty, ani wydziałem jednego z innych ministeryów, lecz wydziałem rady tajnéj królewskiéj, do któréj oprócz ministrów należy także wielu innych dostojników. Na czele Wydziału edukacyjnego stoi nominalnie lord prezydent rady tajnéj (obecnie książę Richmond), zarazem nominalnie odpowiedzialny w obec parlamentu, rzeczywistym zaś zwierzchnikiem jest wiceprezydent (obecnie wicehrabia Sandon); oprócz tego stałymi członkami Wydziału są: minister spraw wewnętrznych, kanclerz skarbu i 3—4 innych członków. Czynności biurowe załatwiają sekretarze i kancelarya. Wydział, jak wyżéj wspomniano, składa się z dwóch sekcyj, z których pierwsza zajmuje się wyłącznie sprawami szkół elementarnych.

---

(1) Nie jest zaś obowiązującą dla Irlandyi, jak o tém będzie niżéj.

Sekcya druga czyli „Wydział politechniczny“ ma na celu: krzewienie przemysłu z pomocą środków dostarczanych przez naukę i sztukę. Wydział wspiéra przeto wszelkie szkoły techniczne, dostarczając im środków naukowych, oraz urządza inspekcye tychże szkół, odbywa egzamina, wydaje świadectwa, naznacza nagrody itd., nadto popiéra naukę rysunków, zwłaszcza technicznych, tak w osobnych szkołach rysunkowych, jako téż w seminaryach nauczycielskich i w szkołach elementarnych. Do zarządu tegoż wydziału należy szkoła górnicza, muzeum zoologiczne w Londynie, muzeum przemysłowe w Edynburgu, zakłady techniczne w Dublinie i przedewszystkiém słynne muzeum przemysłowe w Londynie, zwane *Kensington Museum* (założone w r. 1857); z ostatniém jest połączona bardzo pożyteczna stała wystawa przedmiotów do użytku szkoły służących.

W sekcyi 1-éj najważniejsza czynność przypada *inspektorom szkolnym* czyli „królewskim“ (Her Majesty's Inspectors), których obecnie jest w Anglii 102, w Szkocyi 18; dziesięciu z nich pobiéra 700 f. rocznéj pensyi, inni od 200 do 600 f. Inspektorowie ci obowiązani są zwiedzać jak najczęściéj (przynajmniéj raz na rok) powierzone ich kontroli szkoły i zdawać Wydziałowi bardzo szczegółowe raporta o stanie tychże, z których Wydział układa bardzo obszerne sprawozdanie, przeznaczone dla królowéj i dla parlamentu. Jednakże kontrola inspektorów, a więc i Wydziału edukacyjnego rozciąga się tylko do tych szkół, które otrzymują wsparcie rządowe, zwane właściwie „parlamentarném“ (parliamentary grant), wszystkie bowiem szkoły, które nie otrzymują wsparcia, są niezależne od inspekcyi i kontroli rządowéj.

System angielski jest kooperatywny, t. j. rząd nie utrzymuje całkowicie ani jednéj szkoły, lecz tylko przychodzi w pomoc gminom i korporacyom, na które spada główny ciężar utrzymania szkoły. Wsparcia rządowe bywają udzielane: na budowę nowych gmachów szkolnych, na kupno książek i aparatów, na dodatek do pensyi nauczyciela, na utrzymanie pomocników nauczycieli i seminarzystów, wreszcie na nagrody pieniężne dla uczniów i uczennic.

To ostatnie jest to zwyczaj czysto angielski, w żadnym innym kraju, o ile wiém, nieistniejący, a mający na celu zachęcić dzieci do regularnego uczęszczania do szkoły i do pilności za pomocą pieniędzy. Jeszcze w r. 1853 na wniosek Russela przyjęte zostały przez parlament tak zwane „capitation grants,“ albo „payement by results“ t. j. przyznanie nagrody pieniężnéj (5 szylingów czyli 10 złp.) dla każdego dziecka uczęszczającego pewną ilość dni w roku do szkoły, naturalnie do szkoły zostającéj pod inspekcyą rządową.

Z początku te wynagrodzenia przeznaczone były tylko dla gmin wiejskich, jako najbiédniejszych, a ilość dni obowiązkowego uczęszczania do szkoły była 192, późniéj 170 w ciągu roku. Już w r. 1854 pobiérało takich „grants“ w saméj Anglii blisko 23.000 dzieci (t. j. 33 proc. wszystkich dzieci uczęszczających do szkół zostających pod kontrolą rządową) w wysokości 6.000 funtów szt., w r. 1855 przeszło 10.000 f. (36 proc. dzieci), a w r. 1856, kiedy to rozporządzenie rozciągnięto i do Szkocyi, wydano dla obydwóch krajów 40.000 f. (1). Kodeks z r. 1861 i 70 zatwierdził to postanowienie, lecz żąda od uczniów oprócz regularnego uczęszczania do szkoły także i dobrych postępów. Uczniowie według rezultatu egzaminu, odbytego przed inspektorem, dzielą się na 6 kategoryj (standards): do pierwszéj należą ci, którzy jako tako umieją pisać, czytać i rachować, do drugiéj ci, którzy już posiadają pewne wiadomości z gramatyki, jeografii i historyi, do następnych czterech ci, którzy w tychże przedmiotach posiadają stopniowo coraz wyższe wiadomości. Ci, którzy okażą najlepsze postępy w każdéj kategoryi i którzy najregularniéj uczęszczali do szkoły, otrzymują nagrody pieniężne.

Całéj téj manipulacyi nie można nazwać inaczéj jak tylko bardzo nieszczęśliwym pomysłem. „Payement by results,“ jako środek paljatywny, mogło przynieść pewną korzyść przed 25 laty, wówczas kiedy zamiłowanie do oświaty jeszcze nie było rozbudzone w narodzie i kiedy jeszcze wcale nie było przymusu szkolnego, lecz dziś kiedy przymus szkolny jest obowiązującym prawie dla połowy ludności (zob. niżéj) i kiedy rząd dąży do przeprowadzenia tegoż w całym kraju, jest ono niepraktyczném, albowiem takiemi zewnętrznemi środkami z pewnością nie podniesie się oświaty ludowéj, a i cała manipulacya jest zbyt zawiłą i skomplikowaną, wymagającą dużo kontroli, egzaminów, schematów i t. d. Wreszcie, co najważniejsza, podsycanie gorliwości rodziców i dzieci za pomocą pieniędzy jest środkiem niemoralnym, mogącym wpłynąć szkodliwie na moralność jednych i drugich: sami Anglicy skarżą się na to, że obecnie jedynym bodźcem w wychowaniu elementarném są pieniądze („the money has become the sole test of success in elementary school teaching.“)

---

(1) Nie posiadam dokładnych wiadomości, jaką sumę rząd na ten cel obecnie wydaje, ale musi ona być znaczną, gdy niedawno dla Londynu przez jeden rok wydano poważną sumę 6.085 f. Pieniądze otrzymane dzieci składają zwykle w kasach oszczędności.

Stanowisko rządu w obec szkół elementarnych jest obecnie bez porównania korzystniejsze, aniżeli przed 40 laty, kiedy rząd był zmuszony prawie prosić, aby zechciano przyjąć pieniądze rządowe; dziś rząd szkole, żądającéj wsparcia, stawia swoje warunki, z których najważniejszym jest ten, aby szkoła posiadała wykwalifikowanego nauczyciela, t. j. takiego, który albo ukończył seminaryum nauczycielskie (trained teacher), albo zdał odpowiedni egzamen i otrzymał odpowiedni patent (certificated teacher). Wyjątkowo tylko mogą być dopuszczeni inni, zwłaszcza starsi nauczyciele, którzy położyli już pewne zasługi i dali dowody doświadczenia pedagogicznego, czyli tak zwani „registered“ albo „registrated teachers;“ jednakże szkoły, posiadające nauczycieli ostatniéj kategoryi, mogą otrzymywać tylko jednorazowe wsparcie na budowle i materyały szkolne. Inne warunki rządu są następujące: ażeby szkoła poddała się inspekcyi rządowéj, ażeby nauczyciel pobiérał pewne minimum pensyi stałéj od gminy lub korporacyi utrzymującéj szkołę (o czém niżéj); wreszcie, ażeby postępy uczniów i ogólny stan szkoły był zadawalniającym.—Warunki te mają tę wielką niedogodność, że właśnie szkoła najbiédniejsza i najwięcéj potrzebująca wsparcia nie jest w stanie ich wypełnić; albowiem nie posiadając odpowiednich środków nie może pozyskać wykwalifikowanego, lepiéj płatnego nauczyciela; nie może téż wyznaczyć temuż minimum żądanéj przez rząd pensyi, a obywając się gorszym nauczycielem nie może wykazać zadawalniających postępów uczniów. Rząd jednakże obstaje przy swoich warunkach, pomimo opozycyi i niechęci z wielu stron, wychodząc z téj zasady, że warunków tyczących się nauczycieli, już i tak kilkakrotnie złagodzonych, nie można jeszcze więcéj obniżać, ażeby nie demoralizować stanu nauczycielskiego; że system przyjęty jest kooperatywnym, nie zaś systemem zupełnego wychowania państwowego; że przeto wsparcie rządowe nie jest przeznaczone dla wszystkich szkół bez względu na jakość tychże, lecz ma służyć bodźcem dla nauczycieli, gmin i korporacyj, ażeby pragnąc pozyskać wsparcie, starali się miéć dobrą szkołę.

Nad ścisłém wypełnieniem warunków rządowych czuwać mają inspektorzy, lecz, co wyraźnie nadmienić należy, nie mają oni prawa mięszać się do spraw szkoły, wydawać polecenia, robić uwagi i t. p., lecz tylko zdawać raporta Wydziałowi edukacyjnemu z tego co widzieli i słyszeli, czyli innemi słowy, władza ich nie jest wykonawczą, lecz tylko kontrolującą, chociaż naturalnie, mając w swym ręku wsparcie rządowe, pośrednio wywierają znaczny wpływ na szkołę.

Natomiast bezpośrednia władza nad szkołą należy do Rady szkolnéj zwanéj *School-board* (1). Instytucya ta jest zupełnie w duchu parlamentaryzmu angielskiego, a nawet ma wspólne i niedogodności tegoż. W celu wprowadzenia w życie Ustawy z r. 1870 podzielono kraj na okręgi szkolne (School-districts), z których na Anglią i Walią przypada 80 (z tych 10 na Londyn), na Szkocyą 13. W każdym okręgu tworzą się Rady szkolne, składające się z 3, 5, 9 lub 12 osób, mające czuwać nad pomyślnym rozwojem szkół elementarnych. Rady te, których w Anglii i Walii w roku zeszłym było już około 1500, powstają z wyborów. Każdy obywatel, albo obywatelka (2), płacący podatki, posiada prawo głosowania i wybiéralności na urząd honorowy niepłatny członka School-Board'u. Przed wyborami ma miejsce agitacya wyborcza, a same wybory czyli ukonstytuowanie Rady połączone jest ze znacznemi wydatkami dla kandydatów, zupełnie jak przy wyborach do parlamentu (3). W małych miastach i po wsiach Rady szkolne mogą być zastąpione przez rady miejskie lub opiekuńcze. Rada szkolna może być rozwiązana przez Wydział edukacyjny, jeżeli nie posiada w swoim okręgu żadnéj szkoły, lub jeśli w tymże okręgu wychowanie zkądinąd należycie jest zabezpieczone.

Rady szkolne przedewszystkiém starają się o wzniesienie lub poprawienie gmachów szkolnych, ku czemu oprócz wsparcia rządowego otrzymują także pozwolenie zaciągnięcia pożyczki i prawo nałożenia nadzwyczajnego podatku w swoim okręgu. W tym względzie Rady w ogóle świetnie spełniły swoje zadanie, albowiem za ich staraniem w ostatnich latach stanęło wiele gmachów szkolnych, które pod względem rozmiarów, praktyczności, hygieny, smaku i komfortu nic nie pozostawiają do życzenia.—Następnie Rady troszczą się o dostarczenie szkołom wykwalifikowanych nauczycieli, o zakładanie i podtrzymywanie seminaryów nauczycielskich.

---

(1) „Board"—„rada, komisya, wydział," jest w Anglii popularna nazwa dla wszelkiéj władzy administracyjnéj (oficyalna nazwa jest commission albo office), podczas gdy „Court" oznacza władzę sądową.

(2) Tym sposobem kobiéty w Anglii w wyborach do Rad szkolnych są postawione zupełnie na równi z mężczyznami, podczas gdy w wyborach municypalnych (od r. 1869) mają tylko prawo głosu, nie zaś wybieralności, a w wyborach do parlamentu nie posiadają nawet prawa głosowania, gdyż bil wniesiony w téj sprawie w parlamencie w r. 1875 został odrzucony tylko większością 35 głosów, pomiędzy którémi znajdowali się—Gladstone i Disraeli.

(3) W Glasgowie np. pierwsze wybory do Rady szkolnéj kosztowały 10.000 funtów!

Dopiéro, mając gmach szkolny i nauczyciela, można pomyśléć o zapełnieniu szkoły uczniami. W tym względzie ważną jest kwestya przymusu szkolnego, w któréj to kwestyi zdania w Anglii i dziś jeszcze bardzo są podzielone. Ultrakonserwatywni dzisiaj najgorliwiéj szermują przeciw przymusowi szkolnemu, uważając go jako naruszenie praw rodzicielskich, wolności indywidualnéj, odstąpienie od tradycyj angielskich itd. Przeciwnie liberalni i zwolennicy reformy są za obowiązkowém nauczaniem, utrzymując, że zmuszanie rodziców do kształcenia dzieci jest dobrodziejstwem dla nich i dla społeczeństwa, że wsparcie rządowe nie przyniesie należytego pożytku, jeżeli niewszystkie dzieci będą z niego korzystać itd. W obec tak sprzecznych objawów opinii publicznéj rząd zmuszony był trzymać się drogi pośredniéj, a mianowicie: prawa ogólnie obowiązującego rodziców do posyłania dzieci do szkoły nie ma dotąd w Anglii, lecz ponieważ Rady szkolne są upoważnione do przedstawiania praw dodatkowych dla swych okręgów, przeto wiele z nich, zwłaszcza w wielkich miastach, korzystając z tego wprowadziło (za potwierdzeniem władzy edukacyjnéj i sankcyą królewską) przymus szkolny, tak iż w r. 1876 w Anglii i Walii dla 46 proc. ludności obowiązkowe nauczanie istniało de facto. W tych okręgach zaś, w których nie ma przymusu szkolnego, aktem parlamentarnym z r. 1876 postanowiono pośrednio zmusić rodziców do kształcenia swych dzieci, wzbraniając przed rokiem dziewiątym przyjmować dziecko na robotę do fabryki, pomiędzy zaś rokiem dziesiątym a czternastym tylko wtedy, jeżeli dziecko posiada odpowiednie wiadomości szkolne (1). Środki te widocznie niewiele różnią się od przymusu szkolnego,

---

(1) W żadnym może kraju tak nie nadużywano pracy dzieci, jak w Anglii. Dla położenia tamy tym nadużyciom w przeciągu ostatnich 60 lat było wydanych przez parlament wiele uchwał, tak zwanych „Factory-Acts,“ mających na celu zapobiedz temu, ażeby dzieci zbyt wcześnie nie używano do pracy w fabrykach, ażeby nie przeciążano ich robotą, oraz ażeby dzieci obok pracy fabrycznéj uczęszczały także do szkoły. Uchwały te w części tylko zdołały zapobiedz złemu, chociaż nad przeprowadzeniem ich ze strony rządu zaprowadzono ścisłą kontrolę; wszystko tu zależy od dobréj woli właścicieli fabryk, z których niektórzy, a zwłaszcza też niektóre wielkie towarzystwa akcyjne prawdziwie po ludzku i po chrześciańsku dbają o materyalne, moralne i umysłowe położenie swych robotników i ich dzieci. Natomiast dzieci wiejskie, używane do pracy około roli, dotąd z powodu wielkich trudności przeprowadzenia kontroli pozostają bez wszelkiéj opieki prawa, tak iż według drastycznych słów jednego z pisarzy angielskich—dla rolnictwa praca dzieci posiada już wtenczas wartość pieniężną, „jak tylko dzieci potrafią tak mocno krzyczeć, iżby mogły odstraszyć wrony, albo gdy dostatecznie zostały zahartowane, iżby przy pasieniu bydła mogły znosić wszelkie przykrości powietrza.“—Komu ze znających nasze stosunki wiejskie nie przychodzą tu na myśl nasze biedne dzieci włościańskie, częstokroć w lichéj odzieży i boso, w zimną noc pasące konie na łące!

i tym sposobem osiągnięto pośrednio to, czego bezpośrednio obecnie jeszcze osiągnąć nie można.

„Rząd widocznie kieruje się tém przekonaniem, że—jeżeli z jednéj strony wolność indywidualna jest zbawienną i produktywną dla ogółu w tych sferach ludności, które znają jéj wartość moralną, to z drugiéj strony taż wolność staje się niebezpieczną, gdy w skutek nadużycia wyradza ciemnotę i przestępstwa, które wiele szkody przynoszą ogółowi. Dlatego to rząd wydał rozporządzenia, niepozwalające niższym klasom ludności wychowywać dzieci swe w ciemnocie i w zdziczeniu.“ (Wiese II, str. 36).

Również i w kwestyi podatku szkolnego, oraz w kwestyi bezpłatnego nauczania w szkole elementarnéj opinia publiczna podzielona jest na dwie partye. Jedni chcieliby, ażeby podatek szkolny był obowiązkowym dla wszystkich, ażeby wszystkie szkoły były utrzymywane z ogólnego podatku szkolnego, a nauczanie ażeby było bezpłatném; inni znów pragną, ażeby podatek szkolny nie był obowiązkowym dla tych rodziców, którzy dzieci swych do szkół rządowych nie posyłają, natomiast, ażeby pobiérano opłatę od wszystkich dzieci, uczęszczających do szkoły. Rząd czyli raczéj parlament i w téj kwestyi poszedł pośrednią, niekoniecznie sprawiedliwą drogą, wprowadzając i podatek i opłatę szkolną. Podatek szkolny jest obowiązkowy dla wszystkich obywateli angielskich, bez względu na to, czy posyłają dzieci swe do szkół rządowych, lub nie, bywa zaś użyty tylko na utrzymanie szkół rządowych. Ustawa z r. 1870 upoważnia Rady szkolne do rozkładu podatku szkólnego w swoich okręgach w stosunku 3 pensów (15 gr.) od jednego funta (40 złp.) dochodu czyli 1¼ proc.; w wielkich miastach podatek ten jest jeszcze o wiele uciążliwszym, w Londynie np. wynosi 4½ proc. od dochodu z domu lub wysokości komornego. Jest to tedy podatek lokalny, niejednostajny, wysokość bowiem jego zależy od decyzyi Rady szkolnéj, podatek „nierozsądny i niesystematyczny,“ jak go nazywa Maks. Müller (1).

---

(1) Maksymilian Müller, znany językoznawca, który przez wiele lat był profesorem w Oksfordzie i przez cały czas pobytu swego w Anglii żywy brał udział we wszystkich sprawach wychowanie publiczne mających na celu, w mowie okolicznościowéj wypowiedzianéj w Manczesterze w r. 1875 (drukowanéj w tomie IV jego „Essays“) stanowczo oświadcza się za bezwyznaniową szkołą, za przymusem szkolnym, za bezpłatnością nauczania i za utrzymaniem wszystkich szkół elementarnych z ogólnego i systematycznego podatku, nie zaś—jak to obecnie ma miejsce—z niesystematycznych dochodów. „Rozważmy“ mówi on, „co to właściwie znaczy, zamieścić szkoły ludowe w ogólnym budżecie państwa. Oto po prostu ustanawia się rozsądny i narodowy podatek zamiast nierozsądnego

Rady szkolne również nakładają opłatę szkolną stosownie do zamożności rodziców od 1 do 9 pensów (5—45 gr.) tygodniowo, która téż tygodniowo się opłaca. Bezpłatnego nauczania w szkołach rządowych nie ma wcale, tylko za bardzo biedne dzieci wnosi opłatę Rada szkolna. Osobny dozór szkolny, składający się z członków Rady kontroluje uczęszczanie dzieci do szkoły, nakłada kary pieniężne a nawet areszt na rodziców nieposyłających wcale (tam gdzie jest przymus szkolny) lub nieregularnie dzieci do szkoły. Te surowe środki, jak również uciążliwy podatek i opłata szkolna, oraz zamknięcie przez rząd wielu szkółek dla biédnych, w których dzieci oprócz bezpłatnéj nauki otrzymywały częstokroć odzież i pożywienie, wywołują niezadowolenie najbiédniejszych klas ludności. Rząd jednakże obstaje przy swojém, mianowicie téż przy obowiązkowéj opłacie szkolnéj, sądząc, że przez to osiągnie się liczniejsze i przedewszystkiém regularniejsze uczęszczanie do szkoły; przekonano się bowiem, że bezpłatność zupełnie przeciwne wywołuje skutki.

Teraz zobaczmy, jakie stanowisko zajął rząd wobec najtrudniejszéj kwestyi, tj. wykładu religii czyli „religious difficulty.“ Ani Ustawa z r. 1870, ani Akt z r. 1876 kwestyi téj nie rozstrzygnął stanowczo. Ustawa bowiem, ograniczając zadanie szkoły do czytania, pisania i rachunków, wykładu religii, dotyka tylko negatywnie następującym lakonicznym paragrafem: „Katechizm albo formularz religijny, cechujący pewne wyznanie, nie ma być wykładany w szkole.“ Takie określenie wywołało wątpliwości: czy biblja ma być tylko czytaną, czy téż przytém i objaśnianą, czy jedno lub drugie ma być obowiązkowém w każdéj szkole—czy téż pozostawionem do woli, czy oprócz biblii mają być objaśniane te części katechizmu (np. Ojcze nasz, Skład apostolski, Dziesięć przykazań), które są wspólne wszystkim wyznaniom itp. Zdaje się, że rząd naumyślnie tę drażliwą kwe-

---

i niesystematycznego. Kto płacić będzie rozsądny podatek?—John Bull.—Kto płaci nierozsądny podatek?—John Bull. Rzeczywiście, ci tylko mogą sprzeciwiać się równemu rozkładowi podatku szkolnego, którzy nie chcą płacić przypadającego na nich z prawa udziału.“ Tenże autor, jak i wielu pisarzy angielskich, uważa za wstyd dla Anglii, ażeby kraj tak bogaty, który w czasie wojny jest w możności płacić podatek w stosunku 18 pensów (3 złp.) od jednego funta (40 złp.) dochodu i chełpi się tém, że jest to dlań jakby ukłucie muchy, kraj używający przytém wszelkich swobód i dobrodziejstw pokoju, oraz politycznie zabezpieczony swém położeniem jeograficzném, ażeby kraj taki na polu wychowania ludowego dał się prześcignąć innym krajom, np. Niemcom, które w porównaniu z Anglią są krajem biednym, przytém wiele jeszcze laborują w skutek rozprzężenia politycznego, a z przyczyny położenia jeograficznego zmuszone są najlepsze siły absorbować dla utrzymania swéj niezależności.

styą określił tak niejasno, pozostawiając rozstrzygnięcie téjże czasowi i praktyce szkolnéj. Z raportów rządowych za r. 1875 okazuje się, że w 85 proc. szkół rządowych w Anglii i Walii przyjęto system towarzystwa brytańskiego, w szkołach którego albo tylko czytają biblią, albo czytają i objaśniają, wszelki zaś inny wykład religii jest wyłączony. Zresztą swoboda wyznania dla każdego dziecka jest zawarowaną przez tak zwaną „conscience clause" tj. zastrzeżenie, dające możność rodzicom uwalniać swe dzieci od lekcyj religii, jeżeli to nie zgadza się z ich przekonaniem. Prawo to zostało zatwierdzone dopiéro w r. 1865, do tego zaś czasu w szkołach anglikańskich zmuszano dzieci dyssydentów do uczenia się katechizmu anglikańskiego. Obecnie, ponieważ w szkołach rządowych wykład religii ogranicza się do biblii, niewiele rodziców korzysta z „conscience clause;" tak np. w szkołach londyńskich, w których oprócz biblii uczą także niektórych modlitw i śpiewów kościelnych, w r. 1875 ze 126.000 dzieci tylko 124 uwolniło się od lekcyj religii, i to więcéj z powodów formalnych.

Tak więc szkoły rządowe mają charakter mało wyznaniowy. I w téj kwestyi opinia publiczna jeszcze jest bardzo podzieloną. Jedni upatrują w bezwyznaniowości odstępstwo od staréj tradycyi, według któréj wychowanie i religia zawsze były ściśle połączone z sobą, zwracając uwagę na to, że jeżeli szkoła nie zaszczepi zasad religii, to większa część dzieci nie będzie miała sposobności nabyć takowych, a następstwem tego będzie wielkie niebezpieczeństwo socyalne dla państwa i dla rodziny. Duchowieństwo anglikańskie i gorliwi „Churchmeni" niezadowoleni z bezwyznaniowości dlatego, że im odjęto a przynajmniéj zmniejszono możność propagandy. Inni znowu, przedewszystkiém dyssydenci i zwolennicy reformy, chcieliby ze szkoły wykluczyć wszelki wykład religii, nawet biblią. Organem ostatnich jest „liga Birminghamska," tak nazwana od miejsca zawiązania (w r. 1869). Liga ta, do któréj oprócz koryfeuszów partyi liberalnéj (jak Russel, Forster) należą także i ludzie bardzo religijni, ma na celu propagandę oświaty ludowéj (przymus szkolny, bezpłatność nauczania, kierownictwo rządowe), a w kwestyi religijnéj przyjęła za zasadę, że, ponieważ szkoła ludowa powinna być narodową, przeto nie należy w niéj uczyć nic takiego, na coby wszyscy Anglicy się nie zgodzili, a więc wykład religii należy zupełnie z niéj wykluczyć, pozostawiając go rodzicom, duchowieństwu i szkołom niedzielnym.

Poprzednio pokilkakrotnie mówiliśmy o szkołach „rządowych." Nazwa ta, ściśle biorąc, nie jest właściwą, albowiem szkół rządowych, tj. utrzymywanych całkowicie przez rząd i zupełnie od niego

zależnych w Anglii nie ma wcale; są tylko szkoły, otrzymujące wsparcie, podlegające inspekcyi rządowéj i zostające pod bezpośrednią władzą Rady szkolnéj (1). Takie szkoły nazywamy krótko „rządowemi,“ jakakolwiek zresztą będzie nazwa ich (wyższe, niższe, parafialne itd., o czém niżéj); wszystkie inne zaś nazywają się „wolnemi“ (voluntary schools), utrzymujące się ze składek prywatnych i z funduszów specyalnych, niepobiérające lub pobiérające wsparcie rządowe (w ostatnim razie podlegają inspekcyi rządowi), zależne bezpośrednio od swéj własnéj władzy (osoby prywatnéj lub korporacyi), nie od Rady szkolnéj, słowem albo zupełnie, albo w części niezależne od rządu.

Do szkół „wolnych“ należą zwłaszcza szkoły utrzymywane przez towarzystwa szkolne.

Szkoły towarzystwa brytańskiego pod względem bezwyznaniowości najwięcéj podobne są do szkół rządowych, są bowiem otwarte dla wszystkich wyznań chrześciańskich, a nauka religii zasadza się tylko na czytaniu biblii. Towarzystwo to rozciąga swoję działalność na wszystkie części świata, utrzymuje się ze składek członków i ze wsparcia rządowego.— Z towarzystw szkolnych wyłącznie wyznaniowych największą działalność rozwija towarzystwo narodowe, zostające pod opieką kościoła panującego. Prezydentem tego jest prymas Anglii, tj. arcybiskup kantuaryjski, wiceprezydentami są wszyscy biskupi oraz dziesięciu przez nich wybiéranych parów lub radców tajnych, członkami zaś są wszyscy, płacący jednę gwineję (42 złp.) składki rocznéj. Właściwą radę szkolną stanowi oprócz wyżéj wymienionych prałatów komitet złożony ze znakomitszych osób duchownych i świeckich. W każdéj dyecezyi istnieje pod prezydencyą biskupa towarzystwo szkolne, a w każdym dekanacie z'osobna zwierzchność szkolna. Towarzystwo otrzymuje subwencyą rządową i udziela wsparcia szkołom pod takiemi warunkami jak rząd, wyznacza inspektorów mających głównie czuwać nad utrzymaniem ściśle religijnego charakteru szkoły, utrzymuje seminarya nauczycielskie, zaopatruje szkoły w książki i aparata szkolne (2).

---

(1) Statystyka oficyalna nie zna wcale nazwy szkół „rządowych,“ lecz tylko „Inspected schools“ tj. szkoły podlegające inspekcyi.

(2) Jak wielką jest ofiarność Anglików na cele wychowania ludowego, o tém świadczy wymownie zapewnienie arcybiskupa Kantuaryjskiego, uczynione niedawno w izbie lordów, że w ciągu ostatnich 50 lat sami tylko członkowie kościoła anglikańskiego złożyli 27 milionów funtów na wychowanie biédnych.

Oprócz powyższych głównych istnieje jeszcze kilka pomniejszych towarzystw, oświatę ludową mających na celu, jako to: komitet Weslejańczyków, istniejący od r. 1840, ściśle związany z organizacyą kościelną téj sekty, jak również komitet katolicki, który znakomitą rozwija działalność na polu oświaty pomiędzy katolikami. Tak Weslejańczycy jak i katolicy otrzymują wsparcie rządowe, natomiast Independenci i Baptyści, wzdragający się ze skrupułów religijnych przyjmować takowe, ograniczają się do własnych środków i dlatego działalność ich jest znacznie mniejsza od działalności innych towarzystw. Wszystkich towarzystw szkolnych jest 10.

Oprócz szkół wolnych, utrzymywanych przez powyższe korporacye, istnieją jeszcze szkoły, utrzymywane przez osoby prywatne. Takich szkół jest bardzo wiele, albowiem w Anglii istnieje zupełna swoboda otwierania zakładów naukowych. Szkoły te są „wolne“ w całém znaczeniu tego wyrazu, albowiem nie pobiérając zasiłku rządowego są też zupełnie niezależne.

Ciekawym jest stosunek rządu czyli Rady szkolnéj do szkół niepodlegających inspekcyi. Wzmiankowani wyżéj członkowie Rady, składający osobny dozór szkolny, czyli tak zwani „managers“ (kontrolerzy) mają prawo zatrzymać na ulicy każde dziecko od 5 do 13 lat i zapytać się: do jakiéj szkoły uczęszcza. Gdy dziecko wymieni szkołę, nienależącą do zarządu Rady, natenczas taki pan kontroler ma prawo zaprowadzić je do magistratu i poddać egzaminowi. Jeżeli egzamin wypadł pomyślnie, pozostawiają w spokoju i dziecko i szkołę, która to ostatnia uważa się odtąd jako „efficient“, tj. jako odpowiadająca wymaganiom władzy szkolnéj; w przeciwnym razie School-Brand rozpoczyna śledztwo nad stanem szkoły, a jeżeli szkoła w terminie wyznaczonym nie odpowić postawionym jéj wymaganiom czyli nie polepszy się, lub w ogóle nie chce poddać się wymaganiom School-Board'u, natenczas może być zamkniętą. Przyznać trzeba, że środki te są i nielojalne i niepraktyczne: zatrzymywanie bowiem dziecka na ulicy i ciągnienie do magistratu jest, pomijając stronę komiczną środkiem, policyjnym, niegodnym narodu takiego jak Anglicy i takich poważnych mężów jak członkowie School-Board'u—a prześladowanie szkoły „wolnéj“ przy zupełnie swobodnéj konkurencyi, istniejącéj w Anglii na polu wychowania publicznego, jest i niekonsekwentém i niesprawiedliwém. Cała zaś ta dosyć prymitywna procedura jest niepraktyczną, albowiem takie formalne środki nie wpłyną z pewnością na poprawienie szkół i podniesienie oświaty. Wreszcie, najważniejszy niedostatek téj dziwacznéj kontroli jest ten, że Ustawa nie określiła jasno, ani jakie warunki posiadać powinna szkoła, ażeby uchodzić za „dostateczną“ (efficient), ani

też do kogo właściwie należy kompetencya rozstrzygnąć, czy szkoła jest „efficient“ lub nie. Ztąd wynikają ciągłe kollizye pomiędzy Radą szkolną a zwierzchnikami szkół wolnych; ci ostatni bowiem bynajmniéj nie poddają się potulnie rozporządzeniom Rady, lecz stawiają opozycyą, a nawet odmawiają Radzie wszelkiego prawa do mięszania się do spraw swoich. Jakbądź jednakże rząd dopiął swego celu: nie tylko bowiem bezpośrednio kontroluje szkoły pobiérające wsparcie, lecz także i nad szkołami wolnemi pośrednio rozciągnął kontrolę.

Położenie szkół wolnych jest w ogóle dosyć trudne; oprócz bowiem szykan, na jakie są wystawione ze strony School-Board'u, walczyć muszą z trudnościami finansowemi. Szkoły te (nie mówimy tu o szkołach zupełnie prywatnych) utrzymują się przeważnie z dobrowolnych ofiar, od czasu zaś ustanowienia podatku szkolnego dochody ich coraz się zmniejszają, albowiem nie każdy oprócz podatku szkolnego, który płacić musi, może i chce opłacać składkę dobrowolną temu towarzystwu szkolnemu, które dawniéj wspiérał. Pomimo tych trudności szkoły wolne wszelkiemi siłami starają się wytrzymać konkurencyą ze szkołami School-Board'u—i w niektórych miejscowościach powodzi im się tak dobrze, że są przepełnione, podczas gdy szkoły rządowe stoją pustkami. W ogólności jednakże szkoły wolne coraz więcéj upadają, w skutek właśnie trudności finansowych i zbyt silnéj konkurencyi ze strony szkół rządowych.

Taką w ogólnych zarysach jest Ustawa szkół elementarnych z r. 1870 i 1876. Nie da się zaprzeczyć, że jest ona w niektórych punktach wadliwą lub niedostateczną, jak np.: „payement by results,“ niedostateczne rozstrzygnięcie „religious difficulty,“ niejasne określenie tak zwanych „efficient schools,“ niesystematyczność i niesprawiedliwy rozkład podatku szkolnego, wreszcie zbytni formalizm w kontroli i zarządzie szkół. „Jest to nadzwyczaj skomplikowana maszynerya, w któréj wiele biurokratycznéj pisaniny, a mało wpływu osobistego“—powiada bardzo słusznie Wiese (II, str. 324). Pomimo jednakże tych wad, które objaśniają się po części wielkiemi trudnościami, z jakiemi rząd ma do czynienia, przyznać trzeba, że Ustawa zrobiła wiele dobrego: nie tylko bowiem od wprowadzenia jéj liczba uczących się znacznie się zwiększyła, lecz poprawiły się także postępy uczniów, metoda nauczania i ukształcenie nauczycieli, a nadto, co najważniejsza, już teraz daje się widzieć zbawienny wpływ szkoły na oświatę i moralność ludu.

Pod innym jeszcze ogólniejszym względem ważną jest Ustawa z r. 1870. Stanowi ona przełom w idei państwowéj Anglii, jest naru-

szeniem samorządu na takiém polu, na którém tenże od wieków był najsilniejszym. Przed laty 50 żaden mąż stanu w Anglii nie marzył nawet o tém, ażeby rozpostrzéć opiekę państwową nad szkołami, tak jak nie marzył o tém, ażeby rząd miał opiekować się biédnymi, zajmować się kwestyami sanitarnemi, protegować sztuki piękne i t. p. Wszystko to jednakże w ostatnich czasach nastąpiło: dotychczasowa decentralizacya zaczyna w wielu razach ustępować centralizacyi.

Zwrot ten jest bardzo naturalnym: przypomnijmy sobie bowiem, jaką koleją szły dotąd sprawy publiczne w Anglii i porównajmy w tym względzie Anglią z innemi państwami w Europie. We wszystkich krajach stałego lądu, z wyjątkiem może Szwajcaryi, w mniejszym lub większym stopniu wszelkie początkowanie szło z góry, od rządu; ztąd centralizacya, despotyzm biurokratyczny, stłumienie wolności i działalności indywidualnéj. Zupełnie przeciwnie w Anglii; tu od kilku wieków inicyatywa wychodziła od narodu, w skutek czego wyrobiła się zupełna decentralizacya, powstał najrozleglejszy samorząd, najobszerniejsza wolność indywidualna. W ciągu czasu jednakże tak na stałym lądzie jak w Anglii przekonano się, że zarówno zbytnia centralizacya jak nieograniczona decentralizacya i dla rządów i dla ludności okazały się niedogodnemi i nieodpowiedniemi, albowiem ani jedna, ani druga nie odpowiada zadaniu państwa nowożytnego, które zasadzać się powinno na pogodzeniu interesów całości z interesami i prawami jednostek. Postanowiono tedy i tu i tam poszukać drogi pośredniéj; ztąd w niektórych państwach stałego lądu (jak w Prusach i w Austryi), widzimy obecnie ruch odśrodkowy czyli decentralizacyą, w Anglii zaś ruch dośrodkowy czyli centralizacyą.

Rzecz naturalna, że ten nowy kierunek napotyka w Anglii przeciwników, zwłaszcza w zagorzałych zwolennikach selfgovernementu i selfhelpu à tout prix. W ogólności jednakże rząd nie napotyka wielkich trudności w przeprowadzeniu swéj polityki szkolnéj. Przyznać téż trzeba, że od r. 1839, t. j. od ustanowienia Wydziału edukacyjnego rząd postępował bardzo ostrożnie i taktownie, wiedząc o tém dobrze, że przymusem nic się w Anglii nie da zrobić. Rozpościérając swój wpływ na szkoły elementarne, starał się „gorzką pigułkę," jaką jest kontrola rządowa, na samo wspomnienie któréj wzdryga się Anglik, osłodzić pieniędzmi, które obecnie chętnie wszyscy przyjmują, poddając się zarazem warunkom rządowym. W ciągu blisko czterdziestu lat wszystkie ministerya pracowały nad tém, ażeby rozszerzyć wpływ rządu na szkoły elementarne, a obe-

cnie rząd na tém polu zajął bardzo silną pozycyą, albowiem faktycznie wszystkie szkoły elementarne, nawet te, które nie pobiérają wsparcia, znajdują się pod kontrolą rządową, a środki przedsięwzięte przez rząd w celu podniesienia wychowania ludowego niewiele różnią się od przymusu szkolnego. Zresztą Anglicy przychodzą już do tego przekonania, że jakkolwiek działalność i ofiarność prywatna zadziwiających dokonały rzeczy na polu wychowania ludowego, to przecież przy braku jednolitego kierunku, czyli „anarchii,“ jak się sami wyrażają, marnuje się wiele sił, czasu i pieniędzy, że przeto centralizacya jest nieunikniona, chociażby tylko jako malum necessarium. „Często zdarzało mi się,“ powiada Wiese (II, str. 37), „jakoby obecnie Anglicy znajdowali się w obec alternatywy: co jest mniejsze złe, czy brak wszelkiéj jednolitości i stałych norm, czy téż zależność od porządnéj administracyi. Mieszkaniec stałego lądu, przyzwyczajony do ostatniéj, zdziwi się, że można wahać się w tym względzie. Lecz w Anglii sprawa ta nie jest tak łatwą, nie mówiąc już o trudnościach nasuwających się przy samém wykonaniu. Trzeba żyć w kraju i być obeznanym z historyą tegoż, ażeby zrozumiéć, jak trudną dla Anglików jest decyzya w powyższéj alternatywie, gdy zasadzie wolności (Freiwilligkeit) naród tak wiele zawdzięcza. W walce pomiędzy wolnością, a porządkiem i systematycznością, Anglik zawsze skłonnym będzie przechylić się na stronę pierwszéj. Jednakże być może, że powyższa alternatywa nie jest konieczną, być może, iż przeciwieństwa dadzą się pogodzić w tém, co każde z nich ma dobrego.“

Ostatnia uwaga jest bardzo trafną, albowiem sprawa wychowania elementarnego jest właśnie na téj drodze pośredniéj. Wpływu bowiem rządu w Anglii na szkoły nie można nazwać władzą taką, jaką jest np. władza rządu w Prusach, gdzie szkoły są zakładami państwowemi, a nawet szkoły prywatne, których zresztą jest bardzo mało, muszą się koniecznie zastosować do przepisów rządowych i nawet, nie pobierając żadnych subwencyj, podlegają kontroli państwowéj. W Prusach rząd jest przez swe organa bezpośrednią władzą dla wszystkich szkół elementarnych, w Anglii władza rządu jest reprezentowaną przez inspektora szkolnego, który jest tylko kontrolerem i sprawozdawcą, łącznikiem pomiędzy władzą centralną a radą szkolną; téj ostatniéj zaś nie można nazwać władzą rządową, lecz raczéj gminną, albo parlamentarną.

Nauczyciel w Anglii, chociaż pobiéra subwencyą rządową, nie jest bynajmniéj urzędnikiem państwowym, ani nawet gminnym, gdyż jego nominacya i dymisya zależy od bezpośredniéj lokalnéj

władzy (1). Wreszcie w Prusach i w innych krajach na stałym lądzie rząd posiada prawo inicyatywy na polu wychowania elementarnego i dlatego téż w obec kraju jest odpowiedzialnym za stan oświaty ludowéj; w Anglii zaś rząd wcale nie jest odpowiedzialnym, albowiem ograniczając się tylko do kontroli, inicyatywę pozostawia przedsiębierczości prywatnéj.

System szkolny angielski jest tedy *kooperacyą*, czyli współdziałaniem z gminami, osobami i instytucyami prywatnemi, którym nie tylko nie odjęto i nie uszczuplono ich działalności, lecz owszem sam rząd przychodzi im w pomoc, jeżeli wypełnią żądane warunki.

---

(1) Jak niezależnym jest nauczyciel od rządu nawet formalnie, dowodzi ten charakterystyczny szczegół, że subwencyą rządową pobiéra nie bezpośrednio z kasy rządowéj, lecz przez pośrednictwo swéj władzy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KRASICKI.

ŻYCIE I DZIEŁA.

KARTKA Z DZIEJÓW LITERATURY.

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy).

A cnéj pisania sztuki z dowcipem i gustem,
Tyś pierwsze dał przykłady pod naszym Augustem.
Trembecki. Gość w Heilsbergu.

W ciągu lat pracowitych i wydaniem dzieł tylu oznaczonych Biskup Warmiński osiedlał się i zagospodarowywał na starém zamczysku swém biskupiém w Heilsbergu, już przez Grabowskiego wyrestaurowaném, obszerném bardzo, ale wytwornemu smakowi, artystycznym fantazyom pańskim, niewystarczającém. Trzeba było pomieścić w niém dwór liczny, zbierającą się bibliotekę, obrazy, bronzy, sztychy, których Biskup był miłośnikiem. Wielki lubownik kwiatów, ogrodu, drzew, książę sadził, wycinał, przerabiał, stroił stary wirydarz biskupi i do niepoznania go upiękniał. Sprowadzano wody do kaskad i fontanny, zamawiano posągi.

Na zamku przerabiano cóś nieustannie, apartamenta się ozdabiały, formowała galerya obrazów familijnych, sławnych polaków i dawnych biskupów.

Liczba otaczających księcia ciągle się pomnażała; przybywali bracia aspirujący do kanonij Warmińskich, często bratowa z dzieć-

mi, krewni, znajomi, duchowni, naostatek i artyści, których Biskup lubił i potrzebował.

W r. 1777 wspomina w swéj podróży Bernouilli o spotkaniu się z ks. Biskupem u Opata w Oliwie pod Gdańskiem i pisze, że Krasicki, przypomniawszy go sobie z Berlina, rozmawiał z nim długo, naturalnie o sztuce i o ogrodach.

Krasicki dosyć miał zamiłowania dla sztuki, korespondował ze sławnym Marteau, który, siedząc w Białymstoku, ciągle coś dla niego malował; rysowała mu pani Anna Charczewska, a często przebywali artyści, ściągani z Warszawy.

W r. 1779 był jakiś niedoszły projekt sprzedaży Dubiecka, w Lutym Krasicki wybiérał się do Królewca, chciał tam zabawić i z jaskółką do Heilsberga powrócić. W Styczniu zajmowało go, między innemi i zaopatrzenie piwnicy, bo dwór książęcy pił dużo. Pisze (2 Stycz.) do brata Ksawerego: „A po czemu tam wino węgierskie stołowe, wytrawione, smaczne? A po czemu maślacz dobry do konserwacyi? A po czemu wino już wystałe, coby środek trzymało między stołowém a maślaczem?“ W liście tym, co się rzadko trafiało, wspomniał Krasicki swoje Satyry, które bratu posłał.

Owe gniewy i dąsy na niewdzięcznego ongi Mineta, w Warszawie, ustąpiły teraz zupełnie; szacowano wysoce księcia Biskupa Warmińskiego, a Stanisław August pod wrażeniem popularności i sławy, jaką sobie zdobył pisarz, nietylko mu winy przebaczył, ale chlubił się nim jako ozdobą swojego panowania, jako, poniekąd, dziełem rąk własnych. Krasicki téż, choć jak najlepiéj widziany i lubiony przez Fryderyka II, a niezaniedbujący Berlina, nie zapominał o Stanisławie Auguście. We wszystkiém co pisał, wzmianki, alluzye, pochwały króla są liczne.

Brzmiała już sławą księcia Biskupa Warmińskiego Warszawa, Gröll sprzedawał każdą jego książkę, cyfrą X. B. W. oznaczoną w niezwykłéj dotąd liczbie exemplarzy i wydań.

W roku 1780 Gröll, nakładzca zwykły Krasickiego dzieł, ogłosił prospekt na obszerny: *zbiór wiadomości*, rodzaj encyklopedycznego słownika, ułożonego przez Krasickiego. Nie odważył się jednak na to przedsiębiorstwo, nie ogłaszając prenumeraty, rzeczy w Polsce nowéj i niesłychanéj. Cena całego, z dwu wielkich tomów składającego się dzieła wynosić miała dwa czerwone złote. Położone na tytule X. B. W. było zaleceniem najlepszém. Prospekt rozesłano przy dziennikach. Rachował pono Gröll na trzystu prenumeratorów, a nie znalazł ich i dwóchset. W owym czasie, gdy na beczkę wina węgierskiego często stu czerwonych złotych nie żałowano, a becz-

ka na kilka dni nie stawała, dwa czerwone złote dać za książkę zdawało się nader uciążliwém, bo mało kto do niéj mógł zaglądać. Nie powiódł się ów zbiór wiadomości, do których Gröll może dopłacił. Encyklopedya ta, owoc pracy długiéj i zmudnéj, mieści w sobie moc rzeczy, a jak wszystkie encyklopedye, ledwie się na co przydała. Notatki są krótkie, niedostateczne, niewyczerpujące, niedokładne, polskich w niéj rzeczy wiele z różnych źródeł, obcych téż dosyć. Bądź co bądź, myśl sama takiéj encyklopedyi była coś warta, ale Krasicki nie zadał sobie pracy jéj rozwinąć.

Zbiór wiadomości przedrukował Dmochowski w dodatkach do pism Krasickiego.

Mogąc rachować na bardzo dobre u dworu przyjęcie, Krasicki, w Czerwcu (1780), jak się zdaje, wybrał się w odwiedziny do stolicy. Nie zawiodły go nadzieje, gdyż d. 3 Lipca pisze do brata: „Ja ztąd za niedziel dwie wybieram się, *comblé des bontés*—dorozumiéwaj się WPan reszty.“

W późniejszym liście już z Heilsberga (23 Lipca) „pisanym przy słupie galeryi, bo tak gorąco że w izbie wysiedzieć nie można“ dodaje: „Wyjechałem z Warszawy d. 17 p. Podróż miałem dosyć miłą, ile że mnie w Górze przyjmował książe synowiec królewski (ks. Stanisław Poniatowski, Podskarbi W. X. L.) a w Waliszewie książe Biskup Płocki. Przyjechawszy onegdaj, jeszcze się rozpatrzéć nie mogę, i w zwyczajném jestem zbałamuceniu co się zapewne i WPanu trafiło, gdyś z Ukrainy do Dubiecka przyjechał.“ Zajmowało mocno Biskupa znowu przerabianie i urządzanie się na zamku, które powtarzało się pono co roku.

We Wrześniu znowu (2 Wrz.) długi list wysyła do brata Antoniego.

„Jeden respons na trzy moje listy odebrałem, a było go półtoréj ćwiartki, a miało być *secundum concordatum*, rachując każdy list półarkusza, arkusz jeden cały i pół. Więc kwita za owe wymówki, gdym z Łazienek *laconice* pisał.“

„Ja tu solennitates czynić nie mogę, siedzący jako jaki pustelnik za światem, między morzem na piasku.“

„Nie wiem czy już doszła WPana moja *Wojna Chocimska*, jeżeli nie, każ ją od Grölla sprowadzić, ale rozumiem że i we Lwowie téj księgi dostanie, ponieważ i tam ma Gröll swoją księgarnią, wyszła także odpowiedź na Wojnę Mnichów. Niechże się nie gniewają, albo też niech się i gniewają, jeżeli im się tak podoba, a do tego i zdrowo. Insze pisma kawałkowe wyjdą potém z druku razem, ale jeszcze trzeba będzie trochę poczekać aż się tego dobra liczba na-

zbiera. Posłałem był w liście wiersze do Mniszcha Sekretarza Lit. a nie wyrażasz WPan, czyś je odebrał.

„Król przysłał mi na wiązanie mój medal wybity, możesz go WPan kazać z Warszawy sprowadzić. Złoty koniecznie do kolekcyi Jejmościnéj, ale jak tu do mnie przyjedzie, jak będzie Kalnassy (Sekretarz kscia) jechał z ks. Karolem (bratem biskupa) przywiezie ich WPanu kilka, kazawszy je w Mennicy wybić.

„Byłem przez dni dwanaście w Królewcu u księcia Pruskiego przejeżdżającego tamtędy do Petersburga. Bardzo mile, grzecznie i poufale przyjął mnie i zemną się bawił, przez ten cały czas, a co największa, byliśmy razem na polowaniu w puszczy nad Hafem i zabiliśmy łosiów wielkich trzynastu, małych dwa.

„Dn. 7 Septembra ma stanąć w Petersburgu tenże książe pruski, jak zaś długo zabawi, zawisło od okoliczności. Rozumiem jednak że nie prędzéj jak w pół Nowembra wracać będzie."

Ciągle troskliwy o rodzinę Biskup, nietylko braci do siebie przygarniał, wziął synowca Jana, którego wychowaniem się zajmował. Pisze o nim w tym roku (2 Wrześ.)

„Pan Jan bardzo się dobrze aplikuje i z jego sposobu myślenia będziesz WPan kontent. Już czas wydobydź go od Pijarów, a ja resztę na siebie biorę. Zrobiemy z niego Chodkiewicza i będą po tém o nim wiersze pisać, jak Turków pobije, albo jakich innych nieprzyjaciół ojczyzny swojéj. Wszak prawda?

Biskup chciał Jana umieścić albo w jakim Regimencie, albo w Akademii Wojskowéj w Berlinie, bo miał powołanie do tego stanu. Pisze o nim jeszcze tegoż roku (5 Listopada). „Podobne moim masz myśli o panu Janie, i mnie się zdaje, że to będzie człowiek podściwy, stały i niezlęknionego serca, że się więc z edukacyą żołnierską odzywa, nasza rzecz do tego się przyłożyć, ale bytność jego w Dobiecku przeszkadza nieco tym projektom, bom ja myślał że mi go Kalnassy z Warszawy przywiezie."

We Wrześniu zabawiano się po troszę polowaniem, a książę miał jechać do Berlina (24 Wrz.). Donosi bratu: „Ja, przy bardzo pięknych czasach często się i z moimi sąsiadami i sam u siebie polowaniem bawię. Ale to są minjaturki względem WPanowych Jeleniów, niedźwiedziów, rynocerosów i jednorożców."

„Podróż do Berlina, jeszcze nie zupełnie determinowana, a choćbym i jechał nie więcéj nad niedziel kilka zabawię, ale wprzód o wszystkiem dostatecznie WPana uwiadomię."

Dn. 5 Listopada, powiada. „Co też WPaństwo będziecie sądzić o Heilsbergu kiedy od W. księcia moskiewskiego odbieram rekwizycyą, żebym mu plantę domu i ogrodów moich przysłał. Proszę

to powiedzieć Panu Wojewodzie Bełzkiemu i Panu Chorążemu nadwornemu, dwóm najgłówniejszym w tamtych stronach rywalom moim. Natabene w ogrodnictwie, bo co do pieniędzy, ja znam jaki się respekt odemnie JWMPanom Dobr. należy."

„Powróciłem dnia onegdajszego z Królewca i widziałem kscia Pruskiego powracającego z Petersburga, na nogę trochę jeszcze narzeka, a w Petersburgu przez dni dziesięć kawęczał. Jest to skutek szwanku z konia, który go uderzył. Przyjęty był mile i traktowany. Wziął ordery Ś. Andrzeja i Aleksandra Newskiego, bogato diamentami obsadzone i przy jednym pugilaresik maleńki szacowany trzydzieści tysięcy rublów, szubę marmurków, niezwyczajnéj piękności i kożuch soboli. Dwa dni bawił w Królewcu, trzeciego wyjechał rano do Szlobittów do Grafa Dohna, gdzie nocował. Dnia jutrzejszego ma stanąć w Potsdamie, bo taka była królewska determinacya."

Z familii (choć dalszéj) przybyć miał młody Fredro, którym Biskup chciał się opiekować. O nim pisze (14 Listop.). „Jeżeli ma więcéj jak dwanaście lat, trzeba go po francusku przebrać, gdyż WPan wiesz że tu ani krawców ani szewców polskich nie mamy. Była jeszcze ostatnia relikwia ów Gawłowski kulawy w Heilsbergu, po nieboszczyku biskupie Szembeku, ale dla starości już robić nie może."

Podróż do Berlina, z obowiązku, ciągle była w programie, i pobyt tam do Marca. Nie był jednak książę pewnym wyjazdu i w razie pozostania w Heilsbergu, zapraszał brata z rodziną do siebie: „Wieści straszące o nowych jakichś podziałach i tu się pospolicie dają słyszeć, ale gdy z źródła rzeczy dochodzić się chce, nie można wynaleźć ani z jakich przyczyn miało by się to stać, albo przynajmniéj jakie by do tego były podobieństwa może co wśród gabinetów wre, ale takowe negocyacie po większéj części nie dochodzą do publicznéj wiadomości. Prawda że i w 72 niewierzyliśmy a przecięż się stało. Jednakże większe były aparencye niż są teraz. Cokolwiek bądź trzeba się na wszystko zawczasu gotować i ztwierdzać. Wiek ten jest pełen epochów i niespodziewanych i nieprzewidzianych. My już nie mamy się czego obawiać, bo co się miało z nami stać, stało, a tak stało iż gorzéj stać się nie może."

W tym samym liście tak poważnym stoi przypisek: „Posłałem Jejmości przeszłéj poczty nasienie poziomek. Jużem je w garczkach niektóre posiał i potém co miesiąc aż do Marca po trochu siać będę."

Wyjazd do Berlina został nakoniec postanowiony na dzień 15 Grudnia. Donosząc o tém d. 6 t. m. mówi: „Jak tam długo za-

bawię dostatecznie determinować nie mogę, mam jednak nadzieję, że w Marcu powrócę i będę święta odprawiał w Heilsbergu."

Nowiny polityczne były pokojowe, w Berlinie obiecywał sobie książę nowe zdobycze dla ogrodu, nasion, kwiatów i drzewek. Niezmiernie go one zajmowały, gdyż nie było listu, bez wspomnienia co się posiało, sprowadziło, co kwitło i zbiérało.

Drugiém lubownictwem Biskupa były zbiory jego rycin, a szczególniéj portretów familijnych i ludzi w kraju wsławionych. Już na wyjezdném do Berlina przypominał bratu (15 Grud.) z Frauenburga, aby mu kazał zrysować w Dubiecku portrety ojca i matki, Stanisława Siecińskiego Bisk. Przemyślskiego, Jelca Suffr. Kijows. Jelca Jenerała, jego brata, nieboszczki Wojewodzinéj Mścisławskiéj, Ant. Cetnera Star. Korytnickiego, ojca Wojewody (malowany przez Marteau). Z kościoła parafialnego w Krakowcu okrągły portret Cetnera Kasztel. Bracł. od karmelitów w Przemyślu z zakrystyi Marcina Krasickiego, Wojewody Podolskiego i żony jego Barbary, z Jarosławia od Ś. Jana Kżnéj Ostrogskiéj babki Kostajny (sic) Wdzinéj Sandom. i inne Ostrogskich, Chodkiewiczów, Kostków, z korytarzów klasztornych.

Oprócz tego prosił, aby mu poszukiwano po domach wizerunków ludzi znacznych i rysowano je, lub przemalowywano do kolekcyi „która z wielu różnych miejsc przysyłanemi portretami coraz się powiększała i czyniła szacowną."

W przypisku do listu: „U nas tu wieść coraz mocniéj grucha o śmierci Cesarzowéj, u WPanów nową postać rzeczy zapewne utworzy, daj tylko Boże, ażeby wszystko było na lepsze i kraju i obywatelów, a najbardziéj żebyśmy się cieszyli *pokojem*."

Kanonik Kalnassy, sekretarz księcia, właśnie był powrócił z Warszawy i, między innemi, dary przywiózł od księcia Stanisława Poniatowskiego „cybuch nad cybuchami, baszowski."

Widzieliśmy z poprzedzających listów, że z królem Stanisławem, rodziną jego, dworem był już Biskup, w jak najlepszych stosunkach.

Dowodem tego był ów medal, który król wybić kazał na cześć księcia Biskupa. Niestety, dostał się on, jak widzimy z dat i korespondencyi, nie autorowi Bajek i Satyr, nie temu co ideał oby-

watela stworzył w panu podstolim, ale, poecie niefortunnéj Wojny Chocimskiéj, którą wysoko podnoszono, mówiąc w ostatku że: *in magnis voluisse sat est.*

Tę Wojnę Chocimską wolelibyśmy zbyć zupełném milczeniem, gdyby to było możliwém.

W charakterystyce wieku i pisarza, omyłka nawet ma wielkie znaczenie, a omyłką jest Wojna Chocimska.

Przedmiot sam, na oko nęcący i wspaniały, patryotyczny, zdawał się poecie doskonałą treścią do epopei. Niestety! pojąć zadanie Epos potrzeba było najprzód inaczéj niż mógł naówczas Krasicki. Warunki tego poematu przedstawiały się w świetle fałszywém.

Ztąd i poemat chybiony, blady, słaby, mglisty, deklamacyjny, a nawet wiersz sam rzadko u Krasickiego bywa tak mdłym, niezręcznym, wyszukanym a bezbarwnym, mierzącym ku szczytności a popadającym w trywialność. Ton poematu podniesiony sztucznie, bez natchnienia, zimno patetyczny, czyni całość dziś prawie niemożliwą do przeczytania.

Bohatérowie są jakiemiś lalkami bez życia, teatralnie poprzystrajanemi, sztywnemi a napuszonemi. Osman, Chodkiewicz, cały zastęp około nich się gromadzący tak mało ma prawdy, krwi jak szatany i aniołowie, które machinę tę z góry nakręcają. Rzecz jest gorzéj niż chybiona, popsuta.

Cóż powiedzieć dziś o niéj, gdy się obok postawi ów jędrny, potężny wiersz Wacława Potockiego w jego Wojnie Chocimskiéj, w któréj kronika niekiedy prostotą, wielkością, barwą i siłą prawdziwie epiczne przybiéra kształty.

Obok Potockiego, a nawet sam przez się Krasicki jest tak bladym, zgasłym, nudnie deklamacyjnym, że żal obudza i politowanie.

Jesteśmy przekonani, że Krasicki z własnego popędu nie przedsiębrał Wojny Chocimskiéj. Ponieważ Voltaire ważył się na Henriadę, potrzeba było, aby polski jego reprezentant, koniecznie epos wyśpiewał.

Naglić o to musiał król, śliczny wiersz jego podziwia już w satyrach i bajkach; był przekonania tego, że taki poeta może wszystko co zechce. Naruszewicz, który pisał żywot Jana Karola Chodkiewicza, musiał ten przedmiot podsunąć.

Zmuszono Biskupa do przedsięwzięcia Wojny Chocimskiéj, któréj wizerunki po wszystkich domach szlacheckich nieforemnie malo-

wane zawieszano. Czuć też w tym poemacie narzuconym przymus, niesmak, zmaganie się bezsilne, nawet pewne zniechęcenie (1).

Wszędzie gdzie Krasicki, posłuszny swojemu posłannictwu, ujemne strony wieku, społeczności, kraju maluje, gdy oczyszcza arenę jest nieporównanym, gdy chce tworzyć ideały, bezsilnym.

Odgadywanie przeszłości wspaniałéj i bohatérskiéj w Wojnie Chocimskiéj, wykazuje tylko zupełny brak pojęcia jéj w warunkach rzeczywistych. Nie wiedział poeta jak ją miał przyodziać.

Chodkiewicz i Anna z Ostroga (po za którą tragedya grecka stoi zakryta dotąd), to mdły romans z najsmutniejszéj rzeczywistości zrobiony. Miłość starego Hetmana dla młodéj oblubienicy jest tu czémś, jakby z parawana wyciętém. Sentymentalizm ośmnastego wieku, który był w nim tylko pokrywką najwyuzdańszéj zmysłowości, przybiéra tu prawie śmieszną fizyognomią. Szemrzące strumyki, wiejące wietrzyki, śpiewające ptaszęta, są jakby niepewną ręką jakiegoś początkującego artysty, mdło i dziwacznie narzucone.

Cała inwencya poematu niesmaczna. Pustelnik wprowadzony wcale niepotrzebnie, jedności akcyi nie ma, postacie jak cienie bez twarzy snują się po nim. Cóś niewypowiedzianie nudnego ołowianém brzemieniem nad całością cięży.

Tych nawet świetnych błysków dowcipu, których Krasicki tak szczęśliwie gdzieindziéj używa na zakończenie, tu braknie. Dowcip byłby nie w miejscu, a natchnienia nie starczyło. Jeden wiersz wychwalony pozostał w pamięci, a i ten dziś brzmi dziko:

A dumny mocą swego majestatu,
Wzniósł się nad człeka i pogroził światu.

Słabych wyrażeń: jak w p. II „dzieła wieńczy w *szacownéj zalecie* (!); w p. III. „Anno z Ostroga, *wyborze kochania*!“.... w p. III „strumyk czyni szemrania przyjemne“ pełno. Znajdujemy tu i „słodyczy ponętę“ i mnóstwo podobnych ckliwych wyrażeń.

W pieśni V apostrofa do wolności, przypominająca w Myszejdzie „Święta miłości“ zupełnie też chybiona. Nie została nawet w pamięci współczesnych, którzy czuli, że ta wolność mniemana była zgubą naszą nie chlubą. Wiersz dogadzał tylko fantazyi staréj szlacheckiéj.

Język u naszego poety zawsze starannie dobiérany, często szczęśliwy, tu dziwnie wyblakły, kulejący. „Mężnych rycerzów *tłuszcza* chyba rymem się da usprawiedliwić. Któż się domyśli, że „wzmoże-

---

(1) Nie jest to prostym domysłem, gdyż z listów widzimy, że autor dokończył wojnę Chocimską w czasie pobytu *w Warszawie*, i natychmiast oddał ją do druku.

ni mierném zasileniem" ma oznaczać, że Sobieski i Żorawiński, skromném jadłem pokrzepili się u pustelnika.

Napróżnobyśmy wchodzili w szczegóły. Wojna Chocimska jest smutną, nieszczęśliwą omyłką, którą radzibyśmy nie poecie przypisać, ale o nią obwinić tych, co go do pisania jéj skłonili.

Zaledwie dokończone poema w Warszawie, pod okiem króla i Naruszewicza, w téjże chwili rozpoczęto drukować.

Współcześni, których Krasicki był ulubieńcem, mimo najżywszéj chęci admirowania téj epopei, nie mogli jéj pokochać, odzywano się półgębkiem, z respektem, Dmochowski powtarzał, że w tak wielkiém przedsięwzięciu, wyjść nawet na pół zwycięzko jest chwałą. W kraju wojna Chocimska nie uczyniła wrażenia, broniło jéj tylko imię autora.

Ale autorowi Epos słusznie już medal należał, literatura liczyła choć jednę jéj próbę—nieudaną (1).

W tymże samym czasie Biskup dla rozrywki, dla zabawy swojego dworu, próbował pisać komedye, do których tak mało przywiązywał wagi, że ich nie chciał wydać pod swojém imieniem. Kilka z nich drukowano z nazwiskiem Mowińskiego, starego kamerdynera księcia Biskupa. O tym Mowińskim wiemy tylko tyle, że w Heilsbergu na zamku przy księciu mieszkał, że mu się, jak całéj dworni książęcéj, działo bardzo dobrze, i że na imieniny swoje gości wybornemi podwieczorkami raczył.

Czy Mowiński był kamerdynerem, *amanuensem*, sekretarzem, dokładnie oznaczyć trudno. Ale działo mu się dobrze.

Lecz najprzód o teatrze naszym słowo.

Teatr w Polsce nigdy się świetnie, samoistnie, żywotnie rozwinąć nie mógł. Historya jego podobną jest do żywota tych roślin, których ziarna długo leżą w ziemi martwe, za najmniejszym promykiem słońca kiełkować próbują, i natychmiast stratowane i zgniecione giną. Tak samo jak gdzieindziéj uczuwano u nas potrzebę tego wizerunku życia, któryby dobitniejsze jego przedstawiając momenta, z siłą i światłem na nich skupioném, znaczenie ich, piękność, poezyą lub ohydę i brzydotę ludziom wrażał.

(1) Zdaje się że Epos, z którą tak śpieszono, miała usprawiedliwić wybicie medalu: „Musa vetat mori."

Tak samo jak w całéj Europie, dramat religijny kiełkował u nas po kościołach czasu świąt wielkich, Bożego Narodzenia i męki Pańskiéj. Do niego, jako *intermezza*, wciskały się sceny z życia powszedniego, przeplatając ucieszne mi obrazkami karty z historyi biblijnéj i Nowego Zakonu. Są téż ślady, że pogański obyczaj zostawił po sobie rodzime ziarno dramatu. Ze śpiewy, z przebiéraniem się za zwierzęta i postaci fantastyczne, obchodzono Kupały, Sobotki, święto wiosny, inne uroczystości, późniéj na chrześciańskie zamienione.

Jak u Hebreów wesela też były obrzędowemi dramatami, królem pan młody, królową młoda, marszałek i drużby dworem pańskim. Wszyscy przy porywaniu, wywożeniu, przybyciu do domu świekry, grali dramat podaniowy z pieśniami odpowiadającemi ceremonii.

Nie zbywało na wesołkach z tradycyjnemi żarcikami. Na pogrzebach najęte płaczki miały wyznaczone role, przemawiano do zmarłego i t. p.. Topienie śmierci Marzanny było téż hieratycznym dramatem.

Po kościołach przedstawiane dramata stały się wprędce swawolnemi, musiał je w r. 1207 zakazać papiéż Innocenty III. (List do arcyb. Gnieźnieńskiego). Rozporządzenie to papieskie u nas się zwykle przywodzi za dowód, że teatralne przedstawienia były w zwyczaju, i że wybryki im nieprzyzwoite towarzyszyły. Zdaje się wszakże, iż list ten papieski niewiele dowodzi, bo podobne rozesłał w tym czasie Innocenty III do innych krajów Niemiec, Hiszpanii i Francyi. Był to więc rodzaj cyrkularza.

Z XVI w. i XVII mamy próby dramatów liczne, a większa ich część w rękopismach pozostała.

Forma w nich bardzo pierwotna, ułomna, ale koloryt żywy i motywa domowe użyte często szczęśliwie. Wszystko to zjawiało się, znikało, nie miało ciągu, bo nie miało do rozwijania się sprzyjających okoliczności. Zawierucha nadchodząca rozpędzała artystów. Najlepszą odpowiedzią na pytanie dlaczego u nas teatrowi się nie wiodło, jest znany ustęp w Paska pamiętnikach, gdy grających w rynku komedyą aktorów, widzowie postrzelali.

Nieustannym dramatem było naówczas u nas życie, teatr stawał się zbytecznym, brakło dość spokojnego rynku, cierpliwych widzów i chętnych aktorów.

Ledwie też w szkole i klasztorze, gdzie spokój większy panował, teatr mógł się czasem próbować. Wystawne widowiska mieliśmy już za Wazów, i kunsztowne włoskie czarodziejskie sztuki; za

Augustów Sasów opery wystawiane z przepychem, dramata muzykalne, dekoracyjne, rozbudziły może ochotę do podobnych igrzysk.

Stanisław August, który chciał mieć u siebie wszystko, co posiadały inne cywilizowane narody, zapragnął też i teatru. Stworzył go dlań Bogusławski, z pomocą Bohomolca, Zabłockiego, Trembeckiego i innych mniejszego znaczenia pisarzy, którzy mniéj więcéj śmiało naśladowali, najświetniéj już naówczas rozwinięty teatr francuski.

Gdy stolica i król sceną się zajmowali, upodobanie w niéj wprędce przeszło i na pańskie dwory. Stało się modą grywanie przez amatorów sztuk francuskich, lub polskich z nich przerabianych i naśladowanych. Grywano w Puławach u Czartoryskich, w Dubnie u Lubomirskich, u Sapiehów, a potém i po mniejszych dworach. Wiek ten elegancyi i komedyi w życiu musiał się lubować w teatralnych przedstawieniach, które i tak co dzień się w salonach odbywały.

Ale jak wszystko w XVIII w., który był burzycielem, teatr przeważnie skłaniał się ku komedyi satyrycznéj, ku obrazom charakterystycznym. Poważny dramat, tragedya na wysokim koturnie nie odpowiadały usposobieniom epoki śmiechu i szyderstwa. Wolano maskę komiczną i śpiewek wesoły.

Ks. Biskup Warmiński i na tém polu sił swoich próbował. Znamy jego drukowanych komedyj siedm, w części pod imieniem Michała Mowińskiego, a wnosząc z tytułów zdaje się, iż parę zostało w rękopiśmie (Satyryk we czterech aktach, Papillot lub po modnemu) (1). Pierwsze z nich ukazały się w r. 1780, reszta w dopełnieniach Dmóchowskiego (r. 1832).

Są to najmniéj znane z pism Krasickiego, dlatego nieco obszerniéj powiemy o nich, chcąc dać wyobrażenie jak wybornie typy komiczne swego czasu pojmował autor.

Dzisiejszemi naszemi wyobrażeniami o warunkach dobréj komedyi, utworów tych Biskupa mierzyć się nie godzi. Komedya dzisiejsza jest więcéj dramatem niż komedyą właściwą, jest komedyą intrygi i sytuacyi, gdy Krasicki nie znał innéj nad komedyą charakterów.

Wszystkie Krasickiego obrazki dramatyczne są lekko naszki-

---

(1) Po modnemu i Papilot i Kroslenka nie są li trzema tytułami jednéj sztuki? Tak się namby zdawało.

cowanemi komedyami charakterów. Jeden, najwybitniejszy zwykle, barwę nadaje.

Nie ma w nich ani sztucznego węzła, ani intrygi, któraby budziła ciekawość, ani stopniowania w prowadzeniu i rozwiązaniu, ni zbyt starannéj formy. Charaktery wszystkie, wzięte z powszedniego świata, nadzwyczajnych psychologicznych zagadnień nie przedstawiają. W tychże cała treść leży. Są to: Mędrzec, Pieniacz, Łgarz, Solenizant, Frant, Statysta. Jedna tylko ma zagadkowy tytuł: *Krosienka*, a ta właśnie do najudatniejszych należy.

Wszystkie widocznie kreślone są bez planu, z pośpiechem, *curente calamo*, dla teatru domowego w Heilsbergu, dla pani Charczewskiéj, synowic, krewnych i dworu księcia Biskupa.

Nie zmagał się autor na wyszukaną formę. Coś to nakształt włoskiéj *comedia del' arte*, w któréj oznaczano tylko osnowę i główne punkta zwrotne, dając artystom swobodę, szycia wzorów własnych na téj tkaninie. I tu wiele ująć, wiele dodawać było można.

Raz uznawszy za uprawniony na scenie taki obrazek charakteru dramatyzowany, nie można Krasickiemu odmówić w rysunku postaci, które wprowadza, choć trochę jaskrawym i karykaturalnym dla efektu, wielkiéj trafności i komiki. Są tu figury napiętnowane doskonale, niedające się zapomnieć.

W najlepszym z tych obrazków, w Krosienkach, wprowadzona jest nieoszacowana para sąsiadów, pan i pani Rubasiewiczowa. On, zapalony myśliwiec, ona niezmordowana papla. W akcie drugim (Scena VII) Nemrod ten na małą stopę wychodzi po raz pierwszy i, zaledwie przemówił, już się nam odmalował cały.

Wita gospodarza domu:

— „Nie wiész co mi się stało? Nie mogłem się doczekać nim się moja żona wyguzdrze, kazałem więc konia okulbaczyć i wziąwszy parę chartów na smycz, daléj. — Tylkom co za wrota wyjechał, aż tu lis. Ja, Hajże! Dolot z jednéj strony, Frazia z drugiéj, ja z konia—lis w bok, Frazia tuż, a Dolot w onę, a ja na przełaj. Lis, frant mości panie, zapewne już szczwany, kominka! Frazia patrzy, lisa nie masz, a ja: Hajże! Hajże! Dolot tuż, tuż, tuż, ja lecę. Hajże! Hajże! Jakże się posunie Frazia, gdyby strzała, już téż, myślę sobie, po lisie. Cóż on, Mospanie na to? Jak zacznie ogonem merdać, to w lewo, to w prawo, zbałamucił Frazię, a tymczasem jak się posunie ku krzakom, jak pójdzie po nad krzaki, po za mogiłę, pomiędzy parowy, z oczu nam zniknął.

— Patrzę! źle! wołam, krzyczę. Dolot stanął; Frazia, ja nie wiém czy ją kto w tym punkcie oczarował, siadła na kempinie i nuż wyć! A już téż, jakem to usłyszał, taka mnie passya wzięła, żebym jéj był w łeb strzelił, porzuciłem lisa, daléj do niéj z harapem, frant

w nogi, ja za nią, a tymczasem i Dolota gdzieś kaci wzięli. Frazia uciekła, jam lisa nie dostał i konia zmachał na niwecz, i ledwom sobie piersi nie zerwał.

Poczciwy Rubasiewicz ciągle potém, gdy inni zajęci są pannami, gospodarstwem, siedzi w kącie i pomrukuje:

— Czy kaci nadali tego lisa!

— Czemu ja z sobą Michałka nie wziął? byłby zabiegł od chaszczów.

Rubasiewiczowa równie przedziwna ze swą paplaniną, w któréj z przedmiotu do przedmiotu nieustannie przeskakując, połapać się nie może. Mąż się z niéj śmieje i usta jéj zatyka.

Treść komedyi prosta, ale nie bez wdzięku. Państwo Spokojscy mają dwie córki, Juljannę faworytę matki i Maryannę, któréj ona nie lubi. Ta więc musi po całych dniach siedzieć przy krosienkach, nie mając pozwolenia wychodzić do gości, a Julianna, pieszczoszka, strojna, śpi do południa i robi co się jéj podoba. Matka ma na myśli wydać ją świetnie za mąż, a młodszą zamknąć w klasztorze.

Sama pani prosta kobiéta, niewielkiéj głowy, ojciec baczny, postępujący z taktem, z umiarkowaniem, odwzorowani wybornie. Epizodyczne figury wielce komiczne. Wiatrakowski, którego warszawska elegantka mocno proteguje, Uśmiechniewicz, Żartuliński, Rubasiewiczowie i pani Lubska, owa protektorka z Warszawy, każdy inaczéj i dobitnie scharakteryzowani. Ojciec jest niepokaźny, ale z wielką prawdą pojęty; rozumny, spokojny, przenikliwy a w postanowieniu wytrwały.

Wypieszczona Juljanna maluje się cała w jedném słowie, gdy w rozmowie z matką, która ją tak adoruje, na stronie się o niéj odzywa „Co za sentyment podły!“

Jak w innych autora komedyach, intryga żadna. Do Juljanny w konkury przyjeżdża z kompanią dobraną JMPan Wiatrakowski, wioząc z sobą w swaty panią Lubskę, która z despotyzmem warszawianki rządzi się w wiejskim domu, pannę porywa, różuje, stroi i gwałtem zaręczyć chce z protegowanym. Pocieszne sceny idą jedne po drugich. Tymczasem zamknięta w swoim pokoiku Marynia szyje w Krosienkach. Obejście się matki z córką starszą i młodszą wystawione bardzo dobitnie.

W ostatniéj chwili, jak zawsze u Krasickiego, *Deus ex machina*, występuje list przez panią Lubską podarty na papiloty, gdy pośpiesznie stroiła Julusię. List to zdradziecki, pisany przez konkurenta, malujący cały dom Spokojskich w najjaskrawszych kolorach. Naturalnie pierzcha wszystko, a dawny skromny pretendent panny

Juljanny, którego odegnano, gdy go znów mama do łask przypuszcza, prosi o rękę młodszéj, co szyła w krosienkach.

Niektóre sceny bardzo komiczne. Żartuliński improwizuje ciągle wierszyki.

Na co się tam i broń przyda,
Gdzie tkwi w sercu grot kupida,

a drugą razą:

Śliczne wdzięki
Co poręki
Szukacie.
A czernidła
Z wdzięków sidła
Nie znacie i t. d.

Przez dobrych artystów odegrana, trochę ułożona dla sceny, pewni jesteśmy, że ta prosta komedyjka ubawiłaby tych, co piękno we wszelkiéj formie ocenić umieją.

Ciekawy jest tu ustęp o komedyi polskiéj.

Przystojnicki. Szkoda talent zakopywać, pisz WPan komedye.

Wiatrakowski. Polskie komedye?

Spokojski. Alboż to nie może być komedya dobra po polsku?

Wiatrakowski. Kasza nie komedya, WPanie. Nasz język się do tego nie urodził.

Spokojski. Mnie się zdaje, że te rzeczy zawisły nie od języka, ale od pisarza.

Komedye Krasickiego, gdyby innych nie miały zalet, szacowne są pod względem potocznego języka, wyrażeń jego i zwrotów, a wreszcie obyczajowych szczegółów.

Nie można téż do nich przywiązywać téj wagi co do innych pism autora, gdyż są zaledwie na papiér rzucone, nieopracowane, a Krasicki nie przyznawał się do nich, czując sam zaniedbaną formę i niewykończenie.

Z porządku pierwszy Łgarz, którą z tytułu posądzaliśmy o naśladowanie sławnéj francuskiéj, znanéj Krasickiemu, jak się okazuje z jego zbioru wiadomości i dzieła o Rymotwórcach, w którém autora porównywa z Molierem,—jest oryginalną. Osnowa prosta. Erast, bohatér dramatu, stara się o córkę dobrodusznego pana Anzelma, rozkoszującego się w jego opowiadaniach. Naprόżno matka panny (Kostusi) stara się zapobiedz, aby córka nie padła ofiarą. Nie wiadomo czyby się jéj z mężem powiodło, gdyby, Deus ex machina znowu, nie nadjechała ciocia Łgarza i szalbierstw jego zuchwałych nie odkryła. Tu także figura epizodyczna, niejaki Bywalski, doskonale z natury uchwycony. Człowiek to, który nikogo nie radby

obrazić słówkiem zbyt ostrém, nikomu wręcz zaprzeczyć. Niezmiernie delikatnie, ostrożnie, zdaleka, z pewną ironią ukrytą, stara się rozbujałe umysły na prostszą naprowadzić drogę. Bywalski to typ akomodującego się rezydenta, który i naraziéby się nie rad, i zmilczéć a fałszom potakiwać nie może.

Anzelm (ojciec). To nas starych defekt, że jesteśmy niedowiarkami.

Bywalski. Arcydokładnie wyłuszczyłeś WPan w krótkich expresyach przywary nasze, i ja nie mogę tylko iść za jego godném zdaniem. Zdaje mi się jednak (może się i mylę), ale przynajmniéj zdaje mi się, iżem słyszał od ludzi nierównie odemnie oświeceńszych, iż pora dojrzałego, albo li raczéj doszłego już wieku, skłaniając się ku owéj pierwszéj, którą to wiosną życia pospolicie zowiem, zarywa téż nieco na jéj sposób myślenia. A ten spieszy się czasem z decyzyą. Nie mówię ja tego, iżby starzy mieli być lekkowiernymi, jak niemowlęta, ale się nad tém tylko zastanawiam i niejako zadziwiam, iż oświeceńsi odemnie tak trzymali."

Delikatniéj dać do zrozumienia p. Anzelmowi, że zdziecinniał, niepodobna było.

Ciocia Grujska, przypomina bardzo Rubasiewiczową w Krosienkach, ale przedziwna. Opowiadania jéj noszą cechę szlacheckiego, zaściankowego paplarstwa przeszłego wieku:

„Trzeba żebyś WPan wiedział, że jego matka a moja siostra rodzona (o co to za białogłowa, już takiéj drugiéj trudno szukać), ta tedy siostra, MPanie, ja nie wiem z jakiéj okazyi, powiadają że z przestrachu, kiedy u pani Kierzbuńskiéj gumna się paliły, cokolwiekbądź, WPanie, czy z przestrachu, czy nie z przestrachu, zachorowała na żółtaczkę, sprowadzili żyda cyrulika i zapewne on ją zabił, bo kto to widział krew puszczać w żółtaczce. Jam téż od tego czasu uczyniła sobie votum, nigdy krwi nie dać puszczać, a osobliwie żydowi. Po śmierci tedy nieboszczki mojéj siostry, ojciec Erasta (to był wielki pijak) miał nieszpetną posesyjkę, w Kukurowcach pół trzeciéj włóki i młynek, ale on to wszystko przepił i jak na nieszczęście poszedł w świat bez mojéj wiadomości, i gdzieś się tam ożenił (już nie pamiętam jak się to miejsce zowie) a co gorsza spłodził cztérech synów i córek siedm. Patrzajże no pan jakie to nieszczęście z temi pijakami! Ale co mi tam do jego dzieci z powtórnego małżeństwa! Ja tylko o tych mam i będę miała staranie, co z mojéj siostry są urodzeni, chociaż mój kochany pan szwagier i swoje co miał stracił i posag swojéj żony a mojéj siostry przemarnował. A WPan to zapewne przyjechałeś na wesele mego siostrzeńca? Jam nic o tém wszystkiém nie wiedziała. To nie bardzo grze-

cznie. Szczęściem przejeżdżając tędy, postrzegłam w karczmie jego woźnicę i kolaskę. (Ja nie wiem zkąd on téj kolaski dostał, bo odemnie wózkiem parokonnym wyjechał), postrzegłam tedy woźnicę, zawołałam go do siebie—Wojciechu, a co tu robicie? a on mi odpowiedział. Jestem tu z panem, bo pan się żeni. Z kimże się żeni? Z tutejszą panną. Jakem to usłyszała, takem kazała nawrócić do dworu.“

Solenizant (we trzech aktach) zbudowany jest w ten sam sposób, bez kunsztu, charaktery zaledwie narysowane, ale grubo, dosadnie, wyrazisto, choć bez cieniowania. Solenizant jest utracyuszem, który marnuje majątek, otoczony całym rojem darmozjadów zabawnych, wśród których jeden, poczciwy stary szafarz Bartłomiéj nad swym panem ubolewa. Solenizant trzyma Marszałka dworu, kapelę, wojsko nadworne i do niego zająkliwego kapitana, podskarbiego, koniuszego, sekretarza, pokojowców i t. d. Właśnie gdy się zabiéra uroczyście i świetnie obchodzić swe imieniny wierzyciele go mają tradować. Stryj dobrodziéj nabywa długi, traduje go sam, aby nastraszyć, przebacza mu i żeni go z panną Cześnikówną, wziąwszy słowo, że szaleć nie będzie.

Scena ze dworem niepłatnym, bardzo dobrze ułożona. Wojskowi, oprócz innych funkcyj, mieli obowiązek noszenia półmisków do stołu. Wydaje się to przesadzoném, tym czasem jedna z broszur współczesnych, wyraźnie podobny *casus* wzmiankuje w wojsku regularném Rzeczypospolitéj. Dowód to, jak Krasicki prawdziwe wprowadza obrazy.

Pijany już JMPan Pogromski wtacza się winszować Solenizantowi.

„— Pana dobrodzieja witam i winszuję aplauzów—statecznego, wyroków boskich! Ale jakież to wino u naszego kochanego Cześnika! Przysięgam Bogu, to kochany dobrodziéj, to pan! (patrząc na kapitana) a Jegomość z Flandryi?

— Nie, to komendant moich nadwornych żołnierzy.

— Mości panie komendancie nadwornych żołnierzy, kłaniam.

— (Kapitan) kła-a-aniam.

— Kochany rycerzu, powiédz co tam słychać we Flandryi?

— Jużem powiedział WPanu, że Jego Mość nie z Flandryi.

— Jegomość, nie z Flandryi! przepraszam! Ale pan dobrodziej już to podobno zapomniał o prawdziwych sługach swoich.

— Po czémże to WPan miarkujesz?

— Po czém miarkuję? po wszystkiém.

— Jak to?

— Ot tak! Naprzód panowie, jak to bywało za dawnych czasów, póki świat światem! aha!

— Nie rozumiem.

— Ale ja rozumiem (do kapitana) Monsiu, a każ nam wina przynieść.

— (Kapitan) Ja nie do kie-kie-liszka słu-użę.

— A do czego? kochany rycerzu?

— Do, do ucze-czenia rozu-umu.

— (do Kapitana) Daj WPan pokój, wszak widzisz że pijany, nie rób mi historyi w domu.“

Przynoszą tedy wino i piją: Stateczněj przyjaźni—*Cujus festum colimus* i t. p.

Wyborny jest i Marszałek dworu, który wyraża dobitnie teoryą, jakiéj wówczas hołdowało wielu:

„Wybaczyć chłopu? Nigdy. Wierz mi WPan dobrodziéj, iż ten *rodzaj* żadnego względu nie godzien. Dobroć go psuje. Urodzony do jarzma, trzeba żeby jarzmo znał, inaczéj się rozbryka, i jeżeli go batóg nie nawróci, szubienica chyba reszty dokaże.“

Komiczną jest scena stryja ze starym sługą, czytającym regestr długów, komiczna propozycya sekretarza, który chce na piramidach cukrowych u stołu dać napisy swéj inwencyi. Przy herbie Rogala (Krasickich)

Wdzięczne rogi,
Trwogi, w nogi.

Przy Rawiczu panny (Panna na Niedźwiedziu)

I niedźwiedzie
Afekt wiedzie.

We Francie, który intrygą sobie usiłuje wyrobić łaski w domu a zyskawszy je z córką się ożenić, stosunkowo główny bohatér słabiéj jest narysowany niż zwykle. Za to figury epizodyczne, stary nauczyciel, który Alwara uczył młodzieńca, doskonały pedant, i inni równie typowi. Scena franta z nauczycielem bardzo zręcznie prowadzona.

„(Frant) A mój serdeczny, kochany dobrodzieju! Jakżem nieskończenie rad żem cię tu zastał! każda godzina bez miłéj, uczonéj, wdzięcznéj, WPana konwersacyi, jest mi przykra, nudna, frasobliwa, okrutna.

— Dziękuję za łaskę WP. D. *non sum dignus quem me facis, sed...*

— Co to za erudycya! sentencye! maxymy! wyborne; sypią się jak z wora, jak z kornukopij. Alem podobno przeszkodził, żeś

WPan, mój najukochańszy dobr. nie dokończył swojéj wybornéj sentencyi. Proszę mi ją dopowiedzieć. Wpiszę w pugilares, będę nosił na sercu, miał zawżdy w ustach.

— Non *sum dignus quem me facis, sed esse conabor.*

— *Sed esse conabor!!* przewybornie! przecudownie! *Sed esse conabor*! Czy może być zdanie, maxyma, sentencya przedziwniejsza. Przepiszę, schowam, będę strzegł jak źrenicy w oku.

— Excess to łaski WP. Dobr. Radbym się stać zdolnym do wszelkich usług.

— Mojeć to pragnienie, moja chęć, moja powinność.

— Ale M. Dobr...

— Nie jest to komplement, to prawda szczera, proszę nakazać.

— JMPan Pradziadowski.

— A to mój dobrodziéj, człowiek zacny, godny, nieoszacowany.

— Łaskę mu WPan czynisz.

— Sprawiedliwość.

— Pradziadowski przymioty WP. *et quid in pectore geris.*

— A! cóż to za erudycya! *In pectore geris!*

— JMPan Pradziadowski pragnie.

— Nie odmówię czego pragnie, żądania jego dla mnie rozkazem.

— JMPan Pradziadowski, mówię, pragnie (do siebie. Ja sam niewiem czego?) pragnie tedy, mówię, JWPan Pradziadowski, abyś WPan raczył żądania jego synowca...

— Rozumiem żądania sprawiedliwe, zacne synowca.

— Tak jest, synowca JMPana a mego dyscypuła.

— To miał honor być WPanu dyscypułem! O! szczęśliwy!

— A! Mści dobr.

— Fortunny.

— A! mości dobr.

— Wybrany!

— A! mości dobrodz. itd.“

Frant łapie się w sidła własne i na tém koniec. Intryga żadna, rozwiązanie jak nożem ciął.

W Statyście, Krasicki odmalował jednę z wybitnych wad swojego czasu, którą bodaj czyśmy po nim nie odziedziczyli, wadą zajmowania się kombinowaniem konjunktur politycznych, do których ocenienia nie mamy należnéj podstawy; bałamucenia się niedorzeczną polityką, która nas od pracy i obowiązków powszednich odwodzi. Zapalony ów Statysta, odmalowany do zbytku naiwnym i łatwo-

wiernym, ale i tacy się trafiali trzéj politycy domorośli, szczególniéj Uwaziewicz w kombinacyach politycznych przewyborni. Jeden zchodzi się ze Statystą.

„Szukałem WPana, mam ciekawy skrypt, który mi przesłano przez pocztę.

— Przez jaką pocztę?

— Dzisiejszą.

— Ale tu nie o to idzie. Pytam się WPana przez pocztę koronną czy litewską?

— Koronną.

— A! to już wiem.

— Co takiego?

— Kurjer o któréj godzinie przyjechał?

— O dziesiątéj.

— Z rana czy wieczór?

— Zrana! Jeszcze dziś trzecia z południa nie wybiła.

— Mógł wczoraj przyjechać.

— Przyjechał dziś.

— Źle.

— Cóż to ma do złości lub dobroci, że poczta przyszła rano nie wieczór?

— Pytanie to czyni krzywdę WPanu, nie widzisz Pan, że w śpieszności może być tajemnica.

— Chciałbym ja tu co widzieć, ale przyznam się nie widzę i proszę byś mnie chciał z łaski swéj informować.

— Potém o tém, —Teraz ja WPanu komunikować będę pewn e pismo, które... ale. Ten kurjer konny czy wozowy.?

— Konny. Jeszcze i poczty wozowéj nie mamy.

— Kurjer! o dziesiątéj rano! konny? Wszak trąbił?

-- Trąbił.

— Kluje się rzecz! MPanie, żebyśmy mogli jeszcze wiedzieć czyli ten kurjer zaraz na poczcie listy oddał, i czyli były niektóre osobno, a niektóre w pakietach... potém, te pakiety, czyli itd.“

Zakończenie zwykłe i dosyć niezręczne; bo udający doktora Pankracego służący amanta do zbytku jest niezdarną marjonetką. Wszystko to nieco długie, bo, choć charaktery dobrze się zarysowują, brak intrygi, rozwinięcia tworzy monotonią. Sytuacya się nie zmienia, sceny powtarzają, wszystkim tym obrazkom brak planu i obmyślenia.

W Mędrcu, główną rolę gra Jegomość, który, chcąc się z córką ożenić, fantazyom filozoficzno-naukowym pani matki dogadza i bałamuci ją górnolotnemi sentencyami. Wprawdzie u nas także panie,

zajmujące się astronomią zamiast kur i filozofią miasto bielizny, mało się naówczas praktykowały, ale Krasicki nie malowałby zupełnie nie bywałéj istoty. Coś w tém jest prawdy. Cała ta komedya do słabszych należy. Intryga subretki ze służącym niepotrzebna, zbyteczne przeciąganie sztuki nieusprawiedliwione. Postaci nawet mniéj trafnie i dosadnie są pomyślane.

Rozwiązanie, zużyte przez samego autora, zawsze jedno i nagłe.

Ostatnia z komedyj „Pieniacz“ jest obrazem obyczajowym, w którym się wiele rysów ciekawych epoki zachowało i przez to samo już jest cenną. Figury wchodzące do niéj jak żywe. Przeciwko pieniactwu i w Podstolim i w Doświadczyńskim jest wiele. Była to namiętność szlachecka.

Plenipotent Repertowicz, sam pan Anzelm, patron, woźny, są to przypomnienia trybunalskich czasów.

„Jak też to téj sprawiedliwości nie można doczekać! Siedziałem w Piotrkowie od reasumpcii aż do adwentu, w Lublinie od Reminiscere do Ś. Małgorzaty i czegom doczekał? Na pani prawnickiéj kondemnata, z sukcesorami nieboszczyka Pieniackiego kondescensia, z panią Czubską kompromis, i ten nie doszedł, z kredytorami Rozprószyńskiego sprawa oczewista, jasna jak słońce, wpis nie doszedł!! A był ośmnasty z góry, a jeszcze dla większego bezpieczeństwa i niżéj czterdziesty trzeci i niżéj siedmdziesiąt ósmy i jeszcze niżéj sto czternasty, i jeszcze niżéj.“

Nieoszacowane są szczegóły. Anzelm się tłomaczy dlaczego woźnym zrobił sługę. „Nie nadał mi się Łukasz, co go zabito na zajeździe, bo też był pijak. Prawda że to zabójstwo wiele nam sprawę poparło, ale jednakowo szkoda człowieka. Krzysztof nie był sprawny. Ostatnią razą go posłałem z pozwem, a on pozew zgubił. I głosu też nie miał, a tu jednakowo trzeba aby wszyscy woźnego słuchali, kiedy krzyczy.“

Właśnie ów nowo kreowany woźnym sługa wraca pobity. Repertowicza to niezmiernie cieszy.

— „Nie źle. M. Dobr. nie źle! do sprawy prawnéj sprawa uczynkowa, *ad causam juris causa facti*, dwojaki aktorat. Zagramy z taktów.

— Tak jest, będzie obdukcya.

— Tak, tak. M. Dobr., obdukcya! A gdyby poranienie było przyczyną śmierci, jeszcze lepiéj.

— Słuchajno, szkoda kucharza.

— Niech i żyje, ale M. Dobr. trzeba pośpieszyć, póki się rany nie zagoją. A sprowadzić *pendum in lite*.

— Kogo?

— Cyrulika, coby wyemikleował srogość blizn zadanych uczynił wizyę sińców, guzów, ran, znaków, potłuczenia, naruszenia, uszkodzenia, wyrwania, zarwania.

— Dobrze M. Dobr. ale nie mamy *peritum*.

— Jakto nie mamy *peritum*? w potrzebie musi się znaleść! Sprowadzić.

— Ale koszt!

— Fraszka! byleśmy się dowiedzieli (co jest esencyalna) iż niniejsze potłuczenie, naruszenie było szkodliwe, dotkliwe, boleśne, znaczne, niebezpieczne, a co *basis et fundamentum* rozmyślne.“

Osnucie niewiele sztuczniejsze od innych, dodano tylko subretkę i sługę amanta. Oprócz tego brat pieniacza, popiérający pretendenta; główną jednak wartość stanowią powieściowe niemal szczegóły obrazu. Te są wszystkie przedziwnie wykończone.

„Słuchajże mnie waść, pan Repertowicz, powiada pieniacz. Ot że to jest mapa rozgraniczenia między Popowem a Czapajkami. *Terminus a quo*, jezioro zwane Brzesz, od niego wychodzi struga, to jest rzeczka, nazwiska nie ma, dalej las, zwany Bodbójczyzna, a jak akt opiewa z prawéj strony pola popowskie, z lewéj zarośle lasu a na dębach starych uczynione znaki, wpośrodku zaś droga publiczna, dalej kopce stare, daléj grobla na stawku popowskim, daléj, jak tranzakcya opiewa, *domus coloni Bartholomei*, dalej łąka zwana zamojszczyzna, dalej błota przysadzkie, dalej Popow, dalej zarośle, dalej Kołotowo, potém struga, dalej pole Czapajskie i las Dąbrowa. Jezioro Brzeń jest i ja mam wolne łowienie. Oto teraz idzie, jak masz dukt prowadzić, bo gdyby tak szedł jak go strona przeciwna oznacza stracilibyśmy połowę lasu, stawek, łyko zamojskie, a może by się i Popowa kawał nie lada jaki stronie przeciwnéj dostał, a co najgorsza w naszym dukcie (wszak żeś WPan tam był?) w naszym dukcie i kopca jednego nie masz, a oni mają siedemnaście.“

Trzeba po tym wykładzie sprawy słyszeć jak mądry Repertowicz wywodzi, że w oryginalnym dokumencie rozgraniczenia jest karta przedarta, a po niéj dopiéro wyraz nie cały: ....*chodzi*. Cóż znaczy to... *chodzi*? czy rzeczka przechodzi, przychodzi czy wychodzi? Ponieważ zaś oryginał jest w ręku strony przeciwnéj, po coby ona miała przedzierać go, gdyby on jéj posługiwał? Ergo, przyrasta aktorat o fałszerstwo i o deterioracyą dokumentu.

Repertowicz przeciwko duktowi strony przeciwnéj prowadzi swój dukt, tak ciekawy zaprawdę, że go warto posłuchać!

„Od strugi las pobójszczyzna! prawda że nie masz lasu z téj strony jeziora, ale to nie jest racya iż co było lasem w r. 1632, teraz lasem być ma? Nie daleko zaś strugi jest mogiła, a że ta oznacza bitwę, bój, znać iż las, który tam przed tém bywał a *successu temporis* wycięty został, od mogiły owéj bojowéj sobie przyległéj zwał się pobójszczyzną kiedy lasów nie ma, znaków na dębach szukać nie można, a i druga strona bez tego ich nie pokazuje. Daléj droga publiczna. Prawda że jéj w tém miejscu nie masz, ale i strona przeciwna podobnéj nie pokaże. Droga publiczna M. Dobr. *secundum principia legis*, ta jest która komunikacyą handlową czyniąc z miasta do miasta i to handlowego prowadzi. Nie pokażą IchMość tego przymiotu drogi swéj, dukt bowiem jéj prosty ze wsi do wsi, *ergo* nie z miasta do miasta, a choćby ze wsi do miasta albo z miasta do wsi szła teraz, może w czasie tranzakcyi dawniéj nie szła, a choćby i szła może nie była publiczna jak tylko nie nad tą strugą i nie około tego lasu, który jest wzmiankowany, do poparcia sprawy służyć nie może. Kopce stare, te we dwieście lat wklęsnąć powinne, a jak tylko tamta je strona ukazuje, znać że usypane późniéj—owóż na stawie popowskim! Alboż to jeden staw mógł mieć Popów a *per consequens* groblę? Są z naszéj strony niziny i owszem przez jednę idzie strumyk i gdzie niegdzie widoczne znaki grobli. Dom zagrodnika Bartłomieja, ten z obudwu stron nie trwa, ale mamy niedaleko pole Bartniki, zapewne było dawniéj tego Bartłomieja, *aper abbreviationem* nazwane, jak chłopstwo mówi od Bartka Bartniki. Łąka zawojszczyzna referuje się do mogiły Bojowej, daléj Popow, reszta to jest Kołotowo: Dąbrowa żadnéj stronie nie służy, ponieważ te nomenklatury z krzywdą naszą a zapewne podstępem strony przeciwnéj zginęły. Widzisz tedy WPan dobr. itd.“

Rachunek z Repertowiczem równie doskonały. P. Anzelm po rozmowie z nim, nowemi nadziejami procesu nakarmiony, wykrzykuje—to skarb nie człowiek!

Pomimo tych ustępów i scen pojedyńczych dobrze prowadzonych, budowa komedyi i tu słaba, zaniedbana, niezręczna. Udający prawnika sługa kochanka, figura znana z małą odmianą w Łgarzu i Statyście, rozwiązuje komedyą w potrzebnéj chwili, bardzo nieudatnie. Całość zbyt długa, rozwlekła. Na dramatycznym talencie zbywało autorowi widocznie, nie umiał się formą krępować, lecz szczegóły są z innych względów wyborne.

Komedya ze swemi wymaganiami surowszemi, warunkami pochodu, stopniowania, ograniczania się, skupiania świateł, rozdziału cieniów, nie była polem właściwém dla dowcipnego satyryka, bajarza i powieściopisarza, nawykłego do swobodnego fantazyi polotu.

Sam on to czuł zapewne, nie próbując swym obrazkom nadać staranniejszéj formy. Były to szkice na papiér rzucane, ledwie Mowińskiego starego godne, ale dla nas ciekawe pod względem obyczajowym.

Z ustnych podań wiadomém było biografom Krasickiego jak ściśle i poufne stosunki łączyły go z królem Fryderykiem II. Szczegóły o nich znajdujemy w następującéj korespondencyi. Niestety, dowodzą one jak przy całéj swéj przenikliwości i znajomości serca ludzkiego, ulegał Biskup urokowi, który otaczał monarchę, zwanego królem filozofem, jak nie umiał poznać się na człowieku, który go dobrodusznością swą zachwycał.

W r. 1781, d. 2 Stycznia, z Berlina pisze do Antoniego: „Powinszowanie N. Roku opóźniło się z przyczyny mojéj podróży, którąm bez przykrości odprawił. Wiślany jednak przewóz był trochę niebezpieczny, ile że o kilkaset kroków odemnie załamali się żydzi na lodzie z towarami. Ja to widząc pomyślałem sobie jak to czasem i dobrze nie być nadto obciążonym, i zacząłem tembardziéj czcić Diogenesa.

„Podróż moja do Berlina trwała ze wszystkiem dni dziewięć, alem się zatrzymał dzień jeden w Kwidzynie, to jest Marien-Werder, a półtora dnia w Chełmnie u Grafa Hohenthala, Koadjutora Chełmińskiego. Drogę obrałem sobie na Marien-Werder, Grudziądz, Chełmno i Kustryn, dla tego że jest krótsza, ośmią milami od Gdańskiéj, którąśmy razem niegdyś z WPanem odprawiali. Wziąłem za towarzysza podróży ks. Marcina (który notabene bez miłosiedzia ostrygi połyka). Drugi kompan podróży ks. Puget kustosz wiślicki, syn Starosty Duninowskiego, który jest przy mnie z zalecenia króla polskiego.

„Przyjęty byłem od króla (Fryderyka II) z większą jeszcze łaskawością i dystynkcyą niż innych czasów. Bawię się dobrze, jak zwyczaj w miastach wielkich i tego mi tylko nie dostaje żebyście byli ze mną.

Odgłos powietrza w Polsce uczynił tu wielką sensacyę i dla tego kordon już jest na granicach od Polski założony, pod komendą jenerała ułanów Usedom, mającego swój garnizon w Bydgoszczy, niedaleko granicy.

„Cudzoziemców tego roku na karnawał nie liczemy wielu, oprócz niektórych z Szlązka, którzy się za cudzoziemców niezwykli liczyć. Graf Lehndorf znajomy WP. mój sąsiad nie znajduje się,

a przeto ubył mi jeden dom, gdziem się był zwykł poufale zabawiać.“

Dalej d. 7 Stycznia: „karnawał tutejszy lubo wspaniały, nie jest jednak tak ludny jak przedtém, a to z przyczyny niebytności brata królewskiego księcia Henryka i synowca księcia pruskiego, który dla febry tercjanny w Potsdamie został.

„Moje przyjęcie i codzienne uczęszczanie u króla, nadzwyczaj, mogę mówić, z strony monarchy łaskawe. Staram się o ile możności, *bawiąc go*, oświadczyć mu moją wdzięczność. Jeżeli zaś w waszym kraju macie jakowe pogłoski o jego słabości, powiedz że WPan każdemu, a jeśliby chciał i był niedowiarkiem przeczytaj, żem go zastał czerstwiejszego i zdrowszego niż był przed pięcią laty, tak zaś wesołego i raźnego, jakby miał lat ośmnaście. Piszę WPanu ten list jadłszy z nim obiad. Siedzieliśmy cztery godziny u stołu. Tak się dziadunio rozkomosił i mnie tak rozchichotał, żeśmy się śmieli jak dzieci, a napowiadaliśmy sobie bajek z półtoréj kopy, a między innemi był i Dubieck i Nienadowa i Nozdrzec. A ci co stali za drzwiami rozumieli może że szło o equilibrium całéj Europy, co i on sam powtarzał i śmiał się *ut octo*, a ja, *per consequens*, tyle drugie. Ale gdybyś WPan był ze mną, jakżebyśmy się bawili, jakżebyśmy ostrygi jedli. Martineau już ma brzuch tak odęty ostrygami, że go z sobą do karety brać ledwo mogę.

„Jadę do króla znowu na wieczerzę.“

W Lutym znowu: (d. 3 Luty). „Pokoju ja koniecznie chce i wszyscy go pragnąć powinni. Chwała zaś panu Bogu nie ma aparencyi żeby się (przynajmniéj w tych czasach) miał przerwać. Dosyć tego głupstwa po innych częściach świata. Daj Boże, żeby jeszcze Francuzi i Angielczycy chcieli się uspokoić, a my mówmy Amen!

„Król, zabawiwszy tu czas zwyczajny, powrócił do Potsdamu i tam sobie spokojnie odpoczywa, zupełnie zdrów. Książe pruski po kilkodniowéj febrze przyszedł także do zdrowia, nie mógł jednak być z królem w Berlinie, dla swojéj słabości. Księcia Henryka także nie było na karnawał, siedzi sobie spokojnie w Reinsbergu. Pałac tutejszy bardzo pięknie uformował, osobliwie apartamentem nowym i galeryą w kopersztychach. Do zabawek tutejszych braknie komedyi francuskiéj, która tu zwykle przed tém bywała. Opery zaś zwyczajnym trybem przez cały karnawał odprawowały się, i ich dekoracye wspaniałe bardzo się podobały ks. Marcinowi.

„Ja tu myślę zabawić do Marca, z skowronkami wybiorę się do Warmii na oczekiwanie przybycia państwa i infantów i infantek zgoła całego Dubiecka.“

Oprócz innych zatrudnień, Biskup pamiętał tu o swym ulubionym ogrodzie, do którego kupił czterdzieści gwoździków żółtych, obiecując też kwiaty posłać bratowéj i życząc, aby miała „Ogródek, żeby się nieboszczka królowa Semiramis, patrząc nań rozpłakała, a może gorzéj, z zazdrości.“ Nie zapominał téż o portretach do galeryi swojéj o które naglił. Febra kataralna, na którą cierpiał, nie przeszkadzała mu pilno się dworem zajmować.

„Pisałem onegdaj (d. 3 Lut.) więc od trzech dni żadnych nowych wiadomości nie przybyło, ani publicznych ani prywatnych. Czasy zaczynamy mieć lepsze, a na końcu tego miesiąca, Berlin zaczyna już używać wiosny.

„Król jest w Potsdamie, zdrów, pomimo łgarstwa gazeciarzów, którzy go od lat dziesięciu ustawicznie morzą, a on z nich sobie żartuje i ma się wyśmienicie. Ja za niedziel kilka, a może jeszcze i w tym miesiącu do Potsdamu wybieram się, spodziewając się niezabawem, jak i dawniéj, być tam zawołanym, na końcu tego, albo na początku przyszłego miesiąca. Oj, coby to tam można pokraść drzewek rzadkich i kwiatów, ale darmo, bo tamtejszy ogrodnik nie był uczynny.“

W Marcu jeszcze był Biskup w Berlinie, i pisze d. 3 Marca do brata znowu: „Przyczyną powszechnéj biedy, wielość nowych potrzeb, których przed tém nie znano, te zaś tak dalece w zwyczaj weszły, iż co było niegdyś zbytkiem, dziś bez tego obejść się nie można. Słudzy podrożeli a służba gorsza, towary lada jakie a cena wysoka. Jednėm słowem, powiadają, że nasz wiek rozumny, a ja mówię że głupi—i mam na to więcéj niż dwadzieścia cztery dowodów. Co lepszego czy grosz pewny, czy dwa które nie są? Będzie odpowiedź na Łowicz,.. Zdaje się to *in figuris*, ale racz się waćpan zastanowić, uznasz że lepsza gąska w kojcu niż dudek na kościele, i to jeszcze *in figuris*, ale łatwo WPan u siebie na to komentarz znajdziesz.“

Ustęp ten odnosi się do myśli brata, który już o arcybiskupstwo gnieźnieńskie wcześnie w Warszawie zabiegać życzył.

Daléj w liście „O Hetmanie (Branickim, który się miał żenić z panną Engelhardt) tu nie mamy dokładnéj wiadomości czyli się ożenił. Partia z wielu miar dobra, i dama ma być grzeczna i piękna. Szczęść mu P. Boże, ale w tym wieku już to podobno późno na gniazdo kwilić. Prawda że to te marjaże....

„Posyłam bardzo podobne *silhouette* króla i kscia pruskiego. Każ je WPan w pierścienie wsadzić, taką oprawą jak antyki, bez kamieni, z obwódką małą złotą na około. Byłbym je kazał tu oprawić ale zabrało by wiele miejsca w liście, i port dość kosztowny,

więcéj by WPana kosztowało. Ja ztąd po jaskółkach wylece do domu, czekać będę *expansis manibus*, pożądanego przybycia, które rozweseli pustynię Heilsbergską.

„Z wiadomości publicznych nic osobliwego, warczą, dąsają się, ręce zacierają, plują w bok, po czuprynach się głaszczą, z góry patrzą, a kiedy do czego przyjdzie, nie robią nic. Oj prawdziwie nasz wiek, co głupi to głupi.

Posłałem królowi do Warszawy nowe wiersze w rodzaju Satyry i mam kilka jeszcze podobnych w robocie, które, da Bóg, za przyjazdem WPan zobaczysz, a *może* i *drugi już dokończony* tom pana Podstolego."

Z Berlina jeszcze d. 15 Marca:

„Wiadomości tutejsze dosyć ciche, bajki o zdrowiu królewskiém nie warte najmniejszego względu. Tak dobrze zdrów albo lepiéj niż za młodszych lat.

„Cóż WPan powiész, gdy mu oznajmię ale bardziéj jeszcze Jejmości saméj, iż ten, który u mnie wczoraj jadł i dziś jeszcze jeść będzie wieczerzę, iż ten, który u mnie bywa, ze mną bywa, przy mnie bywa, koło mnie bywa, zowie się.... Zgadnij WPan jak się zowie? Oj! zapewne WPan nie zgadniesz! przecież zastanów się WPan, połóż list, pomyśl, rozmyśl się, weź na uwagę, kombinuj rzeczy, miarkuj okoliczności, głęboko rzeczy roztrząś, jedno z drugiego wnoś *quis? quid? ubi? quibus? auxilijs? Cur? quomodo? quando?* a no? zgadłeś WPan? otóżeś nie zgadł—Siedliski.

Siedliski-ki-ki i jeszcze raz, ki. Nasz sąsiad, parafianin z Mościsk, dziedzic na Trzciańcu.

„Góra z górą się nie zejdzie, człowiek z człowiekiem się zejdzie.

„Przebył Anglię, Francyę, Włochy, Niemce, teraz tu się znajduje. Był prezentowany u dworu przez Rezydenta Cesarskiego i notabene ma Baranią głowę ową pod szyją i dwie perły w kieszeni, a to po ś. p. ojcu, zastawnym sposobem od ś. p. Sanguszki. Daj im Panie Jezu Chryste wieczny odpoczynek—Amen."

Podróż się zwlekała do Warmii, w końcu Marca Biskup siedział jeszcze w Berlinie. Dnia 25 pisze: „U nas tu wiosna już się zaczęła, a z nią ekzercycye wojenne, burzliwe, wrzaskliwe, grzmotne. Widok jednak bardzo piękny i ja się wstrzymać sam od tego nie mogę, żebym na niego nie uczęszczał. Rozumiem że i WPan, choć nie w tak wielkiéj liczbie, masz u siebie podobne i równie się ze mną bawisz, większy zaś odemnie jeszcze smak czujesz, ile jednego z niemi będąc rzemiosła" (p. Antoni służył wprzódy wojskowo).

O tych to paradach berlińskich, z tego samego prawdopodobnie czasu, jest list do S. (wyd. Dmóch. XXXI) do S. w którym Biskup ostatecznie konkluduje:

Czy to wojna, czy przymierze,
I co daje, i co bierze,
Na to, czém jest, nie pamięta,
Zgoła, ludzie są zwierzęta.

Porównywa te ruchy wojskowe do fenomenów niszczących w przyrodzie:

Jak Etna ogniami swemi,
Jak nagłe trzęsienie ziemi,
Jak płomień mieszkania zrzący,
Jak ulew nadbrzeża rwący,
Jak żywioły w swoim sporze,
Jak zbujałe wiatry, morze....

Powrót do Warmii zwlekał się ciągle, w liście 27 Marca, odkładał go Biskup do końca Kwietnia, do początku Maja, bolejąc nad tém, że w swym ogrodzie nie zobaczy rozkwitających narcyzów, aurykułów i hiacynthów (z Potsdamu).

„Przerwałem pisanie, a wiesz WPan dla czego? Oto aktualnie pod mojem oknem ośmnaście doboszów bębni. Skończyli, i zaczyna się parada gwardyi, a cóż to za piękny lud! jakaż to sprawność! Jakże byś WPan na to z gustem patrzał. Ot że król,—imaginuj sobie WPan człowieka siedemdziesiąt letniego, na koniu polskim czarnym, rzeźkim, rzeźnym, młodym, skaczącym, harcującym, a ten co na nim siedzi, jak nasz Rudnicki (Jenerał) skakający przez linę nad Nożdrzcem. Ot że to ten, którego mniemają być w łóżku, konającym, dogorywającym, tlącym się i ostatnie siły dobywającym. Śmiéj się WPan z odgłosów fałszywych, a rozumiem, że świadek lepiéj o tém wié niż gazety.

„Połowę listu pisałem przed obiadem, teraz powracam i oznajmuję, żeśmy gadali o Dubiecku. Wie król pruski, iż z Dubieckiem z jednéj strony graniczy Nienadowa, z drugiéj Ruska wieś, z trzeciéj Bachorzec, z czwartéj Homnica, z piątéj Kciska. Przez dwie godziny, kiedy może cała Europa rozumiała, że się interesa Monarchii roztrząsają, my gadali o nieboszczyku ks. Janie co grał ze mną w Nieśmiertelnice, o pani Boznańskiéj co nas wychowała, o pani Żółkiewskiéj co była dwadzieścia trzy razy w Częstochowie, o Józefie Boznańskim, co był moim Marszałkiem pod czas Trybunału, nawet Kazimierz Kowalski z gulą był na placu. Geniusz ten wielki, dyrygujący machiną Europy, bawi się szczególnościami i WPana ba-

talia z ks. Jędrzejem rozśmieszyła go tak, jak gdyby nasz Bukowski opowiadał o Lali, z którą się kuł w pyski, w kaplicy moskiewskiéj. Ten jest tryb naszego życia w Potsdamie. Staruszek wesoły, grzeczny, miły, lubi być bawionym i lubi kiedy ci co są z nim, dopomagają jego rubaszności. Imaginuj sobie WPan zwycięzcę, prawodawcę, mędrca, śmiejącego się nad pojedynkiem WPana z ks. Jędrzejem, powiadającego najśmieszniejsze historyjki, śmiejącego się trzy godziny u obiadu, dwie u wieczerzy, piszącego książki, dyrygującego nie tylko monarchią swoją, ale.... Ta jest definicya człowieka z którym ja mieszkam, a któréj może potomność wierzyć nie będzie."

Owszém, potomność znakomitego komedyanta w Fryderyku II ocenić umiała.

Dnia 17 Kwietnia w nocy nareszcie Krasicki opuścił Berlin, miał jeszcze zabawić dni kilka u księcia Henryka w Reinsbergu, a d. 2 lub 3 stanąć w Gdańsku, zaś w Heilsbergu na Ś. Stanisława. W Potsdamie rzucał króla zdrowego i manewra wojenne, któremi był zajęty „ze wszystkich stron, wedle zwyczaju rozpoczęte."

W Heilsbergu oczekiwał Biskup odwiedzin obojga braterstwa, naprzeciw których wyjechać miał, *cum subsidio charitativo*, ks. Kalnassy, a oprócz tego wojewody Bełzkiego, w powrocie z Holandyi, mającego odwiedzić przyjaciela.

„Ja, przyjechawszy do domu," pisze d. 25 Maja, „dotąd się jeszcze dobrze roztassować nie mogę, a muszę go w tych dniach porzucić i jechać do Grudziądza do króla, aby tam z nim obozować dni kilka. Szkoda że krucyaty ustały, zdaje mi się, żebym wszystkich biskupów w rycerstwie przeszedł."

Zapraszano Krasickiego do Polski: „z Warszawy," pisze w liście d. 14 Czerwca, „odbiéram nader grzeczne i łaskawe oświadczenia. Pani Krakowska zaprasza mnie do Białego Stoku. Gdyby to w kompanii z państwem tę wizytę oddać, ale ja sobie tylko pochlebiam, a WPaństwo takeście się w swojéj Galicyi zakochali, że o nas prusakach nie pamiętacie."

Listy do Dubiecka rzadkie czasu pobytu w Warszawie, gdzie i ludzie i praca więcéj zajmowała Krasickiego, teraz są znowu częstsze: Dnia 3 Sierpnia tegoż (1781 r.) zaczyna tak do brata:

„Bo co innego było w Warszawie, a co innego w Heilsbergu. Na tamtém miejscu takem był roztargniony, zabałamucony, iż ledwie można było wynaleść momencik ku pisaniu, teraz w domu mam ich podostatkiem, a zatem wracam się do dawnego trybu.

„Z publicznych wiadomości to téż WPanu donoszę, iż książe pruski jedzie do Petersburga. Siódmego tego miesiąca ma z Berlina

wyruszyć, w Królewcu jedenastego stanąć i tam dzień zabawi. Ja więc tam także pojadę, żeby go przywitać, a za powrotem także drogę mu zajechać myślę. Politykowie mają się nad czém zastanawiać, ja trzymam z gminem, że te wszystkie monarchiczne wizyty, żadnych nowych obrotów na świecie nie przyniosą. Czas resztę odkryje.

„Skończyłem w czasie bytności mojéj w Warszawie wojnę Chocimską. Gdym wyjeżdżał już pierwsze karty były wydrukowane. Każ je WPan zatém sobie zamówić, jabym przysłał, ale transport dalszy, a przeto więcéj by kosztował. Także téż kilka nowych rzeczy przybyło, te były drukowane; to jest wiersze do ks. Stanisława Poniatowskiego o podróży, do p. Lucińskiego podczaszego królewskiego o piwie i miodzie, do p. Rodkiewicza. Z małych rzeczy na drugiéj karcie komunikuję to com pisał do Mniszcha Michała sekretarza lit., ponieważ te wierszyki nie są jeszcze w druku (Jest to znany: Panie Michale, wiesz doskonale i t. d.)

Przez kilka tygodni chory na palce u ręki, Biskup nie pisał; następny list poczyna od opisu ciekawego obyczaju, przy obchodzie dnia Ś. Wawrzyńca (d. 9 Sierp.) „A u WPaństwa w Dubiecku w wigilią Ś. Wawrzyńca czy jest ogień w kuchni? W Heilsbergu nie masz, a panny boso processję odprawują. Ot że najpryncypalniejsza Warmińska nowina.“

Chociaż stosunki z dworem Berlińskim, z królem starym, z księciem następcą i ks. Henrykiem były jak najlepsze, odżywione pobytem w Warszawie, a może naleganiami króla Poniatowskiego wspomnienia własnego kraju, ciągnęły ku Polsce. Starano się tu oględnie o jakąś nową katedrę, myśląc o zrezygnowaniu Warmińskiéj. Na widoku, choć dalszym, było i biskupstwo krakowskie i arcybiskupstwo gnieźnieńskie, chociaż do obu przystęp był trudny, a obietnice dworu bardzo słabe. Wszystko to na dalekim planie jeszcze się ukazywało. W listach następnych są tylko napomknienia.

W r. 1782 d. 27 Stycznia, Biskup pisze, z miejsca chwilowego swojego pobytu we Frauenburgu, do brata:

„Zacząłem się był gniewać, a jakem zaczął ciągnąłem gniew mój aż do dnia wczorajszego, w którym przecie odebrałem list WPana z 11 tego miesiąca z Warszawy pisany na wyjezdnem. Uśmieszyła mnie naprzód postać zwierzchnia onego, jakem zaś postrzegł *intus* dwa volumina in folio, to co wprzód było gniewem stało się wdzię-

cznością. Wypłacam się z niéj, i chociaż in quarto, niemniéj uprzejmie i ochoczo.

„Relacya konferencyi z królem JMcią tak dokładna jakbym listy onego sławnego posła w Rzymie kardynała d'Ossat czytał. Wyrozumiałeś WPan tak jak i ja, iż nas kochają a kochają dobrze, bo na fundamencie szacunku, że więc i kochają i dobrze kochają, nie mamy się podobno przyczyny obadwa gniéwać. Oj, gdyby mogli co chcą, albo raczéj gdyby raczyli chciéć a dzielnie, oszczędziłoby się z obu stron wiele przykrości. Że więc chcą, wiemy, żeby zaś tak chcieli jak sobie życzem, tego prosić należy, w którego ręku serca Monarchów.

„Poznałeś WP. gruntownie i winszuję żeś tak poznał księcia Stanisława, uznałeś że com mówił nie było uprzedzeniem przyjaźni. Mało się takich znajduje, osobliwie w młodzieży, w których by lepsze było co wewnątrz niż zwierzchu.

„Jam w dni kilka wybrał się do Frauenburga i dotąd tu siedzę z ks. koadjutorem Chełmińskim, który dopiéro d. 4 Lutego ma ztąd wyjechać do Chełmna. Zdrowiśmy wszyscy i niezdrowiśmy wszyscy, bo czasy niegodziwe, a zatém wszyscy bez excepcyi w ustawicznym katarze. Jużeśmy tabaczki wyżyli kilka garncy a jednakowo i kichamy i katar trwa, a czy się czasy poprawią, albo téż wiosna zawita?

„Dnia onegdajszego byliśmy na solennéj uczcie w Brunsbergu u Jenerała Goltza *in gratiam* urodzin króla pruskiego. Stół był na czterdzieści osób i dobrze jeść, ale jak nam zaczęli trąbić, przetrąbili nam uszy, a tak dobrze przetrąbili, żeśmy prawie głusi. Tryb nasz zwyczajnym sposobem. Loterya dotąd trwa, ponieważ ta gra ks. koadjutorowi najbardziéj do gustu. Siedziemy więc nad ambem i ternem, a staruszek Markwart rzeźko się uwija (1).

„German zaś z okularami na nosie ślabizuje numera jak może.“ W końcu listu dopomina się Biskup o obietnice: „A owe materyjki fijoletowe? a będą? a kiedy będą? a przez kogo? a jak? Oj! proszę, proszę! *Date obolum Belisario*, a już notabene dziura na łokciu w mojéj czamarze, która się kłania wraz z tém co ją zdarł.“

Zajmowały go mocno sprawy krajowe, familijne, nawet kontrakty lwowskie, zamiany dóbr, kupna i sprzedaże, jak świadczy list następujący: (Frauenburg 9 Marca 1782).

---

(1) Jest to ten sam ks. Józef Joachim Markwart Warmijczyk, który tłómaczył Bajki Krasickiego na język łaciński: (Fabulae principie poloni versu jamblco etc. etc. Varsav. Dufour. 1796) i niemiecki. Należał do zgromadzenia Pijarów.

„Dawno jeszcze nieboszczyk kasztelan Halicki pragnął Komarna, uboga wdówka tandem go odzierży (kasztelan Halicki Józef Bielski, wdówka, Konstancya Biesiekierska, druga jego żona). O Wiszniowiecki! co byś na to powiedział! Ale to zwyczajny rzeczy ludzkich kołowrót, jednym do góry, drugim na dół iść każe. Może i to Komarno przed Wiszniowieckiemi różnych miało panów. Nie nowina w Polsce widzieć podstarościm pańskiego syna lub wnuka. Majoraty zabiegają temu gdzieindziéj, ale dla powszechności kraju czy Piotr czy Paweł bogaty rzecz obojętna, byleby bogactwa za kraj nie wychodziły.

„Książe Jenerał artyleryi (Kaźm. Nestor Sapieha) partyą jest dobrą dla księżnéj Marszałkowéj (Anna z Cetnerów, wdowa po Sanguszce Józefie Marsz. Lit. zmarłym 1781), ile przy kanclerstwie i dla tytułu i dla konsyderacyi w kraju i dla możności i dla wsparcia krwi. Nie znam go gruntownie, alem ojca był z niemowlęctwa mogę mówić najściślejszym przyjacielem. Pochlebiam sobie, iż grunt poczciwy wszedł w syna, a byleby porywczość młodości uśmierzać chciał, stanie się i ozdobą, i wsparciem nietylko familii ale kraju.

„Rzadki to-ptak teraz człowiek prawy na wysokim stopniu, tém téż gorzéj dla klatki. Pomyślność zwykła psuć, ale którzy się na nią psują, dają uczuć iż niegodnemi się stali stanu i stopnia, na których je p. Bóg osadził. *Magistratus probat virum.* Niech nasz pan Kaźmierz weźmie za cel onego Leona, który umiał połączyć umiejętność z religią, żarliwość o dobro ojczyzny z roztropnością, szacunek Tronu z miłością braci. Temi kroki stał się wielkim nie przez urząd, ale przez siebie samego.

Mowa tu o Lwie Sapiezie Hetm. i Kanclerzu Lit. O projektach warszawskich, pisze Biskup: (14 Marca 1782). „Jeżeli pan Bóg zechce stanie się co WPan koło mnie zamyślasz, ja w mojéj rezygnacyi trwam, zdarzy co Opatrzność Boża, przyjmę z wdzięcznością, nie zdarzy przestanę z ochotą na tém co mam, a choćby i to stracić przyszło, *impavidum ferient ruinae.* Mój mnie dobry humor nie odstąpi, bom się umiał wznieść nad igrzyska losu. Z głodu nie umrę, choćby mi wszystkiego brakło, nie wątpię, że znajdą się tacy, którzy dadzą *obolum Belisario.*

„U nas tu oprócz wiatrów i dzwonów cichusieńko, ja jakem w przeszłym liście namienił, wybiéram się do Królewca. Wzięła się u nas wiosna bardzo pięknie, już skowronki śpiéwały, trawki się pokazywały, skorom ułożył projekt podróży królewieckiéj, wróciła się zima, i kto wié czy sankami nie pojadę.

„Ale, ale, czego przez lat piętnaście nie widzieliśmy, pierwszy

się przykład u mnie ziścił. Wygrałem w loteryi quinterno, proszę to Xawerkowi powiedzieć.“

Była to chwila gdy sprawa ks. Biskupa Sołtyka agitować się zaczynała. Donoszono o tém do Heilsberga. D. 30 Marca książę odpisuje: „Dziękuję za komunikowane wiadomości o księciu Biskupie krakowskim, dochodzą mnie z wielu miejsc, ale piszący w zdaniach sobie tak przeciwni iż dotąd jeszcze pewnego zdania o postępkach kapituły i stanie zdrowia i rozumu pasterza mieć nie można. Komisya wyznaczona oświeci nas, jeżeli tylko i ta jakową prywatą się nie uwiedzie, o czém jednak wątpię, gdyż ludzie godni nietylko z urzędu ale z charakteru i sposobu myślenia są wyznaczeni.

„Wyraziłem był dawniéj o chorobie ks. Prymasa (Ostrowskiego Antoniego, który zmarł 1784 w Paryżu) nic mi teraz nie piszą. Znać iż albo w jednym stanie, albo się téż lepiéj mieć poczyna. Dnia jutrzejszego spodziéwam się listów od Kalnassego z Warszawy“ (1).

Wszystkie te starania pochodziły pono głównie z téj przyczyny, że dochody biskupstwa uszczuplone, na życie wystawne, pańskie i dworne nie starczyły. Poczynały się troski i utyskiwania na niedostatek, ale trybu życia trudno było odmienić. Rodzina zabiegała zawczasu o prymasowstwo lub biskupstwo krakowskie, nie chcąc się dorozumiéć tego, że król najprzód rodzonego brata, Biskupa Płockiego, musiał na jednę z tych katedr prowadzić.

Dnia 4 Kwietnia książę pisze do brata: „Wiadomo jest dostatecznie WPanu sytuacya moja, połową intraty długi krajowe opłacam, połową ledwie się sam wyżywić mogę.“

„Co jest w mocy mojéj, udzielam; a ta jest rada, ażebyś WPan korzystał z okoliczności marjażu przyszłego, a o sobie chciał myśléć, *odłożywszy na potem projekta dla mnie*. Rzecz jest pewna, że książe Biskup Płocki (Poniatowski, późniejszy prymas) prymasowstwa chce. Jestem o tém z Warszawy upewniony, z prymasowstwem Biskupstwo krakowskie złączyć pragnie. Zapewne rzeczy i od Moskwy zamówione, i wyprawiony Ghighiotti do Wiednia dla ukartowania rzeczy z papieżem, wielkie więc podobieństwo, iż się projekta nadadzą, a choćby się i nie udały, prymas zdrów i może jeszcze długo żyć będzie nie źle jest perspektywę jakową nadal ułożyć, ale z drugiéj storny dla niepewnych rzeczy, pewnych opuszczać nie należy. Dla tych więc przyczyn jak WPan pojedziesz do Biało-

---

(1) Ks. Joachim Kalnassy Kanon. Warm., Sekretarz i prawa ręka Biskupa.

Cerkwi (1), Wmość o swoim interesie traktuj i staraj się albo sumą albo przyjęciem długów swój los polepszyć, córki postanowić, a dopiéro to ułożywszy, o moich plantach na dal myśl. Z serca to mówię, ambicya mnie i miłość własna nie zaślepia, a szczęście WP. i jego dzieci nad moje przekładam, przyzwyczajony jestem przestawać na małém, nie będzie mi i nadal przykra moja mierność, słodzić zaś mój stan będzie wieść o WPana pomyślnościach."

Przestrzegał wreszcie Biskup, aby brat nie bardzo obietnicom wierzył. Czém była ta „mierność", o któréj Krasicki mówi z taką rezygnacyą, zobaczymy to niżéj.

Otóż i nowiny Majowe: (Heilsberg d. 5 Maja 1782) „Nie wart ten Maj, żeby go Majem zwać, na dworze śniég, a *per consequens* ogień na kominie. Czy się świat do góry nogami wywrócił, czy Antychryst się zbliża, czy jakie inne są przyczyny tych zwierzchnych rewolucyj, zostawmy to teologom i astronomom, a ja się do odpowiedzi na list WPana zwracam.

„Refleksye piękne, moralne, spektatora godne i ja téż także umiem czynić, ale między czynić a działać jest przedział, a w tym przedziale rów, a na rowie mostka częstokroć nie masz, a przeskoczyć albo nie można, albo się i niechce."

„D. 15 Kwietnia zmarł w Gdańsku opat Oliwski w 78 r. życia. My osobliwie ogrodnicy w żałobie po nim chodzić powinniśmy. Biskup krakowski nie długo wieczny, Biskupstwo nowe w Galicyi czyli Spizkie czy Tarnowskie urośnie. Nie możnaby téż przez wojewodę Bełzkiego i innych zacząć mocno w Wiedniu negocyacye, żeby się któremu z księży braci dostało?"

Myślano téż o Przemyślskiém biskupstwie, a tym czasowo o Koadjutoryi, o Lwowskiém albo Chełmskiém, choć żadne z nich nie doszło braci Biskupa. Pomoc Wojewody Bełzkiego, na którą rachowano, znać nie była skuteczną.

W Czerwcu książę zjechał do obozu królewskiego na manewra pod Mokosów (?), gdzie go doszła sztafeta od brata z wiadomością o postanowieniu córki starszéj pana Antoniego. Biskup odpisuje bratu: „Znajdowałem się z królem. Opowiedziałem mu więc pomyślność naszą i winszował jéj. Gdyby do tego winszowania przydał był ze sto tysięcy talarów, komplement byłby tém wdzięczniejszy. Ale w tym wieku monarchowie umieją tylko zbiérać, nie dawać. Niechże sobie zbiérają, a my się tym czasem cieszmy jak możemy."

---

(1) Na wesele Hetmana Branickiego.

W liście dosyć wesołym kłania się od ogrodów Heilsbergskich, do których angielskie przybyły, ogrodom w Dubiecku.

Pomimo tych żarcików przebija się troska i kłopoty finansowe. Wojewodzie Bełzkiemu, chciał Biskup sprzedać jakiś obraz za dwieście czerwonych złotych, żądając tylko gotówki. O królu wzmiankuje (d. 8 Czerwca) „Król w zupełném zdrowiu i tak rzeźwy jak dawniéj, mimo wiek podeszły, największe fatygi, jak młody, rzeźko i wesoło znosi....

„O wojnie tureckiéj u nas nieustanne odgłosy, zdaje mi się jednak, że się ta wieść skończy tak, jak się kończyć zwykły w podobnych okolicznościach inne.“ W kilka tygodni późniéj dopisuje znów: „U nas o wojnie nic nie słychać, a mnie się zdaje, że to będzie owo: *parturiunt montes.*“

Tęsknota do rodziny i Dubiecka, pomimo bardzo ciężkich czasów, skłoniła Biskupa w tym roku do podróży, którą obrócił na Warszawę, aby się tam królowi i ks. Stanisławowi Poniatowskiemu przypomnieć.

Wpływały na to może i widoki jakie na przyszłość lub chęć zbadania położenia na miejscu.

Przyjęcie poety w stolicy było nadzwyczaj świetne i serdeczne, a król i wszystko, co go otaczało, siliło się na okazanie czci i przekonanie, że na miłości w ich sercach nie stracił. Do téj epoki wszyscy niemal biografowie odnoszą wiersz Trembeckiego „Gość w Heilsbergu“ zmieniając tytuł jego na: „Gość z Heilsberga.“ W istocie poezya pod tym tytułem jest cale różną, od téj którą Trembecki powitał przybywającego Biskupa.

Powitalny ów poemat poczyna się od wyrazów:

Książe! (bo rozum, słuszność, urodzenie zlały
Razem na twą osobę ten tytuł wspaniały).

Trembecki cieszy się, iż gość przybywający wcale się nie odmienił.

Jakoś od nas wyjechał, tak wracasz kochany.
Przybycie tylko jego cudów w Warszawie dokazuje:
(dziwy w Warszawie wyrabia).

A między innemi i ten, że Trembecki przychodzi razem do Biskupa, ze „słodkim Organistą,“ to jest z Węgierskim, który mu właśnie przypisał organy.

Wiersz cały pełen pochwał i największéj czci dla poety.

Nie ty gonisz za sławą, lecz za tobą sława!

Boleje Trembecki nad położeniem kraju, nad niemocą jego.

Ztąd przybyłeś zkąd Polska strapiona. Jest to aluzya do Fryderyka II. Przybywasz, mówi daléj, ztamtąd gdzie ci nie wolno zapłakać rzewnie,—abyś tu naszego króla przykry żal ukoił.

Tu dłużnych twojéj sławie odbierasz życzenia,
Tu ci król, tu cię możni tu i słabi pędem
Szlą serca na ofiary, z lat pomyślnych rzędem.

Dowiadujemy się, że Krasicki przywiózł Sekretarzowi króla ks. Ghighiotti pierścień z diamentu czarnego, z wyrytym na nim Jezuitą (?).

Wiersz poczęty szumnie, dosyć piękny w dalszém rozwinięciu, kończy się jakoś nieforemnie i słabo. Zamykające go wyrażenie:

„Dla ciebie tylko będę oddychał *umyślnie*“ niebardzo szczęśliwe.

Ze wspomnienia o słodkim organiście okazuje się, że Węgierski tegoż dnia ofiarował Krasickiemu swoje organy, z dedykacyą w stylu sobie właściwym, która się poczyna!

„Nie księciu i kawalerowi orderów, bo w oczy moje blask ten nie uderza, nie posiadaczowi prawie udzielnemu rozległego biskupstwa, bo kanonikiem Warmińskim być nie myślę, nie faworytowi i poufałemu przyjacielowi dwóch królów, bo od jednego daleko W. Ks. Mość mieszkasz, a obcego łaska na mało mi się przyda; ale wielkiemu autorowi Myszeidos, ale dowcipnemu krytykowi trybunałów i sejmików w Doświadczyńskim, ale zabawnemu w posiedzeniu ale jednemu z najpierwszych na parnasie naszym poecie, to dzieło moje dedykuję.“

Węgierski puszcza się potém w długą gawędę, cale nie w miejscu narzekając na mnożenie się niepotrzebne poetów niedołężnych., Jeden z listów Krasickiego (XIX) zdaje się być odpowiedzią na to utyskiwanie.

W chwili przybycia Biskupa, Warszawa była dosyć ożywioną, gotowano się do Sejmu, który miał rozstrzygać o losie Sołtyka. Być może, iż przybycie Krasickiego i pierścień ofiarowany ks. Ghighiotti przygotowywały staranie o Biskupstwo Krakowskie. Na miejscu przekonać się mógł jednak, że zbyt wiele było do przezwyciężenia trudności.

Warszawa była w żałobie po niedawno zmarłym Wojewodzie Ruskim; po upadku Tyzenhauza, który zmieniał wpływy jakim król ulegał, w niepokoju o burzliwe sceny, które sprawa biskupa krakowskiego zapowiadała; a Poniatowski przez Wojewodzicowę Mścisławską poróżniony z Hetmanem Branickim, był téż w przykrém położeniu.

Z Warszawy, jak widać z opisu podróży wierszem i prozą przesłanéj ks. Stanisławowi Poniatowskiemu, Biskup udał się na Wilanów, Jeziornę, Górę, Czersk, Mniszew (Ryczywół), Kozienice, Sieciechów, Czarnolas, Gniewoszów, Puławy, Tarnogród, Jarosław, Sieniawę do celu swojéj wycieczki. List, dowcipnie opowiadający całą tę wędrówkę, wszystkim jest znany, równie jak powrót z Dubiecka, na Żołkiew, Krasnystaw i Kock. Oba listy te osobno były drukowane. Krasicki późniéj w tym rodzaju pisał jeszcze wiele innych, między innemi i do Szczęsnego Potockiego z powodu przyobiecanéj, a potém przysłanéj mu wilczury. Wesołe te, leciuchne, zabawne płody muzy miały w swoim czasie nadzwyczajne powodzenie, prawda, że wytworności ich, świetności wiersza, łatwości jego nikt nie dorównywał.

Podróż ta, oprócz pociechy dla serca, odświeżenia pamiątek rodzinnych, rozrywki, zresztą innych nic miała skutków.

W następnym roku 1783, zdaje się, że Biskup pozostał u siebie w Heilsbergu, listów z tego czasu mało. W Sierpniu jeden nieco dłuższy pisze do brata: (22 Sierp.). „Nie wiem czyście mieli wiadomość o książce w Hanowerze przed laty kilku pisanéj, w któréj powiadają, że autor przepowiedział trzęsienie ziemi w Kalabryi i nową wyspę, która razem z morza wyszła około Islandyi. Tenże przepowiada że około Austryi i Morawy wielkie w r. 1786 będą powodzie, Ren wyschnie zupełnie, kanał morski la Manche piaskiem zamulony będzie, a przeto Anglia przestanie być wyspą. Ale mnie się jednak zdaje, że to gdzieś dzwony leją, albo według powieści francuzkiéj farbują karmazyn.

„Proszę powiedzieć Jejmości, że wiele odmian w ogrodzie tego roku, zamiast jednéj trzy kaskady, promenady przedziwne, a kwiatów bez liku. W ogrodach pod mostem fontanny za kilkanaście dni już bić będą. Półtora razy wyższe niż są w ogrodzie. Oj! jak że to będzie pięknie. JMPani Hrabina a chcesz to pani widzieć? przyjedź że pani do Heilsberga.

„O wojnie i pokoju różne tu wieści, skończą się jednakże podobno na tém, że Turczyn się będzie musiał dobrze opłacić, a po co głupi?

„S. Bartłomiéj nadchodzi, czas rozpoczęcia u nas polowań, pojadę więc na kilka dni do Smolan na końcu tego, albo na początku przyszłego miesiąca, a jaki plon odniosę, rzetelnie (mimo przywiléj myśliwski)—wyrazić nie omieszkam.

„Moje listy pana Wojewodę Bełzkiego bawią, proszę mu powiedzieć, iż jego odpowiedzi, równie byłyby mi wdzięczne i miłe a winien już na dwa moje listy. A notabene jeden był o wino węgierskie, trunek u wpaństwa *ut quatuor*, a u nas *ut octo*.

„Jak widzę z Warszawy Marszałkostwo wielkie weźmie Mniszech, nadworne złoży Rzewuski, a to się ma dostać Raczyńskiemu Marszałkowi Rady Nieustającéj. Czyby też to kto był śmiał wywróżyć przed kilką laty, kiedy przez garderobę na audjencyę przepuszczano do pana Ministra?“

W następnym roku 1784, wiemy tylko, iż ulubione ogrody w Smolanach i Heilsbergu zajmowały Biskupa. „U nas,“ powiada w liście 6 Maja, „u nas i pusto i cicho, bawiemy się jak możemy. Ja roboty zwykłe około ogrodów rozpoczynam. Smolański podoba się z czasem. Dopiéro to tam pokażą się angielszczyzny! a jakie! Oto takie o jakie w całéj okolicy będzie trudno. Cóż czynić? trzeba się bawić na starość jak można, każdy w swoim kącie.

„Ja myślę jechać do Tylży jak będzie ciepło i droga dobra, a tym czasem będę się przejeżdżał z Heilsberga do Smolan, z Smolan do Heilsberga.“

Do tego roku odnosi się ów wiersz Trembeckiego, który ma tytuł:

„Gość w Heilsbergu“ Gościem jest niekto inny tylko to posłanie poety.

Książe, jasnego domu szczepie znakomity,
Któremu większe dajesz nad wzięte zaszczyty.

Żali się poeta, że takiego męża za granicami kraju szukać potrzeba, ubolewa nad tém, iż go stracono. Zanotujmy tu trafny ten wiersz:

Szerząc światło rozsądku, nie słabiłeś wiary.

Ślicznie powiada potém że Rzeczpospolita odjęcie jéj Krasickiego za „czwartą wyrządzoną sobie szkodę liczy.“ Wzywa go, aby pamiętał o kraju, mieszkając w „bursztynowéj“ ziemi.

Tu się znajdują dwa, tak często powtarzane wiersze:

A cnéj pisania sztuki z dowcipem i gustem,
Tyś pierwsze dał przykłady pod naszym Augustem:
Rządzca ten, gdy swe państwa biegłemi obdarzał,
Ciebie umiał *wynaleść*, a innych postwarzał.

Wiersz ten cały piękniejszy, silniejszy, szczęśliwszy jest od powitania w r. 1782. Poeta nawiedza nim Biskupa, aby w Heilsbergu zaczerpnąć siły, porównywając pobyt tam do odwiedzin Voltair'a w Ferney. Ztąd chciał natchnienia Trembecki, aby przemówić do posłów jadących do Grodna o Sejm zgodny a narady ro-

zumne. Główną treścią jest zachęta do przyjaznych stosunków z potężném państwem sąsiedniém, przejednania i zapomnienia uraz dawnych. Wzywa posłów, aby radzili zgodnie, a ułożyli „rząd czynniejszy.“

W przymierzu z jednym sąsiadem, szukał Trembecki „ochrony od Teutonów“; kończy wreszcie poeta:

Głos mój słaby ustaje, książe wznieś twe tony,
Które naród przychylnie słuchać wzwyczajony,
Kieruj żywszą namową umysły swobodne,
Zaleć zgodę obradom, a staną się zgodne.

Jest to najlepsze świadectwo, jak swego czasu wiele ważył głos Biskupa, umiarkowany, pojednawczy, a rzeczywistą miłością kraju natchiony. On jeden umiał tak do serc i umysłów przemawiać, iż ich nie jątrzył a kierował niemi.

O ile wiemy, Biskup na to wezwanie, poważniejszym wierszem nie odpowiedział. Z pewnych względów jednak na pół żartobliwy list prozą i wierszami do I. B. (Dmóchowski, XIV), proszący go o donoszenie nowin sejmowych z Grodna, uważać można, jeśli nie za odpowiedź wprost, to za rzecz natchnioną tą samą myślą, która Trembeckiemu dała pióro w rękę. Krasicki prosi p. I. B. aby mu doniósł:

Jako wszyscy zagrzani ojczyzny miłością,
Pałając, godną Sparty, cnotą, żarliwością,
Zapomnieli o żądzach, z których się wyzuli,
Napisz, jako o dobro braci swoich czuli,
Zrzucili uprzedzenia, dobrego się jęli,
Nie podli, nie matacze, wspaniali i śmieli.
Czyniąc, co czynić można, bez trwogi, bez zysku,
Jak mogli kraj dźwignęli z nędzy i ucisku.

Radby się dowiedzieć, że nie po to przybyli do Grodna,

Ażeby brali,
Ażeby zwiedli,
Pili i jedli,
Aby tracili,
Jedli i pili,
Dawnym zwyczajem,
Gryźli się wzajem.

Kończy Krasicki swe życzenia tém:

Kiedy się Wójt pracy ima,
A gromada z Wójtem trzyma:
Idzie wszystko dobrym torem:
Ale gdy idzie oporem,

Gdy z Wójtem robić nie rada,
Mało zbierze ta gromada.

Sejm ten, pierwszy w Grodnie za panowania Stanisława Augusta, o który tak się król zdawał lękać, gdyż jego skazówce z góry te poetyczne odezwy przypisać potrzeba, szczęśliwiéj się złożył, niż się spodziewano. Wprawdzie nie zaniedbano nic, aby sobie Litwę pozyskać, posłów mieć powolnych, ale usposobienia sejmujących były w ogóle dosyć łagodne, opozycya ani zbyt silnie, ani w sposób przykry nie występowała — król przeprowadził na nim co chciał i, zamykając obrady, głosił się szczęśliwym.

Z roku następującego 1785 mamy mało wiadomości o Heilsbergu, w listach są po większéj części nowiny domowe i familijne. Z powodu spalenia się Niemirowa, który trzymali Stadniccy, Biskup zalecał asekuracye od ognia, już w Prusiech praktykowane. Żalił się, że rodzina zapominała o młodym Fredrze, którego wziął w swą opiekę. „Żal się Boże piękne nazwisko nosić, a myśléć gorzéj niż dzicy ludzie.“

Pani Antoniowa omyłką przesyłając nasionka *poziomek* ananasowych, napisała w liście do Biskupa „*wisznie ananasowe.*“ Na to miłośnik ogrodów odpowiada żartobliwie: „Mościa dobrodziejko, z jak najuniżeńszym pokłonem odebrałem parę ziarnek tego co to WPani nazywasz ananasowemi wiszniami. Dziwna to jakaś rzecz będzie, gdy się z ziarnek wisznie zrodzą, bez pestki lub zaszczepienia. Kazałem więc jak najprędzéj owe pare ziarnek zasiać i wielkiemi literami na garnku napisać: Wisznie ananasowe. A jeśli z tych wiszeń będą poziomki, oznajmuję, iż ich mam dosyć, i wielce są rozmnożone, nie tylko u mnie, u moich kanoników, u moich plebanów, u moich szlachciców, u moich mieszczan, ale już i Sołtysi zaczynają je mieć, więc przyjdzie koléj do chłopów—a daléj do zagrodników.“

Dobry humor nigdy nie opuszczał Biskupa, jak widzimy, i rzadko kiedy zakłopotany stęknął. Ten humor był dlań najszczęśliwszém natchnieniem i jego cechą jako pisarza.

W następnym roku 1786 wyszły listy i pisma różne, mieszczące właśnie najświeższe owoce niewyczerpanéj werwy ulubionego poety.

Te „wiersze z prozą,“ w których Krasicki celował, swojego czasu z nadzwyczajnym aplauzem przyjmowane—jako dzieło kunsztu są, prawdę rzekłszy, hybrydem i rzeczą ułomną. Nie mogą one mieć nigdy poważnéj, jednolitéj wysokiéj piękności skończonych

dzieł artystycznych. Coś to jest nakształt rzeźb kolorowanych, na kształt obrazów wypukłych, na kształt figur woskowych sukniami prawdziwemi okrytych—coś niedokończonego i niezupełnego.

Pomięszanie prozy z wierszem w dramacie Shakespeara jest zupełnie usprawiedliwionem, są postaci w życiu nieuchronne, którym mowa Bogów nie przystała, są bohatérskie co pospolitym językiem stanu swéj duszy wyspowiadaćby nie potrafiły. Ale w liście, opisie, opowiadaniu ta zmiana formy nieustanna, niczém dla nas nieusprawiedliwiona, oprócz fantazyi autora, razi, niecierpliwi, męczy. Poezya schodzi tu na sługę i czyni wrażenie królowéj, która z kuchni półmiski przynosi.

Lecz poezya listów Krasickiego czy właściwie do tego tytułu królewskiego ma prawo? Nie wiem. Jest to zręczna, smakowna słów igraszka, w któréj dowcip, trefniś gra rolę główną i prawie jedyną, humor sprężyną, lekkość i swoboda całą zaletą.

Krasicki używał téj formy hybrydziéj chętnie i często, bo ona do jego charakteru, nieznoszącego więzów i przymusu, najlepiéj przypadała. Podróż z Warszawy w liście do ks. Stanisława opowiedziana, powrót do stolicy, inne listy na pół prozą, pół wierszami pisane, były jednemi z najpopularniejszych pism autora. Mnóstwo wierszyków z nich, jak:

O Ryczywole
Zamilczeć, wolę.

Bracia, nie wszystko złoto co się świéci,
Bije blask często od szychowych nici.

Jak zwyczajnie w mieście,
Za dwóch dobrych, łotrów dwieście, itp., poszły w przysłowia.

Z jakąż swobodą, lekkością, humorem szczególniéj płyną Krasickiemu te wiersze z prozą! jak to wesołe, zabawne, płoche, i jak doskonale wiek co się w tém kochał maluje!

Uczono się na pamięć tych trefnych fraszek. Krótszych i dłuższych mięszańców tych jest drukowanych około czterdziestu, a niewydanych znalazłoby się dużo.

W rzucanych na papiér od niechcenia pismach do brata, gdy był Biskup w dobrém usposobieniu, mięszał wierszyki, nie mogąc się od nich powstrzymać.

Jednym z najdoskonalszych w swoim rodzaju, jest ten obszerny list, z czasów Sejmu czteroletniego, który długo chodził bezimiennie, nie będąc przyznawanym Krasickiemu. Organy są polityczną satyrą, z trafnością, dowcipem i wielkim ogniem napisaną. Sejm czteroletni mocno musiał Krasickiego obchodzić, już dlatego, że podstawą nowéj kombinacyi politycznéj, był alians z dworem pruskim, z którym go ścisłe łączyły stosunki. Nic dlań pomyślniejszém być nie mogło nad związek dworu, na którym był wziętym i lubionym, z dworem do którego czuł synowskie przywiązanie; nie zaślepiało go jednak gorące pragnienie i widział jasno czém się ta przyjaźń skończy.

Przypomina się bajka:

Wśród najlepszych przyjaciół, psy zająca zjadły.

Organy i dwa listy z podróży są w tym rodzaju najudatniejszemi utworami Krasickiego.

Zaliczyć tu trzeba, mniéj wierszami przeplatane listy o ogrodach, zawiérające ich historyą, a zakończone tak dowcipnie.

Więc nowym wysileniem i kształtu i gustu,
Koło chaty ciosowéj, pyramida z chrustu.
Wyspy kilko łokciowéj zakręty przeplata,
Coś nakształt rzeczki, którą stróż codzień zamiata.
Ta mając w spadkach gruzem najeżone łoże,
Chciałaby mruczeć, ale bez wody nie może.

Kto wié czy sławny ogród na Szulcu Księcia Ex-Podkomorzego, ze swą małpią wyspą nie przyszedł na myśl poecie, gdy to pisał.

Krasicki był, jakeśmy już widzieli, namiętnym miłośnikiem ogrodów, miał w Heilsbergu kaskady i altany, ale przesadę, manierowane tworzenie osobliwych promenad i zdobienie ich dziwacznemi pomnikami, nielitościwie wyśmiewał. Rozpisuje się o tém i w Podstolim, dotyka w liście do kcia Stanisława, gdy za Łazienkami:

Idąc daléj przez ulicę,
Postrzegłem jakąś świątnicę,
Gust pięknéj architektury,
Wieże, baszty, mosty, mury,
Więc się nieco zatrzymałem.

I dowiedziałem się z niezmiernéм mojém podziwieniem, że zmówiłem pacierz przed kuchnią, a com dla baszty sądził fortecą, było gołębnikiem.

W wierszach różnych, między któremi są i piękne religijne pieśni (Do ciebie Boże, wznosim nasze modły—Stwórco itd.), są niektó-

re wykończone pod względem formy i godne poety. Nie stanowią one jednak najgłówniejszéj części spuścizny po nim. Dwie gawędy (Gderania starego Bartłomieja—Marzenia dworaka) już w sobie mają pierwsze zarysy formy i tonu gawęd, które późniéj W. Pol i Syrokomla tak szczęśliwie rozwinęli. Praojcem gawęd tych, jest Krasicki.

W r. 1786 d. 17 Sierpnia, zmarł, jak wiadomo, Fryderyk II. Czytaliśmy w listach Biskupa, zbyteczne dla niego uwielbienie, lecz zdaje się, że późniéj ostygł z niego znacznie. Zmuszonym był wprawdzie przypominać mu się, lecz nie spotykamy już w pismach do brata śladów dawnego entuzyazmu.

We Wrześniu, książę musiał wraz z innymi dostojnikami państwa jechać do Królewca, dla złożenia hołdu nowemu królowi. W towarzystwie sufragana swego ks. Karola de Zehmen i Biskupa Chełmińskiego ks. Karola Hohenzollern, stawił się w Królewcu, zkąd musiał udać się do Berlina, gdzie u dworu był widzianym bardzo dobrze. Z podróży Bernouilli'ego widać, iż Niemcy dobrze wiedzieli z jaką znakomitością mieli do czynienia. Tłómaczono jego dzieła, honorowano go nad Sprewą, i Królewska Akademia kunsztów mianowała go swym członkiem honorowym. Dyplom wręczył mu na posiedzeniu nadzwyczajném Minister Wojny, Kurator Akademii von Steinitz.

W początkach r. 1787 (28 Stycznia) odzywa się do p. Antoniego: „Sam nie wiem czym powinszował N. Roku lubo wiem, żem ztąd pisał (Berlin) w r. 1787. Jeżelim więc już raz powinszował, drugi raz winszuję, jeżeli nie, zbiéram to wszystko cokolwiek na N. Rok wszyscy powiadać zwykli, a nad tym składem, stawiam napis *szczerze.*

„Daj Panie Boże niebo staréj Boznańskiéj i rozumiem, i sądzę, i spodziéwam się, iż dał jéj pan Bóg niebo, bo była dobra, bo była cnotliwa, bo i naszą matkę i nas kochała, i już za życia jéj dał P. Bóg błogosławieństwo swe na dzieciach, a dzieci niech się z tego przykładu uczą, jak pan Bóg cnotę i wdzięczność błogosławi.

„Że mój Bobowski (Józef—miecznik Sanocki) i przyjaciel i usłużny i dobry i szacowany, ja o tém żadnéj wątpliwości nie miał, kiedym ten kwiatek widział jeszcze w pączku. Nie zawiodła mnie bystrość mojego widzenia, i bardzo mi to słodko, kiedy słyszę potwierdzenie mojego rokowania.

„Jak więc przyjedzie do Dubiecka, niech wypije za pokutę iż mnie już dawno nie widział, ów kielich co to nazywali karczoszkiem, a niech go wypije za moje zdrowie, a potém niech nic nie pije, żeby nazajutrz na głowę nie chorował, bo dobre głowy trzeba oszczędzać.

„Bardzo ubolewam nad słabością mojego kochanego i naszego ze wszech miar kochanego starosty Chotynieckiego (Antoniego Derszniaka na Iskani, który był ostatnim z tego domu). Moje przeczucia wszystkie prawie uiściły się, a ja w tym momencie mam przeczucie, iż się z nim upiję d. 28 Lipca w Iskani Roku 1789, za wrotami nad rzeczką, którą on nazywa Kanalią.

„A WPani podobno się gniéwasz, że ja obywatel Berliński, stołownik królów, książąt, nic o królach ani o książętach, ani o rzeczach ważnych nie powiadam. Ale co ja mam powiadać o królach, o książętach i o rzeczach ważnych? A trzeba powiadać, ot że ja powiem pani o królach, o książętach i o rzeczach ważnych.

„Oto tak. Królowie są to ludzie bardzo wyniesieni nad innych. Patrzą z góry na dół, a my na nich patrzamy z dołu na górę, a że najlepiéj patrzéć wprost, trafia się bardzo często, a ledwo nie zawsze, iż i oni nas i my ich nie dobrze znamy. W kamienicy, która ma cztery piętra, nie dobrze być na czwartém, bo wschodów nadto, a wiatr śwista, a być na pierwszém, lada kto przez okno patrzy.

„Berlin bardzo zabawny, rozrywek wiele, cudzoziemców znaczna liczba, król niezmiernie grzeczny, łaskawy, czuły, miły, poczciwy, ażebym się więcéj rozszerzył rozumiano by może, iż pochlebstwo, bo powiadają iż łaskaw a bardzo łaskaw na kogoś, ale ten ktoś schronienia szuka i musi się zamykać przed innemi kogosiami, którzyby mu łeb zawrócili, zdrowie odjęli, żeby tak jak inni, chciał korzystać ze swego kogosiowstwa. Ale kogoś jednak coś z czasem zrobi, co nie zasmuci jego kogosiów.

„Tratta ta tarajta.

„Mości panie bracie, a właśnie Ogiński Hetman przyjechał, który mi i zagrał i zaśpiewał ową nutę. Rozumiem po stylu iż te wiersze zrobił Trembecki, bo to jego styl. Styl, jeżeli nie on, proszę mi oznajmić kto to pisał, bo rzecz piękna. Sarbiewski coś podobnego o tym powiedział, lubo przed klęską Cecory (?).

„Listy do mnie mają być adresowane do Berlina, aż do 15 Marca, w ten czas albowiem zaczynają się exercycya wojskowe i król do Potsdamu odjedzie. Ja zaś muszę go czekać w Prusiech i podobno może w Heilsbergu i Smolanach,"

W Kwietniu do bratowéj (d. 4 Kwietnia 1788 Heilsberg) „Bardzo mnie to cieszy, iż i kasztelanowa Kamińska (niegdyś dla mnie

nieprzyjazna) odmieniła sposób myślenia, gdy raczy listy moje czytać. Ten, który do niéj posłałem, jest wyrazem uczucia poszanowania i wdzięczności. Bo wasza płeć lubi kadzidła.

„List WPani męża, obiecywał mi kontynuacyę tego co w nim było wzmiankowano, ale że się leniuch zdobył na cztery ćwiartki, podobno ja téj obiecanéj kontynuacyi i za pół roku nie odbiorę, a chciałbym ją mieć jak najprędzéj. Powiédz że WPani swojemu brzuchalowi, iż jeżeli się zdobyć nie może na drugi tak wspory list.

Niech że się pierwéj wysapie,
Niech się prześpi, niech wychrapie,
Niechaj spocznie na kanapie.

„A dopiéro, przetarłszy oczy, krzyknąwszy, kichnąwszy etc. etc, niech powie co mi miał powiedzieć, bo inaczéj, ja jego kontynuacyi nie odbiorę aż chyba z kalendarzem na przyszły rok.

„Znałem ja dziecięciem tę panią Dulskę, o któréj śmierci WPani donosisz. Kto w lat 96 umiera, na krótkość życia skarżyć się nie może, chyba w tém że przeżyła ojczyznę swoję.

„Piszesz mi WPani, że macie zabawić we Lwowie do końca zapust, jak miarkować mogę, z gazet i innych doniesień będzie to czas przybycia cesarza do Lwowa, w sławnéj jego podróży do Chersonu. Proszę bardzo, abym w téj mierze jak najdokładniejsze miał wiadomości.

„Nasz pan Jan (synowiec) pisał niedawno do mnie list. Zdesperowany już iż się wielkiemi dziełami ojczyźnie przysłużyć nie może, chcąc się jednak koniecznie dystyngwować, przedsięwziął uczyć się chodzić i skakać na linie, żeby przecież i współziomki i następcy poznali iż Krasickich krew cóś zawżdy dystyngwowanego zamyśla.

„Z największą radością pospieszyłbym na wesele mojego drużby pana Ignacego, ale ostatnia Berlińska podróż tak mi dokuczyła, iż *pierwszy raz uznałem starość* (miał lat 52) a powtórzeń takich zaczynam się obawiać. Puścić się w takową podróż nie można inaczéj nam, już nie młodym, tylko po odetchnieniu. Co więc nie będzie przy ślubie, może być przy chrzcinach.

„A zapomniałem wzmianki o ogrodzie. Przyszły mi jabłka astrachańskie przezroczyste i już mi się przyjęły. Róż mam tylko czterdzieści dwa gatunków, a że tak mało, rozumiem że mnie WPani żałować będziesz. Piszę w Sobotę Wielkanocną w nocy, przed Rezurekcyą i winszuję Alleluja.“

W Kwietniu (8) roku 1788 humor Biskupa jeszcze lepszy; oto

list do brata: „Dobrze to się stało i bardzo dobrze, iż przecież zawitał Czerniechowski posłaniec z tym co do interesu WPana należy.

Przy łasce Bożéj,
Rzecz się ułoży,

a ułoży wedle żądania naszego.

Gdyby to zamiast reprezentującego, reprezentowany przybył, byłaby radość w najwyższym stopniu. Ale, mój bracie, my dwakroć jubileuszowi, z ciężkością się odrywamy od siedlisk naszych:

Miłe siedliska
Rzeczy są zbliska,
Z dzieci są matki,
Z wnucząt są dziatki.

a rozrzewniony widokiem ojciec i dziad

Plenne chwile czuło trawi,
Pielęgnuje, błogosławi.

„To, nieprzyjazd WPana usprawiedliwia.

„Więc co się na pierwszéj ćwiartce napisało, było za wspomnienie owych wyrazów, którém ja był niegdyś dla pana Ignacego napisał.

„Zwróćmy teraz rzecz i przystąpmy do opowiadania.

„Czerniechowski przyjechał przed dwoma godzinami, a że jutro poczta odchodzi, chciałem WPanu dać najspieszniejszą wiadomość o jego przybyciu, têm pożądańszém, ile że mamy czas do dwudziestego szóstego tego miesiąca.

„To coś WPan przysłał pod kopertą Kalnassego przejrzę jako najpilniéj, trzeba albowiem w tych okolicznościach wielce ważnych i starania i pilności i uwagi.

(Interesa prywatne)

„Wojujecie z Turczynem, jako Biskup krucyatę błogosławię, ale mi się coś zdaje, że ta krucyata nieżwawo idzie.

„Pan Jan pisał mi z Mohilowa, iż Turcy boją się Polaków, zapewne musiał się dowiedzieć Abdul Hamid iż pan Jan jest kapitanem.

„Co mi piszesz WPan o przyszłém dziele, względem naszego pana Ignacego, ma to moją aprobacyę. Jeżeli by wziął Podhajce, jest to zamek wielki, siedlisko Hetmanów, a ztąd może pokuszenie na wielką reprezentacyą, a ztąd wydatek, a ztąd niesposobność, a ztąd...... Xawerka bardzo bym chciał mieć u mnie. Starzyśmy, ale jednakowo trzeba też się zobaczyć—przeciąg wielki, siły już nie owe—trzebaż jednak uczuć słodycz braterstwa. A może by tu drugi klął los że nas tak srogo przedzielił. Co u modnych przypadek, u prawych zrządzenie Boże.

Czem braterstwo, użyliśmy
Zawżdy szczęśni, to zapłatą.
Czem ojczyzna, straciliśmy
Rozrzewnienie rośnie z stratą.

„Mościa pani, co też tu kwiatków książe mój Dessau przysłał! drzew 800.000, kwiatów 1.200.000.“

Inny list z Heilsberga:

„JMPan Bracławski (Maciéj z Brzezia Lackoroński) pisał też także do mnie z Tulczyna. Wybierał się z p. Wojewodą (Szczęsnym Potockim) na objażdżkę kordonów granic polskich. Już też temu będzie lat blizko pięćdziesiąt, jak 10.000 wojska polskiego razem nie było zgromadzonego.

„O wzięciu Gdańska i Torunia fałszywą wieść mieliście. To być może iż kordon wojsk tutejszych na granicach W. Polski będzie rozstawiony.

„Ja całą zimę tę strawiłem w Heilsbergu, na tydzień tylko wyjechałem do Frauenburga. Pani Anna (Charczewska) się zaś została, ile że w czasy różne z dziecięciem włóczyć się nie było można.

„Bawiemy się dosyć dobrze i po Wielkanocy Theatrum nasze znowu się otworzy, które w całym kraju dziś sławne jest, ponieważ wyśmienitych aktorów mamy.“

Aktorami tymi była rodzina i domownicy księcia. Wspomniana tu siostrzenica pani Anna, która z córeczką Urszulą bawiła w Heilsbergu, była znakomitą artystką. Znane są jéj sztychy aqua forti. Rysowała wiele portretów dla wuja i sztuką się zajmowała głównie. W Sierpniu, po dość długiém milczeniu, odzywa się znowu do brata. (Dn. 2 Sierp. 1788 Heilsberg). „Prawda że ktoś długo milczał, a więc drugi ktoś długo cierpiał, ale że pierwszy ktoś przyznał się do winy, drugi mu ją ktoś z serca odpuszcza. Ale jednak z tem ostrzeżeniem, stanowi swemu własnym, iżby się do dawnego nałogu nie wracać.“

Wzywał znowu Biskup brata Xawerego, lat kilka niewidzianego, aby go odwiedził. „Potrzebno i Xawerkowi tutejsze mieszkanie. Pora Sejmu zdaje mi się iż będzie na rękę, gdzie razem i ojczystość rdzę galiciańską przetrze i okoliczności mogą coś udziałać.

„Wchodzę i czule w stan troskliwy w którym zostawacie, ile że nie znam się, widzę, tak jakby się znać pierwéj a gruntownie na tych których zaczepiono (??) którzy gazet nie mają, nie czytają Woltera i Rousseau a bardzo zamaszyści (??).

„My tu się tak bawiemy jak na ustroniu bawić się można. Annowiny i Ignacowiny odprawione były dość nie źle. Owoce dobre

jemy, a pani Anna tak się melonów objadła, iż już ich od kilku dni jeść nie chce, a to, dla zdrowia. W czem trwała będąc, zjadła dzisiaj na obiedzie kapustę z węgorzem i szklankę piwa potem wypiła.

„JMści powiadam. że taż pani Anna w samych tylko kwiatach, granatach teraz chodzi, a co gorsza zaczyna brakować między pięknemi i piękniejszemi.

„Rudzka podobno i Dobrowolska będą nosić odrzutki.

„O nowinach nic nie piszę, bo tu u nas cicho, boją się nas wszyscy, wszyscy nas proszą, bo pieniędzy nie mają, a jak mój Żyd Hirsz powiada, są *Dales Szejne Purec, nisz tu geld.*

„Mościa dobrodziejko. Nie więcéj, tylko trzy tysiące cybulek z Londynu, Amsterdamu, Harleem, Sardaam, Hamburga, Berlina już są w drodze. Nasion korcami, drzew bez liku.“

Pisząca do rodziny pani Anna, o któréj wspominaliśmy, w liście dołożyła, że książę dzieci nie lubił. Przeczytał to on i do tegoż jéj listu, dopisuje: „Cackać się z niemi nie jest według mnie rzecz najpożądańsza, ale pogłaskać, pochwalić, dać cukierek, albo owoc, to bardzo rzecz miła. Nie przestraszaj że mną swoje dzieci. Żeby mi się raz wraz naprzykrzały to by mnie znudziło, ale i w czasie i po troszę, miło na krew swoją patrzeć.“

Jak to tam swobodnie i wesoło schodził czas na zamczysku w Heilsbergu, świadczy list téj saméj pani Anny, „osiemnastego Września już do stołu podawano winogrona, a propos tego raz Hatyński (Kan. Warm.) zjadłszy swój kawałek, przypatrywał się bardzo jednéj jagódce, która się na talerzu była została. Na końcu tentacya go tak ruszyła że ją wziął. Książę to uważał, i gdy już do ust kładł, powiedział mu: *questo si chiama un contentino.* Tak jakoś to śmiesznie powiedział, a znasz Hatyńskiego i jego minę, żem dwa dni z tego zdarzenia się śmiała.“

Stół w Heilsbergu był bardzo, jeśli nie wykwinty, to pilno dozierany. I w Podstolim Krasicki zalecał posilne i zdrowe jadło, a nie zbyteczne. W tym czasie właśnie Müller, dawny kuchmistrz, wyjechał, potrzebowano zastępcy. „Jakubowski kucharz,“ pisze Biskup, „po odjeździe Müllera, tak się popisuje iż we dwójnasób lepiéj i smaczniéj jemy niż przedtém. Niechże ten kucharz co z Warszawy przyjedzie, nie uczyni wstydu tym co go wybiorą, Polskie potrawy żeby umiał in excellence gotować, kiełbasy, kiszki, pierogi, barszcz i rosół, gdyż tutejszy do ciast dobry, a ten co z Berlina przyjedzie, także nie lada będzie i to bardzo do jego talentów potrzebne, żeby pieczyste dobrze robił, a potrawy jak najczyściéj sporządzał.“

Nalegając o rozmaite przyobiecane przez brata i bratową, dostarczyć się mające rzeczy, kończy list: „kucharza, kucharza i je-

szcze kucharza przypominam. Winko, winko i jeszcze winko. Cybule, cybule i jeszcze cybule. Sok lemonjowy, lemonjowy i jeszcze lemonjowy. Kaszy drobnéj, drobnéj i jeszcze drobnéj. Co się tyczy owych rzeczy i activitati activissimi, magnanimitati magnificentissimi, generositati generosissimi.

Fratri fraterrimi
et
Fraterrissimi polecam.

Póki pan w Warszawie, póty nadzieja w Heilsbergu, pan z Warszawy, nadzieja z Heilsberga wyjedzie."

Pan Antoni te wszystkie polecenia miał spełnić w Warszawie, do któréj udał się umyślnie; a najgłówniéj (o czém list przemilcza) dla starań o Biskupstwo Krakowskie. Ze wszech względów było one pożądane, znużonemu pobytem w miejscu tak oddaloném od swoich, od społeczeństwa polskiego, wreszcie już, po obcięciu dochodów przez Fryderyka II, utyskującemu na coraz cięższe interesa Krasickiemu. Biskupstwo Krakowskie mogło go wyrwać z téj toni i oswobodzić od codziennéj troski. Brat więc Antoni wysłany był, aby wszelkiemi możliwemi środkami, przez przyjaciół rodziny i osobistych księcia starał się nominacyą tę wyrobić. Omylono się podobno na znaczeniu poczynającego Sejmu, którego dalsze rozwinięcie się dla wszystkich było nieprzewidziane. W początkach król ze stronnictwem patryotyczném stał w opozycyi, musiano więc chodzić tak, aby sobie ani jednéj ni drugiéj nie narazić strony.

To, czy inne Biskupstwo, lub jakiekolwiek beneficium przynoszące dochody znaczniejsze, koniecznie chciał uzyskać książę. W Listopadzie pisze do brata:

„Piszą mi iż ma nadzieję Biskup Wileński Krakowskiego, to my po Wilno; nie uda się Wilno, o Koadjutoryą Krakowską, z dobrą pensyą lub wydziałem dóbr kilkadziesiąt tysięcy czyniących. Nie uda się o Krakowskie, to my o Koadjutoryą Wileńską, zgoła wszystkich trzeba sposobów wzręcz bez ogródki tentować. Prymasa prosić, króla mordować, Generała artyleryi budzić. Koniec końców czy to tak czy owak kilkadziesiąt tysięcy intraty, a najlepiéj by było żeby jakie dobre opactwo zyskać. Róbcie wreście jak chcecie, ale rzecz trzeba żwawo, mocno, ciągle popierać, nie żałować i pracy i sposobów a ja mam nadzieję że się rzecz uda. Hohenzollern jeszcze nic nie przysłał ze swojéj strony, kto wie może Bucholcowi już zalecona, poznaj się z nim WPan i ściśle, gadaj w moim interesie tak jakeśmy dawniéj ułożyli między sobą siedząc przy kominku. I z Lucchesinim poznać się trzeba, może ten dopomoże. Królowi i ks. Prymasowi to przełożyć iż największe moje motivum żebym

miał w Polsce intraty, to jest żebym chciał przy królu w Warszawie co rok kilka miesięcy przepędzić, a teraz choćbym chciał, nie mogę, bo szczupłość intrat a wydatki wielkie niepozwalają.“

Uzbrojony w protekcyą dworu Pruskiego, opiekę Buchholtza, poparcie Luccheciniego, ruszył P. Antoni z Heilsberga, pożegnawszy rodzinę, którą tu zostawiał, d. 5 Listopada po południu. Jechał na Kwidzyn, gdzie go zatrzymała u Hoyma sprawa jakaś o kilkadziesiąt tysięcy talarów, które mu przysądzono, na Toruń do Stolicy. Warszawę znalazł tak zajętą napływem ogromnym przybyłych z prowincyi, że o pomieszczenie nawet było trudno i musiał tymczasowo przyjąć gościnę u pp. Kowalskich na Szulcu.

Później dał mu mieszkanie Generał artyleryi po Hrabi Brühlu (w arsenale)—pełne ślicznych obrazów. Opowiada p. Antoni, że ostatnich dni Września, w Radzie miała stanąć konfederacya przyjaźna Rosyi, ale dowiedziawszy się o tém Buchholtz, poseł pruski, pojechał do Kanclerza Małachowskiego z oświadczeniem, że król J. M. Pruski nie ścierpi kroku podobnego. Kanclerz pojechał z tém do króla, a król zażądał, aby Buchholtz ten protest podał na piśmie; Poseł pruski miał na to odpowiedzieć.

— Nadchodzi Sejm, na którym cały naród zgromadzony Rzecz-pospolitą panią reprezentować będzie, udam się do niéj a nie do Rady, która jest tylko téj Pani sługą. Groźba ta Buchholtza miała być powodem, że projekt upadł.

Nazajutrz zaraz po przybyciu, wybiérał się p. Antoni do Prymasa, do Gnła Potockiego, do pani Mniszchowéj. Po obiedzie miał być u Marszałka Mniszcha, wieczorem u Potockiego i księcia Generała ziem podolskich i u wielu posłów. Nie tracił więc czasu. Daléj już tak sprawę zdaje z tych zabiegów.

„W Sobotę rano byłem u Generała artyleryi Potockiego, z nim rozmówiwszy się o interesie księcia Biskupa, pojechałem po obiedzie do króla. Tam otrzymawszy audyencyę, pomimo nacisku onéj pragnących, czułem mu wyraził podziękowanie za jego względy i dawniejsze i teraz nieodmawiane. Zapytał się mnie czylim umyślnie o Warszawę zaczepił. Powiedziałem, że bliższą bym mógł mieć drogę, ale chęć ucałowania rąk jego dobroczynnych, tu mnie przywiodła. Na to tysiąc grzeczności usłyszałem, w tych wyrazach, Mój Hrabio, pewny ja jestem, że wasz dom cały jest mi przyjazny szczerze, dawaliście mi dowody tego wielorakie. Miło mi o was wspomnieć, miléj was widzieć otaczających mnie. Potém zaczął.

— „Powiem ci też, mój hrabio, miłe moje zdarzenie, oto przed godziną poznałem kobietę ładną i grzeczną, a WPana wiele interesująca, Krasickę z domu za Stadnickim będącą. Córka to moja od-

powiedziałem na to. On—Domyślałem się tego, bo twarz jéj poczciwość ojca i stryja wydawała. Natabene, zjechał się z nią w Królikarni u Tomatysów, gdzie dla widzenia obrazów jeździła i mówił z nią wiele i z Teosią się bawił. Potém mówił mi że z Anusią (Charczewską) koresponduje i pokazywał jéj rysunek. Nakoniec rzekł:

— „Mój hrabio! przywieź mi Biskupa, niech że ze mną mieszka czas jaki. Słodka mi przytomność jego, chciałbym ją mieć nieprzerwaną. Odpowiedziałem. W mocy to jest W. Kr. M. tak nim za przyjazdem rozrządzić, żeby się nie miał przyczyny śpieszyć z powrotem. Roześmiał się i rzekł. Rozumiemy się. Daj Boże tylko pory, a niezawiedziecie się poczciwi i zacni Krasiccy na mojém przywiązaniu. I na tém koniec. Bóg by dał żeby to prawda była. W zamku bawiłem do nocy i pojechałem do księztwa Czartoryskich na śledzie i węgorza, a potém do domu spać. Niedziela. Byłem u dworu rano, gdzie pokazał się projekt patriotów do konfederacyi, w którym naprzód wyrażają potrzebę skonfederowania się, dla ocalenia kraju, praw i swobód narodowych, przy wierze Św. Katolickiéj rzymskiéj, przy dostojeństwie króla pana swego, w punktach takowych, ażeby wojsko do 60.000 pomnożyć, podatki nałożyć na kraj, na wojsko tylko expensować. Sancitów żadnych nie wydawać. Jurysdykcye sprawiedliwość administrujące, to jest Trybunały, Sądy Ziemskie i Grodzkie, marszałkowskie jurysdykcye, Skarbową komissyą zachować i na końcu p. Potockiemu Generałowi komendę wojska oddać. W tém ukazał się inny projekt dworski, w terminach trochę odmiennych, ale po obranym Marszałku Małachowskim, wysłani delegaci do króla z Senatu, Kasztelan Krakowski, Biskup Łucki i Walewski Wda Sieradzki, i po jednym pośle, wszyscy poszli do króla i ugodzili się o projekt Confederacyi. Cały jest prawie taki jak patriotyczny."

Pisze późniéj P. Antoni. „Warszawę zastałem liczną, posłów gorliwych aż nadto, mowy junackie gadają i niektóre prawdziwie piękne. Nad projektem ustawy komissyi wojskowéj siedzą dotąd, nad każdém słowem do zbytku ostrożnie radząc.

„Króla martwią tak dalece, że aż zasłabł i krew mu dziś do dnia puszczano. Onegdajszéj sessyi odpowiedź na Noty posła rosyjskiego czytana była i słyszemy kilka mów przeciw aljansowi. Zbyt wczesne postrachy, kiedy jeszcze siły w projekcie, wojsko na papierze, a pieniądze w obietnicy. Strona obywatelów poważniéj myśląca nie tak jest zapaloną, roztropność jéj towarzyszy we wszelkich czynnościach i mowach. Bóg wie co za koniec będzie tego Sejmu, od którego należało się było spodziewać uszczęśliwienia.

„Wizyty, pierwszego dnia u księcia Generała Ziem Podolskich, gdzie był właśnie i poseł rosyjski. Przychodzi do niego poseł pruski

wyznaczony do Petersburga Graf Lucchesini, a przez Sejm tu bawiący się, z tym komplementem. Powiem WPanu nowinę, którą od króla mego mam, że, ponieważ do pogodzenia Porty z Rosyą medjacja króla mego pana przez Imperatorowę przyjętą nie jest, wojska nasze idą w kraj wasz, zaczém gdy WPan łudzisz wieściami fałszywemi powszechność o zgodzie wojujących potencyi, ja, prawdę kochającego króla minister, przeczę temu, i, gdy o pokoju mówić będziesz, ja będę o wojnie. Co tak zmięszało posła że się znaleść zrazu nie mógł, ile że to mówienie było przy wszystkich, głośno i tonem junackim."

Bawił, chodząc około sprawy księcia Biskupa, brat jeszcze w Grudniu, zapewne łudzony na próżno lekkiemi słowy. D. 8. Grudnia donosi: „Odebrałem od księcia sztafetę i z Berlina rozkazy do posła pruskiego, ażeby się za księciem serjo stawił imieniem Dworu swego o Biskupstwo Krakowskie. Wpadłem znowu w matnię interesów nielada. Godzić muszę tak okoliczności żeby się i królowi nie narazić i z pruską partyą, to jest patriotami, być dobrze. Dziś już familję królewską widziałem. Pani Krakowska, nasza dobrodziejka, pokazuje się dobrodziejką osobliwszą naszą. Z królem i księciem Prymasem jeszcze i jutro potykać się będę, a w poniedziałek z posłami pruskimi, ponieważ ci najwięcéj teraz zrobić potrafią, gdyż na to Biskupstwo Sejm obierać będzie, a oni całą partyą przeciwnych dworowi, absolutnie rządzą. Wielki ten interes na mojém jedynie staraniu.

„W Warszawie to się znakomitszego stało, że Sejm jest przez prawo do tego czasu przedłużony, dopóki wszelkie interesa zakończone nie będą; to jest, urządzenie Komissyi Wojskowéj, uchwalenie podatków, środki zebrania aktualnego stu tysięcznego wojska, i wewnętrzne kraju ustawy. Sejm na dwie partye podzielony, dworską i republikantów. Dworacy nie mają ludzi mównych, druga zaś strona czasem aż nadto gada. Króla martwią, choruje często. I nasz Generał Potocki chorował, ale się teraz ma lepiéj. Za dwa dni może z domu wyjedzie. Mowy niektórych patriotów są bardzo piękne, ale interesa za to idą po malusieńku. Posłów do cudzych krajów w Poniedziałek wybierać mają. Do Petersburga albo nasz Generał Potocki albo książę Generał Czartoryski, do Stambułu albo Radziwiłł Wda Wileński albo Sołtan Chorąży Litewski, do Berlina książe Czartoryski Stolnik, do Wiednia Wojna, do Paryża Stanisław Potocki."

Interes księcia Biskupa szedł jakoś oporem, choć oba posłowie pruscy silnie go popierać zaczęli. Spodziewano się wiele i rachowano na ten chwilowo przeważający wpływ dworu berlińskiego;

ostatecznie zaś, zdaje się, że szczerze i gorąco nikt sprawy téj nie popiérał, przy daleko ważniejszycn, które wszystkich zajmowały.

„W Warszawie bałamuctwa więcéj jak roboty, pisze znękany poseł. Opowiem więcéj za przybyciem, a teraz cokolwiek wyrażam. Partya patriotów czasem tak daleko zapędza się, że obawiać się słusznie należy, ażeby zamiast spodziewanego wsparcia ojczyzny nie stała się przyczyną jéj zguby. Średnia droga najbezpieczniejszą była, ażeby i Boga chwalić i Dyabła nie gniewać. Co dobrego dla kraju robić było, toć Generał artyleryi, za to go okrzykniono..... a podobno teraz już przestrzegają się że za prędko szli i za żwawo.

„Bardzo leniwo Sejm idzie, dopiero komissyą robią, która rządzić ma wojskiem, a ta składa się z artykułów 31. Jedenasty dopiero (d. 12 Grudnia 1788) wczoraj skończyli. Oprócz tego jak przyjdą podatki, zapewne długi czas zabiorą, oraz Etat wojska. Nieochybnie Sejm ten doczeka lata, a tym czasem gdy się pogodzą wojujące potencye, pewnie my w dawnym zostaniemy nieładzie.“

Ciągnęło się tak do r. 1789; a Biskup nareszcie, przekonawszy się, że przez najlepsze posły wilk nie tyje, postanowił sam udać się do Warszawy. do króla i przyjaciół.

Podróż ściągnęła się do lata, i ostatnich dni Czerwca wyjechał z Heilsberga.

(Dokończenie nastąpi)

GOETHE.

ZARYS BIOGRAFICZNO-LITERACKI.

Hermann Grimm: Goethe. Vorlesungen gehalten an der Kgl. Universität zu Berlin 1877. 2 tomy.
Hermann Hettner: Goethe und Schiller. 3-e wydanie 1876. 2 tomy.

CZĘŚĆ TRZECIA.

1788—1805.

I.

Stosunki Goethego po powrocie z Włoch.—Krystyna Vulpius, siostra autora Rinaldo Rinaldiniego.—Elegie rzymskie.—Schiller.—Jego nieprzyjazny stosunek względem Goethego.—Egmont.—Karol August.—Studya naukowe Goethego.—Jego niepopularność.

Wieczorem dnia 18 Czerwca 1788 roku przybył Goethe napowrót do Weimaru. Parę pierwszych tygodni przepędził w towarzystwie dworskiém, opowiadając z zajęciem i ożywieniem wielkiém o cudach Italii, o swoich studyach i przygodach. Każdy był ciekawy przypatrzéć się bliżéj znakomitemu poecie, posłyszéć jego zdanie o kraju, który bardzo wielu zwiedzało, ale w którym mało kto zebrał taki plon ukształcenia jak Goethe. Kiedy atoli pierwsza chwila gorącego interesu i zapału minęła; kiedy się już oswojono z poetą i z jego wrażeniami, zaczął Goethe uczuwać, że Weimar nie jest już tém pożądaném miejscem pobytu, jakiém go sobie, tęskniąc za krajem, we Włoszech jeszcze przedstawiał. Pani von Stein okazywała w sposób wcale niedwuznaczny swoje niezadowolenie z chłodnéj przyjaźni, jaką jéj poeta mógł teraz ofiarować, przyzwyczaiwszy się przez dwa lata blisko do obywania się bez jéj towarzystwa;

poeta zaś spostrzegł, że jego przyjaciółka dochodzi już pięćdziesiątki...

Karol August nie potrzebował już obecnie jego rady i pomocy, bo przyszedł do zupełnéj dojrzałości, a popędy samowolne coraz silniéj w nim się odzywały; książę też przybrał względem poety ton kordyalnéj poufałości, a poeta nie mogąc względem swego mecenasa tonu tego przybiérać, musiał się coraz bardziéj w granicach oficyalnéj etykiety zamykać... Najlepszy stosunek był bądź co bądź z Herderem, którego kapryśna natura znalazła w tych czasach właśnie sposobność zaimponowania Goethemu poglądami na powszechno-dziejowy rozwój narodów. Wtedy to wychodziły „Pomysły" Herdera „o dziejach ludzkości." Ponieważ Goethe potrzebował teraz jakichś ogólnych pojęć o historyi; Herder po raz drugi otworzył mu oczy na sprawy wszechświata, tak jak w Strasburgu odkrył mu był znaczenie idei XVIII wiekowych. Podczas gdy utwory Goethego, mianowicie jego Ifigenia „rzymska" nie miały powodzenia, *pomysły* Herdera były przedmiotem uwielbienia; sam Goethe utrzymywał, że Herder nic lepszego nad nie nie utworzył. Stosunek z Herderem osładzał mu przykrości pobytu w Weimarze i powstrzymał go od powtórnego do Włoch wyjazdu. Ale stosunek ten nie mógł mu przecięż wystarczyć zupełnie. Chorobliwie kapryśne usposobienie Herdera, o którym Goethe powiedział, że kto przychodził do niego, podziwiał i cieszył się jego łagodnością, a kto wychodził czuł się obrażonym, nie mogło dać tego spokojnego przywiązania, jakiego poeta potrzebował. Publiczność niemiecka nie pociągała go; od czasu niepowodzenia Ifigenii miał dla niéj pogardę, brak mu było serca, któreby długie godziny samotności rozweselało.

Serce takie znalazło się wkrótce. W trzy tygodnie po przybyciu do Weimaru poznał Goethe piękne dziewczę Krystynę Vulpius, siostrę sławnego i u nas autora, bo któż nie zna Rinaldo-Rinaldinicgo, kto o nim nie słyszał przynajmniéj, chociaż nazwisko twórcy jego, jak w ogóle wszystkich popularnych rzeczy, ze zwykłą niewdzięcznością mało kto sobie przypomina. I gdyby nie Goethe możeby nazwisko to zupełnie zginęło; ale ponieważ nosiła je także jego kochanka a następnie jego żona pani radczyni von Goethe, jak oset u sukni jego uczepiony przejdzie do nieśmiertelności.... Vulpiusowie była to rodzina biédna, bardzo podrzędne w towarzystwie zajmująca stanowisko, zrujnowana w skutek brzydkiego nałogu ojca. Krystyna Vulpius przyszła do Goethego z prośbą, ażeby jako minister pomógł jéj bratu w karyerze, minister kazał przyjść do siebie raz i drugi, upodobał sobie śliczny kwiatek polny, a nie chcąc, żeby zwiądł, przeniósł go do swego ogródka wraz z gruntem, na którym wyrósł, to

jest mówiąc bez przenośni ofiarował Krystynie, jéj siostrze i ciotce mieszkanie w domu swoim. Z początku stosunek ten utrzymywał w najgłębszéj tajemnicy; jednak w takiém miasteczku jak Weimar tajemnica długo utrzymać się nie mogła. Charakterystyczną jest rzeczą, że gdy wszyscy już o tém wiedzieli, nie oburzali się tyle na swobodny, niepobłogosławiony przez kościół stosunek, ile na niskie Krystyny urodzenie. Tak nazwana „emancypacya ciała,“ która potém stała się sztandarem Saint-Simonistów przeprowadzała się naówczas w Weimarze na drodze praktycznéj. Swoboda stosunków pomiędzy obiema płciami dochodziła nieraz do ostateczności; a apostoł uciech zmysłowych, uszlachetnionych artyzmem, Wilhelm Heinse był wtedy jednym z pisarzy modnych; utwór zaś „Ardinghello,“ w którym niczém nieskrępowana namiętność ubóstwienie swe znalazła, obudzał wrzawliwy entuzyazm. Dlatego to stosunek Goethego do Krystyny nie raził Weimarczyków ze strony moralnéj, ale z towarzyskiéj głównie. Zresztą poeta uważał swą przyjaciółkę od początku za żonę i w obec serdecznych przyjaciół inaczéj jéj nie traktował, aż wreszcie w roku 1806 wziął z nią ślub kościelny. Była to kobiéta namiętnie przez Goethego kochana, była-to gospodyni, któréj powierzył cały zarząd swego domu; była-to przywiązana ślepo do poety słuchaczka, przed którą wywnętrzał się ze swojemi badaniami nad przeobrażeniem roślin, a chociaż zapewne nie znajdował w niéj umysłu zdolnego do pojęcia całéj doniosłości jego odkryć, nigdy przecięż obojętności nie zaznał; była ona wreszcie matką jego syna, którego całém sercem kochał. Matka Goethego w listach nazywa Krystynę od początku „kochaną córką“ i dobrze się z nią obchodziła, kiedy ją poeta do Frankfurtu przywiózł. A następnie kiedy dla załatwienia spraw spadkowych wysłał Goethe Krystynę do Frankfurtu, to zachowała się tak wspaniałomyślnie, iż krewni skarżyć się na nią nie mogli. Kiedy po bitwie pod Jena, Francuzi plondrowali Weimar, miała dosyć odwagi, ażeby po przez szeregi maroderów pójść prosić dowódców francuskich o straż dla Goethego. Gdzie tylko widzim kobiétę tę działającą, wszędzie postępuje śmiało, energicznie i rozważnie.

Najpiękniejszym pomnikiem, jaki Goethe Krystynie swojéj wystawił, są „Elegie rzymskie,“ w których osobistość główna musiała mu się przedstawić w postaci Krystyny. Kiedy poeta spotkał ją, dusza jego pełna była wspomnień rzymskich; jéj postać zapewne miała coś w sobie rzymskiego, przynajmniéj w jego oczach. Wiemy z dochowanego portretu, że we wzroście i postawie Krystyny przeważała siła i krępość, co właśnie kobiéty rzymskie odznacza. Goethe w

„Elegiach rzymskich“ uczynił z niéj prawdziwą Rzymiankę, jakby z rodu dawnych imperatorów pochodzącą.

Jak w „Tassie“ wyśpiewał Goethe swoje uwielbienie dla artystycznéj przeszłości, tak w „Elegiach“ upoetyzował użycie chwili obecnéj. Zdrowie, świéżość, młodość, wrażenia zmysłowe, uciechy rozkoszy, połączone ze spokojnym i trzeźwym na świat poglądem: oto przedmiot ówczesnych jego zachwytów, któremi natchnęła Krystyna i elegicy rzymscy: Katullus, Tybullus, Propercyusz i Johannes Secundus. „Elegie“ są mistrzowskim tych zachwytów uwiecznieniem. Zarzucają im ubóstwienie zmysłowości; byłby to zarzut słuszny może, gdybyśmy rozpatrywali „Elegie“ jako jedyny utwór poety; ale gdy je zestawimy ze spółcześnie wykonanym Tassem, pojmiemy, że w nich Goethe jednę tylko stronę życia ludzkiego starał się przedstawić, stronę, któréj nikt zaprzeć się nie może. Goethe umiał zarówno najwznioślejsze jak i najniższe popędy ducha ludzkiego artystycznie zużytkować, bo pożądał prawdy przedewszystkiém. Z otwartością cyniczną na sposób starożytny nie lękał się niczego, nazywając wszystko właściwém mianem; co tylko przez umysł jego przeszło, musiało znaleść wyraz poetyczny. Są jego wiersze (Paralipomena de Fauste), w których najbrudniejsze pomysły wypowiada z taką dosadnością, jak gdyby miały one prawo do téj saméj precyzyi w dykcyi poetycznéj, jaką się objawia na wyżynach uczuć najczystszych. W „Elegiach“ duch elegików starożytnych z każdego wiersza przegląda; swobodne lubowanie się powabami życia, uduchowione do pewnego stopnia kultem piękności artystycznéj, stanowi treść poemacików. Krystynę zamienił poeta na dziewczynę rzymską, sprzedającą wino w jednéj z winiarń i otoczył ją wszystkiemi urokami, jakich mu wspomnienia z życia włoskiego dostarczyły. Opowiada tu jak się z nią spotkał, niepoznany wśród ciemności, jak ona przyszła do niego potajemnie, jak zrozumieli się wzajem, chociaż świat niczego się nie domyślał: słowem wszystkie przygody weimarskie wplótł poeta w osnowę życia rzymskiego. W podbudzonéj wyobraźni odżywają dawne wesołe bóstwa i dawni ludzie z ich życiem bez troski; tak że chociaż wypadki odgrywają się na scenie spółczesnéj, przenosimy się duchowo w ten świat antyków, w którym prawa moralne teraźniejszości przestają obowiązywać. Na tém ścisłém zespojeniu dwu odmiennych światów, na oświetleniu ich blaskiem artystycznego piękna polega mistrzowstwo Goethego. „Elegie“ jego jest to utwór nowożytny, nad który nic starożytniejszego, nic coby antykiem tak było przejęte. Goethe sam wyznał w żarcie, że gdy pisał Elegie, wydawało mu się, że był kiedyś Rzymianinem za czasów Hadryana żyjącym.

Tak tedy Goethe i w życiu i w poezyi odświéżał wspomnienia swego pobytu we Włoszech; pogrążył się cały w otchłaniach sztuki, wdychał w siebie powietrze starożytności, a pogardzając sądem publiki niemieckiéj, nie myślał nawet o tworzeniu dzieł, któreby jéj smakowi dogadzały. To téż publika ta odwracała się od niego, zapominała o nim, co tém łatwiéj jéj przyszło, że wtedy właśnie zasłynął talent olbrzymi, który umiał do gustu jéj trafić. Talentem tym był Schiller, znany już jako autor Zbójców, Fieska, Intrygi i Miłości, Don Carlosa i wielu wspaniałych pieśni lirycznych. Schiller po smutnie, wśród trosk ciągłych i niedostatku przepędzonéj młodości, bawił w Weimarze a raczéj w jego bliskiéj okolicy wtedy właśnie, kiedy Goethe miał powrócić do kraju. Jeżeli kto oczekiwał tu Goethego, jeżeli kto czuł całą jego potęgę, to z pewnością Schiller. Widział go on już w Stuttgardzie r. 1779, kiedy Goethe wraz z księciem Karolem Augustem w podróży do Szwajcaryi tamtędy przejeżdżał. Był wtedy biédnym studentem, a Goethe, będący wtedy w pełni młodzieńczéj swéj sławy, zrobił na nim wielkie wrażenie. W rok potém na dzień urodzin księcia uczniowie przedstawiali Claviga, a Schiller grał w nim rolę tytułową. Wówczas-to kończył swoich Zbójców i miał lat 21; w tymże roku został lekarzem pułkowym i wśród życia szalonego rozpoczął druk swéj sztuki... za pożyczone piéniądze. Schiller, o dziesięć lat młodszy od Goethego, nie marzył o takiéj jak jego karyerze; nie spodziéwał się zostać ani przyjacielem księcia, ani szlachcicem; pragnął się dostać na deski teatralne, na którychby się mógł zetknąć z wielką publicznością. Małe kółko przyjaciół nie wystarczało mu; on chciał wywoływać oklaski, łzy i drżenie. Tymczasem spotykały go ciągłe zawody i życie nieznośném mu czyniły. W 1785 poznał w Darmstadzie Karola Augusta, czytał przed nim pierwszy akt Don Carlosa i miał z nim rozmowę; książę obdarzył go tytułem książęco-weimarskiego radcy. Schiller udał się potém do Lipska, zamieszkał w jego okolicy w Gohlis, gdzie w ciasnych dwu izdebkach skończył Don Carlosa, a ponieważ nie mógł się utrzymać ze swych skromnych funduszów, przeniósł się do przyjaciela swego Körnera w Dreźnie. Ztamtąd w Lipcu 1787 pojechał do Weimaru; miał tu cały rok czasu do rozpatrzenia się w stosunkach zanim Goethe powrócił. Ale i tu czuł się zupełnie osamotnionym, taż sama spotkała go tu praca z dnia na dzień, toż samo uczucie przygnębienia z powodu ustawicznych długów i toż smutne przekonanie, że stosunki z ludźmi nic dobrego dla niego nie przynoszą. Jedna go tylko podtrzymywała nadzieja, uważał się za dość znakomitego, ażeby Goethe chciał z nim zabrać bliższą znajomość... a wówczas.... wówczas biéda jego się skończy i dni jaśniejsze na

posępnym jego widnokręgu zawitają. Lecz i ta nadzieja zawiodła go, przynajmniéj na lat kilka.

Kiedy Goethe wrócił do Weimaru, Schiller znajdował się na wsi w Volkstädt. Zapoznał się on z Lengefeldami i po raz pierwszy w życiu zamarzył o założeniu własnego ogniska. Serdeczne przyjęcie, jakiego doznał w téj rodzinie, zachwyciło go i osłodziło mu choć w części doświadczone niedawno gorycze. Tu z niespokojnością oczekiwał przybycia Goethego, dzieląc się wiadomościami, jakie mógł o tym ważnym naówczas zdarzeniu pozbiérać, z przyjacielem swoim Körnerem. Pomimo wszelkich starań nie mógł ukryć w listach swojéj niecierpliwości i natężonego oczekiwania. Nie przypuszczał zdaje się, żeby Goethe nie pragnął zapoznać się z takim pisarzem jak Schiller; tymczasem upływały całe tygodnie, a żadnéj o takiém pragnieniu wskazówki nie było. Dla własnéj tedy sławy musiał w obec takiego faktu zająć jakieś określone stanowisko. Ugiąć się przed Goethem, uczynić pierwsze kroki nie byłoby dla niego rzeczą trudną; ale kto mu zaręczy, jak Goethe to przyjmie; postanowił więc czekać w milczeniu. Musiał jednak wkrótce kapitulować. Powiadano, że Goethe przyjedzie do Kochberg, gdzie mieszkała pani von Stein. Schiller byłby zapewne tam się znalazł; ale Goethe, który właśnie wtedy pierwsze dni ze swoją Krystyną przepędzał, do Kochberg nie zjechał, a o istnieniu Schillera na świecie zaledwie kiedy niekiedy sobie przypominał. Schiller tedy przepędził w oczekiwaniu miesiąc cały i w jednym liście do Körnera pisał: „Goethego nie widziałem jeszcze, ale zamieniliśmy ze sobą powitania. Byłby mię odwiedził, gdyby był wiedział, że ja mieszkam tak blisko téj drogi, którą on do Weimaru zdążał: byliśmy wtedy o godzinę oddaleni od siebie. Jak słyszę, nie będzie się zajmował interesami państwa. Księżna wyjechała do Włoch; ale Goethe zostaje w Weimarze. Z niecierpliwością pragnę się z nim widzieć." Niecierpliwość ta miała być wreszcie zaspokojona. W początkach Września zjawia się Goethe w Rudolstadt w domu pani von Lengefeld, późniejszéj teściowéj Schillera. Z Goethem przyjechała pani Herder, pani von Stein i jéj matka pani von Schardt. W domu pani von Lengefeld były wtedy dwie jéj córki: Karolina, późniejsza żona Schillera, i pani von Beulwitz, późniejsza pani von Wolzogen, która napisała następnie biografią Schillera. Naturalnie znajdował się tu i autor Don Carlosa.

W liście do Körnera Schiller spotkanie to opisując, starał się okazać i sprawiedliwym i nieuprzedzonym, nie mógł atoli ukryć zupełnie tego uczucia, że się pod każdym względem rozczarował. Schiller sądził, że z zetknięcia się tego coś koniecznie wyniknie;

a tymczasem jego znajomość z Goethem jak najobojętniejszym odbyła się trybem. W ówczesnych listach Goethego nie ma nawet wzmianki o Schillerze; raz tylko jeden bez wymienienia nazwiska wspomina się o nim, jako o recenzencie, a to z następującéj okoliczności.

Wyszedł naówczas nowy tom zbiorowego wydania dzieł Goethego, zawiérający Egmonta, który, jak wiemy, powstał był jeszcze za czasów frankfurckich, potém ulegał przeróbkom, a ostatecznie w Rzymie został wykończony. Otóż tom ten dostał się Schillerowi do oceny; wkrótce zaś po owém widzeniu się z Goethem wyszła recenzya i jak każde sprawozdanie literackie była wtedy przedmiotem wielu rozmów. Goethe czytał recenzyą i musiał zauważyć, że czas jego już minął, że nadeszły dni, w których publiczność niemiecka nic już o nim nie wiedziała, bo podrosło nowe pokolenie, dla którego delikatni bohatérowie Goethego nic w sobie bohatérskiego już nie mieli!

Egmonta możnaby nazwać arystokratycznym, zniewieściałym bliźniakiem Götza von Berlihingen; był to człowiek, który własną szlachetną naturę, kierującą jego krokami, podniósł do znaczenia losu nieuniknionego. W obec wypadków chwili zachowywał się on biernie tak jak natura: było to wspaniałe drzewo, niemogące nic poradzić na to, że zimna wiosenne zmrażają wszystkie nowe jego prątki. W tym stanie, pozbawionym wolności woli, spoczywa treść tragiczna. Senna wędrówka po przez życie stanowiła temat wszystkich utworów Goethego z lat młodszych. Bohatérowie jego są wolni i niewolni w najwyższym stopniu i w najpiękniejszych objawach. Goethe uważał samego siebie za najznakomitszego przedstawiciela tego przeciwieństwa swobody i niewoli; ciągle uosabia siebie w tym kierunku, chcąc tak lub owak dojść do jakiéjś harmonii. W Goetzu widzimy najwyższą miłość ojczyzny, wymagającą poddania się prawom, połączoną z samodzielnością indywidualną z wszelkich praw szydzącą; w Tassie spostrzegamy modlitewne niemal odczuwanie życzeń księcia, który w myśl pojęć XVI wieku przedstawia się jako istota półboska; ale to odczuwanie łączy się z najbezwzględniejszą pogardą tego stanowiska, jak tylko powstaje w duszy podejrzenie i kaprys; w Egmoncie znajdujemy potężne uczucie wolnego niderlandzkiego szlachcica reprezentującego naród, a zarazem niemożność poświęcenia indywidualnéj bezmyślnéj żądzy używania na ołtarzu konsekwencyi politycznéj, co właśnie spowodowało jego koniec tragiczny.

Atoli pod względem téj wewnętrznéj walki Götz nawet był dla publiki niemieckiéj niezrozumiały: unoszono się tam nad cnotami

niemieckiemi w przeciwstawieniu z życiem dworskiém cudzoziemskiém. O ile te właśnie pierwiastki znajdowały się w Egmoncie, o tyle ze spółczuciem zostały przyjęte; do takich należały przedewszystkiém wspaniałe sceny ludowe. I w tém jednak spółczuciu znaczna była rożnica. Nieznany autor Goetza przyszedł jak zbawca wśród powszechnego zwątpienia; znanemu zaś i sławnemu autorowi Egmonta dano do zrozumienia, że pod pewnemi warunkami może jeszcze liczyć na sympatye ogółu. Po raz pierwszy powiedziano to Goethemu bezwzględnie i otwarcie, i to w Weimarze i to przez usta Schillera!

Recenzya Schillera zawiérała jego program, w którym młody poeta chciał zaznaczyć, że Goethe należy już w Niemczech do historyi; że istnieli młodsi od niego, uważający siebie za właścicieli przyszłości i że ci młodsi, tak samo jak niegdyś Goethe, pozwalali sobie traktować starsze pokolenie bez ceremonii i mówić mu prawdę bez ogródki. Najświetniejszym przedstawicielem tych starszych był wprawdzie Goethe, uprawnionym natomiast rzecznikiem młodszych nikt inny tylko Schiller. Jako taki życzył sobie stosunkować się z Goethem jako równy z równym. Dajmy na to, że Goethe jest potęgą, to wszakże i on, autor recenzyi nie jest bezwładnym. Jeżeli Goethe ustąpi z drogi, to niech go nikt nie poszukuje; co do stopnia niech nie będzie żadnéj różnicy; a jeżeli ktoś tak myśli, to z pewnością nie ten co Egmonta ocenia.

Napomknienia te nietrudno odczytać między wierszami recenzyi Schillera. Z aplombem wprawnego pisarza Schiller wykazuje w niéj Goethemu, że jego pojęcie postaci Egmonta jest błędne; nie oszczędza mu nawet stosownéj lekcyi historycznéj. Powiada, że prawdziwy Egmont był to zadłużony wielki pan i ojciec rodziny i że względem Filipa wcale w takim nie stanął stosunku, jak go chciał mieć Goethe. Roztacza daléj przed czytelnikami całą teoryą traktowania bohatérów dziejowych w utworze artystycznym i wszystko co się w Egmoncie do polityki odnosi za chybione poczytuje. Chwali natomiast z zapałem zachowanie pierwiastku ludowego w dramacie; ostatecznie jednak zimno się z autorem rozstaje.

Goethe raz tylko jeden wspomniał o tym artykule Schillera. W miesiącu Październiku r. 1788 pisał do księcia, że w Gazecie literackiéj znajduje się recenzya jego Egmonta „która moralną stronę sztuki dosyć dobrze rozpatrzyła, ale co się tyczy strony poetycznéj, to recenzent możeby też coś i dla innych zechciał pozostawić.“ Stylizacya tego zdania dość wyraźnie pokazuje, co Goethe pragnął wypowiedzieć. Gdybyśmy dopełnili to, co należało między wierszami czytać, powiada Grimm, list do księcia brzmiałby jak następuje.

„Mianowany przez W. Ks. Mość radcą wejmarskim a o trzy domy odemnie mieszkający pisarz polityczny, którego nazwiska wymieniać nie potrzebuję, wyraził swą wdzięczność względem W. Ks. Mości przez to, że Egmonta mojego skrytykował. Co się tyczy panującéj dziś w Niemczech mądrości politycznéj, może on ma i racyą; ale co do poezyi, to na niéj najkompletniéj się nie zna.“ Że takie było istotnie ówczesne zdanie Goethego, świadczy wymownie późniejsze jego zeznanie, iż wróciwszy do Weimaru przeraził się entuzyazmem jaki obudzali „Zbójcy“ i postanowił albo zupełnie zaniechać zetknięcia się z ich autorem, albo też ograniczyć je do jak najszczuplejszych rozmiarów.

Schiller przybył ze wsi do Weimaru późną jesienią i był przekonany, że jego recenzya doznała przychylnego przyjęcia u autora Egmonta; spodziéwał się zatém, że teraz stosunek z Goethem powinien był przybrać formę stanowczą. Pisał też ciągle do Koernera o tém, że ma zamiar rozmówić się z Goethem, wyglądał jego odwiedzin, czy téż sam chciał mu złożyć wizytę. Atoli nie nastąpiło ani jedno, ani drugie; a tymczasem Goethe postarał się o delikatne wydalenie Schillera z Weimaru. Schiller starał się o posadę profesora w uniwersytecie jenajskim, opróżnioną po Eichhornie, którego do Getyngi powołano; otóż Goethe zalecił właśnie autora Zbójców, który chociaż czuł, że się go pozbywano, musiał przecięż być wdzięcznym jego ekscelencyi panu ministrowi.

Mając mu złożyć dziękczynną wizytę, spodziéwał się jeszcze, że spotka się z poetą jako poeta, tém bardziéj, że nad ich zbliżeniem pracował baron von Dalberg. A tymczasem znalazł tylko w Goethem wyższego urzędnika i swego zwierzchnika, który skierowywał zawsze rozmowę na istotny przedmiot wizyty i o niczém więcéj nie chciał mówić, jak tylko o profesurze jenajskiéj. Schiller nie chciał jéj przyjąć, wskazując wielkie braki swego wykształcenia; Goethe pociesza go maksymą: *docendo discitur* i zapewnia, że posada profesorska wyjdzie Schillerowi na dobre..... 15 Grudnia przysyła mu reskrypt, zawiadamiający Schillera, żeby się do objęcia profesury przygotował. Zdaje się, że Schiller raz jeszcze odwiedził ministra, który miał się „nader łaskawym“ okazać; odwiedziny atoli były już ostatnie. Chociaż Don Carlos zwrócił na nowo oczy Niemiec na przyszłego profesora, Goethe nic nie chciał wiedzieć o téj sztuce tak samo jak i o innych.

Jedna okoliczność pogorszyła jeszcze te stosunki. Przyjechał do Weimaru Moritz, którego rozprawa o metryczności języka nie-

mieckiego wielce, jak wiemy, przyczyniła się do ostatecznego ukształtowania Ifigenii. Zamieszkał on u Goethego i poznał się z Schillerem. Ten zapewne nie tail przed nim swych uczuć względem chłodnego i odpychającego ministra; Moritz zaś opowiedział to Goethemu. Takie zetknięcie się przez trzecią osobę nie mogło oczywiście zawiązać węzłów przyjaźni; to téż nie było większéj dla Schillera tortury jak życie blisko Goethego, o którym wszyscy mówili, którego musiał w głębi duszy uznać za najwyższą potęgę poetycką, a czuć się z jego towarzystwa wykluczonym, jakby jaki trędowaty. To téż w listach do Koernera wylewał Schiller potoki żółci i jawnie nienawiść swoję dla Goethego wyznawał. „Ten człowiek, ten Goethe, pisał w początkach Marca 1789, stoi mi na drodze i zbyt często mi przypomina, że los srodze się obszedł ze mną. Jakże swobodnie rozwijał się jego geniusz, a jak ciężko ja walczyć muszę aż do téj chwili! Nabyć wszystkiego, com utracił już dziś nie mogę, gdyż po trzydziestce człowiek już przekształcić się nie może, a nie mógłbym się nawet i w najbliższéj przyszłości przekształceniem tém zająć, gdyż jakie 4 lata muszę jeszcze losowi swemu poświęcić. Ale mam jeszcze odwagę i wierzę w szczęśliwą na przyszłość rewolucyą.“

Bolesne to słowa; dają one odczuć całą fatalność położenia Schillera. Musiał na chléb i na opłatę długów pracować i nie mógł braków swego wykształcenia wypełnić; a obok niego przechodził obojętnie i sztywnie potężny geniusz, któryby obcowaniem swojém mógł był wypełnić tę przepaścistą lukę przeszłości. Niepodobna jednak było nic na to poradzić; na wielkanoc 1789 odjechał Schiller do Jeny ze zranioném sercem. Ciężka praca uniwersytecka i szczęśliwe ożenienie się z Karoliną Lengefeld zajmowały go całkowicie; ale nie wyrzuciły ze skarbnicy pamięci przykrych wrażeń, jakie ze stosunku z Goethem odniósł tak, że w rok po pierwszém widzeniu się ostrzegał Koernera, że ulegnie powszechnemu losowi tych co się z bożkiem weimarskim stykają, t. j. najprzód oczarowaniu a potém najokropniejszemu odepchnięciu.

W skutek zachowania się swego względem Schillera, Goethe zerwał ze spółczesną ruchliwą literaturą. W Niemczech natenczas panował duch wyrazistszy niż dawniéj. Poprzednio istniały tylko kliki, teraz zaczęły się tworzyć stronnictwa. Goethe mniemał, że z czynnego przejdzie spokojnie do kontemplacyjnego życia; ale nakładca jego zauważył wkrótce, że ze zbiorowém wydaniem dzieł niegdyś ulubionego autora jakoś nie idzie. Zbiór lirycznych poezyj wydanych wtedy po raz pierwszy doznał bardzo chłodnego przyjęcia. Krytyka trzymała się granic grzecznego uznania, publiczność

podobała w nich sobie również, ale nie okazywała najmniejszego zapału. Goethego nie drażniło to jednak, gdyż był niezmiernie zajęty. Pracował on teraz poetycznie nad tém, ażeby rzeczy zaczęte wykończyć podług nowych swych poglądów; lecz nie rachował bynajmniéj na wielką publiczność, pisał jedynie dla wybranego kółka. I co do urzędowych czynności zaszła także ważna zmiana: na posiedzeniach rady nie pokazywał się wcale; osiadł on w Weimarze jako człowiek prywatny. Publicznie objawiał jedynie zamiłowanie swoje do badań naukowych; dawne dyletanckie lavaterowskie próby przemieniły się u niego w ścisłe anatomiczne i osteologiczne poszukiwania. Botanika i geologia stały się już oddawna najmilszemi jego naukami, nad któremi coraz gruntowniéj się zastanawiał. Dzieje sztuki zajęły obok starań około ogrodu najpoważniejsze miejsce w jego pracach, a filologia i historya literatury w inném teraz przedstawiły mu się świetle, odtąd uznał bezwarunkową ważność grecko-rzymskiéj kultury jako punktu wyjścia dla dalszego rozwoju. Słowem, Goethe zakłada w Weimarze niewidzialny uniwersytet, w którym on sam jest wszystkiém: rektorem, profesorem wszystkich wydziałów, prywatdocentem, słuchaczem i pedelem; wszystko odnosi się tu tylko do niego i wszystkiém on sam się zajmuje.

Potrzeba było tak silnéj natury jak Goethego, ażeby tylu rozmaitym umiejętnym pracom w sposób poważny podołać. Nowo nabyte wiadomości zaczynają się stawać twórczemi już w kształcie badań własnych, już téż w postaci krytyki naukowéj; a stosunek z uniwersytetem jenajskim coraz większéj nabiéra spójności. Goethe został rodzajem kanclerza do spraw duchowych w państwie i otworzył sobie obszerne pole działalności osobistéj, którą wedle upodobania to w tę, to w owę zwraca stronę. A wszystko to odbywa się nieznacznie, jakby się to odbywało niezmiennym trybem zjawisk naturalnych, którym nic dodać, ani nic ująć niepodobna. Goethe czuje, że ma lat czterdzieści; urządza się więc jak można najwygodniéj i idzie na przód fatalistycznie niejako. Miasto Weimar nie jest już jak było dawniéj, niezbędnym gruntem, po za obrębem którego żyćby nie mógł, ale tylko rodzajem stałéj zajezdnéj kwatery, do któréj po dłuższéj lub krótszéj nieobecności zajeżdża, nic niepokojąc nikogo innego prócz ludzi w domu jego zamieszkałych. Odkąd opuścił Frankfurt, Goethe coraz bardziéj zrywał z ogólnikową ludzkością, o któréj dawniéj marzył; co więcéj zajął pozycyą obronną i nie okazywał wielkiéj chęci do komunikowania się z dawnymi przyjaciółmi. Towarzystwo swoje dobiérał bardzo starannie tak, że go otaczał pozór pewnéj nieprzystępności; rzeczywiście téż niejednego, co po staremu chciał go poklepać po ramieniu, nieraz zimną

wodą oblał. Ale i to się skończyło. Po upadku pojęcia „braterstwa dusz,“ o którém marzył podczas „dziesięciolecia“ przyszła koléj na upadek pojęcia „przyjaźni.“ Teraz każdy był mu pożądany, jeśli mógł spodziéwać się po nim pomocy w spełnieniu swych zamiarów. Cała ludzkość przemieniła się dla niego w przedmiot zasługujący w najwyższym stopniu na poznanie; gdzie się można nauczyć czegoś, tam był Goethe. Miejsce namiętnego wstrętu lub sympatyi z czasów dawniejszych zajęła teraz jednostajna naukowa ciekawość, czy to chodziło o drukowane myśli i wiadomości, czy téż o ludzi, którzy ich dostarczyć mogli. Do téj epoki zastosować można słowa Emersona, że Goethe poleciałby za swoim nieprzyjacielem, gdyby sądził, iż coś godnego wiedzy od niego się nauczy. Dlatego téż zwracał się on obecnie do dawnych zaniedbanych przyjaciół, gdyż i oni należeli do jego wielkiego inwentarza, w którym żadna sztuka, mająca jakąś wartość, nie mogła się stać pastwą molów.

Wartość atoli stosunków jego inną staje się teraz niż dawniéj: pozornéj nawet zażyłości przeceniać nie należy. W młodości ludzie, łącząc się z sobą zważają na całość człowieka, na jego charakter. Później idzie im tylko o pewne własności przydatne do spólnego działania na pewien przeciąg czasu, a całość przymiotów wyraźnie się ignoruje. Tak było i z Goethem. Poznaliśmy już jego przyjaźni młodzieńcze, zobaczmy teraz jego stosunki z dojrzałymi. Z Moritzem Goethe żył nibyto bardzo serdecznie. W Rzymie pilnował go podczas jego choroby, w Weimarze przyjął go do swego domu, a przecież chodziło mu tylko o rozjaśnienie niektórych punktów, tyczących się teoryi rytmiczności. Podobnie rzecz się miała z Meyerem, który w tym czasie przystał do Goethego i przez całe dalsze życie przy nim pozostał, mieszkając niekiedy w jego domu; ale ta zażyłość ograniczała się tylko do dziedziny dziejów sztuki, tak dalece, że nigdy nawet nie zwrócił uwagi Meyera na jego styl suchy i zawiły, który łatwo można było uwolnić od masy niepotrzebnych wyrazów. Względem niego i wielu innych zachowywał Goethe stanowisko księcia względem ministrów, z których każdy musi jedynie fachu swojego pilnować. Od tego czasu związki Goethego z ludźmi czy to urzędowéj, czy umiejętnéj, czy towarzyskiéj natury, trzymały się ściśle określonego programu, któremu obie strony wiernemi być miały.

Schiller, o wiele młodszy od Goethego, apelując do całości jego charakteru, nie mógł wiedzieć o téj zmianie; trzeba było, żeby o lat dziesięć dawniéj tego zażądał. Nie mogła też zrozumieć tego pani von Stein, która poprzednio miała klucz do jadalni Goethego; a teraz wraz z innemi musiała się kołatać. Pojęła to wszakże Krysty-

na Vulpius, któréj nigdy nie zachciało się wejść do pokojów, zamkniętych przed nią przez Goethego. Zrozumiał go też wreszcie książę, gdyż w takiém saméni jak on znajdował się położeniu. Był wprawdzie młodszy od Goethego, ale książęta wcześniéj żyć zaczynają. Jako prawdziwi wielcy panowie szli oni obok siebie, a przestrzeń, przedzielająca ich, była im na rękę. Dbają o siebie tyle tylko, ile konieczność wymaga i prowadzą osobne gospodarstwa; ale czują jak są sobie użyteczni. Z obcych stali się powoli związkowymi. Podczas kiedy wszyscy mieszkańcy Weimaru, nie wyłączając Schillera, sarkali na długą nieobecność Goethego, przejadającego we Włoszech talarki a niespełniającego obowiązków, książę chciał mu wspaniałomyślnie urlop przedłużyć. Następnie obmyślił dla niego odpowiednią sferę działalności; na początku r. 1790 oddał mu naczelny nadzór nad zakładami artystycznemi i naukowcmi, na wiosnę tegoż roku wysyła go naprzeciw księżnéj matki, bawiącéj we Włoszech. Wtedy bawiąc w Wenecyi i wspominając Krystynę utworzył „Epigrammata Weneckie.“ Od Maja 1791 został Goethe dyrektorem nowozałożonego teatru dworskiego, dla którego napisał wiele rzeczy dramatycznych: prologi, epilogi, tłómaczenia, własne sztuki itp. Dekoracye, kostiumy, próby, starania o dobrobyt personelu stanowiły również przedmiot jego trosk najzmudniejszych. W Lipcu 1791 zaprowadza Goethe zebrania u księżnéj matki, pod nazwą towarzystwa piątkowego, którego celem było komunikowanie sobie nowin naukowych. W lecie towarzyszy księciu w jego francuskiéj wyprawie; a owocem tego pochodu jest opis „kampanii“ nader żywy i przejrzysty, przyczém poeta opowiada, jakie nowe porobił znajomości i jak się odbyło odświeżenie wspomnień z dawnymi przyjaciołmi. W 1793 jest wraz z księciem przy oblężeniu Moguncyi. Przy końcu tego roku Karol August opuszcza służbę pruską i Weimar staje się znowu środkowym punktem obustronnéj działalności księcia i Goethego. Wszystkie te wypadki nie wpływały na rozwój duchowy poety; oszołomiały go tylko wśród braku jakiegoś wyższego celu dążeń; były one tém, czém dalekie podróże dla znudzonych wielkich panów.

Goethe w latach tych posiadał to, czego chciał i potrzebował. Urządził sobie nowe życie i przyzwyczaił się do niego, miał codzienne jakieś zajęcie, używał poważania, wpływu i sławy i mógł spokojnie dalszych wyczekiwać zdarzeń, jeżeli tylko w ogóle myślał bardzo o przyszłości. Bytowi jego jednak brak wyższego namaszczenia i gubi się on w szczegółach. Z pewnym cynizmem przyznawał sobie poeta, że się postarzał; w rozwoju działalności nastąpił zastój. Egmont i Tasso nie zachwycały wcale, nawet wydrukowany wresz-

cie w r. 1790 początek Fausta, który dawniéj odczytywany przyjaciołom ogromne robił wrażenie, prawie uwagi nie zwrócił na siebie. Elegie rzymskie nie znalazły publiczności, a mnóstwo innych rzeczy, których tu nie wymieniam, niemal przeoczono, a nauka o kolorach już przez sam tytuł „Przyczynki do optyki“ wywołała niezadowolnienie ludzi fachowych. Wszystko to dawało poznać rozproszone prace pisarza, którego ostatecznych celów nikt odgadnąć nie umiał i którego rozwój dalszy nikogo nie interesował. Gdyby przy kanonadzie pod Valmy kula zerwała była Goethego z konia, to najlepsi może nawet przyjaciele osądziliby, jak to się zdarzyło Byronowi, że strata jego godna jest wprawdzie pożałowania, dla swéj jednakże sławy poetyckiéj dosyć zrobił, tak iż wątpić się godzi, czyby coś większego mógł był dokonać.

Tak się jednakże nie stało. Przyszedł nakoniec czas, kiedy Goethe i Schiller mieli się inaczéj niż dotąd zapoznać i w zjednoczonéj działalności potężnych skutków w literaturze niemieckiéj dokonać. Zbliżenie się tych dwu poetów nastąpiło równie organicznie jak ich początkowe nieporozumienie.

II.

Schiller w Jenie.—Przedsiębiorczy księgarz Cotta zamierza wydawać Augsburger Allgemeine Zeitung.—Hory. Zaproszenie Goethego do spółpracownictwa.—Ówczesne osamotnienie Goethego.—Xenie.—Szkoła romantyczna.—Wpływ poetów na siebie.

Schiller siedział w Jenie i pracował nieustannie; a jakkolwiek twórczość poetycka ustąpiła miejsca pracom historycznym i estetycznym, sława jego pisarska rosła z każdym rokiem, gdyż pomysły jego gruntowały się zawsze na tém, co interesowało chwilę ówczesną. W kółkach, w których się kręcił, Goethe uchodził za wygasły wulkan, za gwiazdę spadłą, za grubego radcę z podwójnym podbródkiem, za epikurejczyka... Schiller w listach swoich zaledwie wspomina o tém, co ten epikurejczyk na świat wydawał. Formalnie nie zerwali oni ze sobą nigdy; co więcéj w r. 1790 i 1791 widzimy nawet niejakie między nimi zbliżenie; Goethe podaje pomysł do karty tytułowéj na jedném z dzieł Schillera, odwiedza go w Jenie, spiéra się z nim o filozofią Kanta, wystawia w teatrze weimarskim Don Carlosa... Potém nastąpiła znów przerwa w stosunkach aż do r. 1794, w którym zaszła zmiana stanowcza.

W roku 1793 zapoznał się Schiller z wielce przedsiębiorczym i nader szczęśliwym w wyborze produkcyj literackich księgarzem

Cottą, który nosił się natenczas z myślą wydawania Gazety Powszechnéj Augsburskiéj. Już z téj okoliczności, że tak chłodno patrzący na rzeczy przedsiębiorca jak Cotta chciał ofiarować Schillerowi redaktorstwo téj gazety z płacą 2000 guldenów, wnieść możemy jak wpływowe zajmował wtedy stanowisko autor Zbójców, który na teraz był politykiem przedewszystkiém; gdyż nawet prace jego dziejowe zmierzały do bezpośredniego na publiczność wpływu i nie rościły sobie pretensyi do uznania uczonych z profesyi. Schiller z powodu swéj chorowitości nie przyjął propozycyi Cotty, lecz umówił się z nim natomiast o wydawnictwo miesięcznika, który się miał ukazać w początkach 1795 i zostać następnie sławnym w dziejach literatury niemieckiéj. Tytuł jego *Hory*. Za pośrednictwem wysokich honoraryów miano zaciągnąć do spółpracownictwa najznakomitsze pióra niemieckie: Kant, Jacobi i Goethe byli najpierwszymi pisarzami. Sam Cotta nastawał na to, żeby Goethego koniecznie przywabić; ale i Schiller ze swojéj strony podjął się téj trudnéj misyi i spełnił ją z powodzeniem. Podziwieniem przejmuje nas zręczność, z jaką Schiller po tylu nieudatnych próbach zbliżenia się z Goethem, umiał trafić we właściwą porę i użyć stosownego języka. Przeniknął on niemiłe położenie Goethego może jaśniéj od niego samego i z wielkim talentem potrafił je wyzyskać 13 Czerwca 1794 z głębokiém uszanowaniem, ale w stylu kupieckim zaprosił Goethego do spółpracownictwa w *Horach* w imieniu „towarzystwa, które go nieograniczenie szacuje.“ Tenże sam nieograniczony szacunek wystosowano również do Kanta, a Humboldt nawet do Körnera. Do tego nieograniczenie szacującego towarzystwa należeli, prócz Schillera, Wilhelm Humboldt, Fichte i inni ludzie podobnegoż znaczenia. Goethe nie zwleka nawet urzędowych dwu tygodni i dnia 24 Czerwca odpowiada przyjaźnie, zachęcająco i zgodnie z życzeniem towarzystwa. Uważmy dobrze: Goethe nie odpowiada Schillerowi jako Schillerowi, ale „towarzystwu,“ w imieniu którego tenże występował. Wkrótce atoli zetknęli się poeci osobiście. Goethe jako najwyższa instancya uniwersytetu jenajskiego, nieraz bywał w Jenie. Jeden z profesorów, nazwiskiem Batsch, utworzył tu „towarzystwo przyrodnicze,“ odbywające peryodyczne posiedzenia, na które Goethe przyjeżdżał. Tu spotkał się z Schillerem. Przypadkowo opuszczają zebranie jednocześnie; zawiązuje się rozmowa, która przywabia Goethego aż do mieszkania Schillera i wprowadza na schody. Przy pożegnaniu wyraża Goethe nadzieję, że wkrótce znowu ze sobą rozmawiać będą. I tak tą razą pierwszy Goethe zaszedł do domu swego wielkiego sąsiada... Nazajutrz przysyła mu rękopism do Hor przeznaczony, przyczém dodaje: „Zachowaj Pan przyjazne o mnie wspomnienie i bądź

przekonany, że się niezmiernie cieszę nadzieją częstszéj wymiany myśli z Panem.“ Ażeby zrozumiéć, ile w tych słowach kryło się niezwykłéj naówczas Goethemu serdeczności, potrzeba czytać spółczesne listy, pisane stylem wymiarowym, tudzież przypomniéć sobie jego sztywność i służbistą wyniosłość.

Wkrótce miało miejsce nowe spotkanie się w Jena. Rozmawiano zawzięcie o kwestyach filozoficznych, które dla Schillera były bardzo zajmujące, dla Goethego zaś bardzo uciążliwe. Opowiadał późniéj Goethe w sposób niemal dramatyczny, jak zasadnicze przeciwieństwo Schillera czyniło nadzwyczaj trudném wszelkie z nim porozumienie się. Schiller miał postać wychudłą i spłaszczoną, a głowę trzymał nieco pochyło; palił tytuń i zażywał tabakę (rzecz nieznośna dla Goethego); ruchy jego wreszcie były niespokojne i gwałtowne. Osobista atoli uprzejmość, umiejętność i sztuka życiowa, którą Schiller w wyższym niż Goethe stopniu posiadał, przywiązała ministra do profesora: Goethe dał się porwać zdolności swojéj do zachwytu; znalazł nareszcie kogoś, z kim się rozstać nie mógł, przynajmniéj na czas pewien, jak to było z Jacobim i Lavaterem. Nie przeniknął on podobno do końca życia jednéj jeszcze własności Schillera, który pod płaszczykiem dobroduszności ukrywał niezgłębioną przebiegłość mieszkańca Szwabii. Los nauczył go obchodzenia się z ludźmi: znał on wszystkie pociągnięcia w szachowéj grze życia, jak tego wielokrotne dał dowody. Jednym z nich jest list stanowczo utrwalający stosunki między Schillerem i Goethem. W liście tym z dnia 23 Sierpnia 1794, napisanym szeroko i wyczerpująco językiem niepokalanie bezbarwnym, dowodził Goethemu, że z pomiędzy wszystkich możliwych jeden tylko jest człowiek zdolny go zrozumiéć i dać publiczne świadectwo, że go zrozumiał, a tym człowiekiem jest on—Schiller. Wystawia mu cały jego rozwój duchowy; powiada, czego chciał, czego dokonał, co mu zawdzięczyć należy, a czego nikt ocenić lepiéj nie potrafi od Schillera. Raz jeszcze oświadcza się Goethemu, raz jeszcze stawia niezmienny program, raz jeszcze staje przed nim jako potęga, tylko że już nie na zasadzie bezwzględnéj równości, ale na podstawie wyraźnie wypowiedzianéj podległości co do stopnia. Tą razą Goethe przyjmuje oświadczyny i to w sposób dający nam poznać całą jego wielkość. List jego nosi datę 27 Sierpnia 1794 r. „Na urodziny moje,“ pisze w nim, „przypadające w tym tygodniu, żaden podarunek nie byłby dla mnie przyjemniejszy od listu Pańskiego, w którym ręką przyjaciela podsumowałeś Pan rezultat życia mojego i spółczuciem swojém zachęciłeś do pilniejszego i żywotniejszego użycia sił moich. Wzajemność jedynie przynieść może czyste użycie i korzyść prawdziwą; to też

z przyjemnością tu zaznaczam, że od czasu rozmowy z Panem i ja *również* nową epokę rachuję; jestem zadowolniony, żem szedł swoją drogą bez szczególnéj zachęty, gdyż teraz, po niespodzianém spotkaniu się, razem już iść ze sobą będziemy musieli. Zawsze umiałem cenić tę uczciwą a tak rzadką powagę, która się pokazuje we wszystkiém, co Pan napisałeś i zrobiłeś; mogę więc rościć sobie pewne prawo do tego, żebyś mię sam oświecił o pochodzie ducha swego w ostatnich zwłaszcza latach.“

Z tego widzimy, że ludzie ci nie padają sobie w objęcia, nie mówią sobie *ty*, nie patrzą razem na gwiazdy przez okna otwarte, owszem zachowują wszelkie formy, jakie odpowiadają ich doświadczeniu życiowemu; ale wypowiadają sobie najwznioślejsze rzeczy, jakie człowiek człowiekowi powiedziéć może. Choć Schiller nie wspomniał ani słowa o przyjaźni, Goethe pierwszy się z nią oświadcza, gdyż mu nieznośnie ciążyło wspomnienie, że na tak znakomitym człowieku nie poznał się zrazu. Ze wstydem przypomina sobie dawniejsze postępowanie swoje i tonem serdecznym do Schillera przemawia. Schiller mógłby był teraz postawić twarde warunki, lecz nie uczynił tego, bo poznał, że źle osądził Goethego. To téż na list jego taką daje odpowiedź: „Nasza *późna*, ale obudzająca we mnie nie jednę piękną nadzieję znajomość staje mi za dowód, że częstokroć daleko lepiéj oddać się losowi, niż go uprzedzać zbyteczną zabiegliwością. Jakkolwiek żywém było pragnienie moje zawiązania z Panem stosunku ściślejszego niż ten jaki zachodzi między pisarzem a jego najuważniejszym czytelnikiem; to wszakże pojmuję teraz doskonale, że tak odmienne drogi, jakiemi Pan i ja chodziliśmy, nie mogły nas zetknąć wcześniéj niż właśnie teraz. Mogę atoli mieć nadzieję, że *resztę drogi* przebieżemy wspólnie a to z tém większym pożytkiem, że ostatni spółtowarzysze w długiéj podróży, zawsze najwięcéj mają sobie do powiedzenia.“

Niepodobna było ani lepiéj, ani piękniéj wypowiedziéć tego, co Schiller chciał napisać. Schiller był świadomym siebie mistrzem prozy niemieckiéj... Jak delikatnym jest wyrzut wyrażony w przymiotniku: „*późna* znajomość!“ jak piękne następujące po nim zupełne usprawiedliwienie! Jak tęsknie brzmi w ustach młodego człowieka ta „reszta drogi“ i zaraz potém całkowite zaufanie w bezwzględnym sojuszu! Po wymianie listów Schiller pojechał do Weimaru, przepędził w domu Goethego dwa tygodnie, stał się jego powolnym słuchaczem i mówił z uniesieniem o swoim u niego pobycie. Odtąd związek dwu poetów stał się nierozerwalnym, pomimo niejednokrotnych zabiegów poróżnienia ich przez wspólnych nieprzyjaciół.

Ażeby go wyczerpująco zrozumiéć, pamiętać należy o wpływie

cichym ale nieustannym jednego jeszcze pierwiastku, który w usposobieniu żony Schillera miał źródła. Lotta Schiller była to kobiéta cicha, pokorna, pełna poświęcenia, ukształcona i samodzielna w tych wszystkich sprawach, które samego wnętrza człowieka dotyczą. Była ona bezwarunkową wielbicielką Goethego od samego dzieciństwa, jako narzeczona broniła jego serca w obec Schillera; gdy poszła za niego, chociaż milczała, ażeby męża nie drażnić, nie przestała jednak marzyć o ich zjednoczeniu. Jakkolwiek należała do serdecznych przyjaciółek pani von Stein, która nie ukrywała przed nią swojéj goryczy względem Goethego, zawsze jednak miała dla poety toż samo co i dawniéj uwielbienie. Ona téż bezwątpienia całego swego wpływu użyła, ażeby przy zdarzonéj okoliczności namówić Schillera do zawiązania stosunków z Goethem; ona téż wchodzi jako trzecia do związku dwu poetów; Goethe w jéj domu żyje jakby we własnym, a Schiller kunsztownie z początku odgrywaną rolę podrzędności zamienia na naturalne poddanie się potędze silniejszego duchem spółzawodnika.

Przedstawicielem tego związku w każdym razie jest Schiller. Chorowitość jego odbywała się zawsze prywatnie, na zewnątrz zaś mógł sprostać wszelkim wysileniom. Osiada w Weimarze, zostaje szlachcicem, bywa u dworu, używa powozów i koni, słowem prowadzi gospodarstwo niczém dawnéj biédy nieprzypominające. Goethe natomiast staje obok niego jako spokojny towarzysz, jako człowiek prywatny, starający się całą sławę zjednoczonéj pracy skupić około Schillera. Dla Schillera połączenie się z Goethem stanowiło początek nowéj epoki, w któréj powstał cały szereg utworów, podejmowanych spólnie ze związkowym; dla Goethego spólnictwo to było epizodem tylko, a te *nowe* prace, które na ten czas przypadają, szczupłą odgrywają rolę w rozwoju jego ducha; Goethe zawdzięczał Schillerowi zbudzenie interesu do natychmiastowego, okolicznościowego oddziaływania na publiczność; jak za czasów frankfurckich, tak i teraz pracował z dnia na dzień; ale gdy Schiller umarł, wspaniały potok toczył po dawnemu swe fale powoli i spokojnie.

Połączony kapitał obu poetów był potęgą, w obec któréj wszyscy korzyć się musieli; na zewnątrz mógł on zgubić wszelką konkurencyą; co oni dawali publiczności, musiało się jéj niezmiernie podobać i rzeczywiście się podobało; na wewnątrz tak dalece sobie wystarczali, że Herder został z ich towarzystwa wykluczony. Przyjaźń Schillera z Goethem jest datą rozłączenia się Goethego z Herderem, który wszedł teraz w epokę rozgoryczenia, ażeby z niéj nigdy już nie wyjść. Herdera stawiał los wszędzie na fałszywém miejscu, a ponieważ sponiewierany przezeń wiedział o swojém nieszczęściu,

pogorszało to jeszcze jego usposobienie. Herder przypomina Leonarda da Vinci, który obok Michała Anioła i Rafaela wydaje się olbrzymem, co strąciwszy potężną swą ręką parę skał ogromnych, przedstawiających dla innéj ręki ciężar niepokonany, w końcu jak Samson bezużytecznie się zużywał we młynie życia powszedniego. Herder posiadający olbrzymią siłę ducha nigdy jéj nie mógł w całéj pełni wykazać i dlatego mścił się na szczęśliwszych od niego przyjaciołach w sposób prawdziwie demoniczny. On to scharakteryzował geniusz Goethego słowami; „bezuczuciowe dokładne malowanie rzeczy widzialnych,“ gdzie każdy wyraz jest cięciem sięgającém do kości. Goethe spokojnie się naówczas odwrócił od Herdera, ale Schiller dobitnie wstręt swój do niego wyraził. Być nawet może, że gdyby nie Schiller, to Goethe nie byłby tak nieubłaganym dla swego najdawniejszego druha i nauczyciela.

Schiller na związku z Goethem zyskał pod wszelkiemi względami. Pod względem materyalnym Cotta, mając zapewnione współdziałanie dwu najpierwszych geniuszów niemieckich, opanował cały handel księgarski w Niemczech południowych i podniósł ogromnie stopę honoraryów, co przedewszystkiém Schillerowi wyszło na dobre. Nie potrzebował się teraz autor Zbójców troszczyć o humor dyrektorów teatralnych, gdyż teatr wejmarski pod dyrekcyą Goethego stał na jego usługi. W domu Goethego odbywały się pierwsze „entuzyazmujące“ próby sztuk schillerowskich, a obaj poeci obliczali i oceniali wspólnie każdy efekt sceniczny. Schiller natomiast przerabiał na scenę utwory Goethego: Ifigenią i Egmonta. Nie potrzebował téż obecnie obcéj krytyki, gdyż Goethe został powiernikiem jego pomysłów i stopniowego ich urzeczywistniania. Goethe dopomógł mu do przeróbki Wallensteina, wystawił tę sztukę na scenie i podyktował narodowi (w Gazecie Powszechnéj Cotty), co ma o niéj rozumieć. Goethe zaopatrywał go tak wyłącznie i tak obficie w nowe idee, że cudze uwagi stały mu się już niepotrzebne; Körner i Humboldt drodzy byli jego sercu jak i dawniéj; ale bez ich krytyki mógł się teraz obejść zupełnie.

Goethe znowu znalazł w Schillerze przyjaciela, który go zachęcał i pobudzał nieustannie do pracy poetycznéj i krytycznéj, a bezwarunkowém uznaniem swojém dawną mu sławę przywrócił tak, że lata chłodu literackiego względem autora Goetza i Werthera jakby nie istniały nigdy. Schiller połączył w sobie gorliwość pilnego uczucia z krytyką dojrzałego męża, czującego swoje uprawnienie, ale rozumiejącego wybornie, co w duszy druha jego zachodziło. Schiller i Goethe stworzyli opinią publiczną co do rzeczy literackich, oni rozdawali pochwały i nagany, których waloru nikt w Niemczech

nie mógł nie uznawać, a ci, co się z pod ich wpływu uwolnić usiłowali, pozostawała jedynie bezsilna wściekłość, jak to było z braćmi Schleglami a mianowicie z Fryderykiem, który musiał opuścić Niemcy północne i z Wiednia dopiéro wypuszczać lawę jadu na Goethego.

Dziesięć lat przepędzonych z Schillerem były dla Goethego bądź co bądź czasem walki. Rok jeszcze nie upłynął od ich połączenia, a Schiller wciągnął go do sprawy, któréj on sam ani przewidywał, ani by się jéj podejmował na własną rękę. Mówimy tu o sławnéj walce za pośrednictwem dwuwierszy, zwanych *Xenia*, toczonéj przeciw całéj spółczesnéj rzeszy literackiéj w celu wyjaśnienia niejasnych pojęć i stosunków, tudzież w celu postawienia firmy: Schiller i Goethe jako absolutnie niezależnéj potęgi przeciwko wszystkim innym firmom.

Zrazu chodziło pozornie o pewną liczbę dowcipnych, niewinnie złośliwych epigramatów na to i na owo, na niemieckie sprawy i niemieckie osobistości. W ciągu pracy przyszło poetom na myśl, że wyczerpnięcie przedmiotu do pewnego przynajmniéj stopnia sprawiłoby niezły skutek. Tym sposobem zdarzyło się, że nie oszczędzono nikogo a najbliższych nienajłaskawiéj traktowano, ażeby się nikt pokrzywdzonym nie uczuł. Z początku ponieważ nie było żadnego do owych wierszy uprzedzenia, zaczepieni sami nie wiedzieli, czy się śmiać czy gniewać; powoli jednak mocniéj zadraśnięci zaczęli udawać, że o niczém nie wiedzą; stąd w następstwie wytworzyła się burza gniewu moralnego, z któréj niebawem posypały się pioruny, mające zmiażdżyć przeciwników. W rezultacie obaj poeci nietylko posłyszeli naganę i uczuli napad—tego może też pragnęli—ale nadto zmuszeni byli do zajęcia pozycyi obronnéj. Schiller do tego stopnia był poruszony, że zamyślał o pomocy policyjnéj przeciw osobistym obelgom, których przedmiotem stał się on i Goethe....

Goethe był zdania, że należało przeczekać burzę. Schiller przeciwnie za jedyny środek ratunku uważał utworzenie stronnictwa. Myśl ta dała początek szkole poetyckiéj, zwanéj *romantyczną*, która była z początku związkiem utalentowanéj młodzieży, mającéj centrum swe w Jena. Ponieważ jéj potrzebowano, musiano jéj pobłażać; dowodził nią nieznacznie Schiller, Goethe zaś jako najwyższa instancya stał w głębi.

Szkoła romantyczna, rozglądając się w przykrém położeniu poetów, postanowiła wystąpić do walki w ich imieniu: oświadczyła, że Goethe i Schiller są to wielcy poeci bez żadnego współzawodnictwa, że wszyscy inni nie zasługiwali na uwagę i że tylko oni jedni — ro-

mantycy—są spadkobiercami lub kuzynami prawdziwej poezyi. Odtąd powodzenie Goethego co do zewnętrznéj strony przewyższało wszystkie poprzednie tryumfy; utwory Schillera pociągały za sobą i jego dzieła; Goethe stał się pierwszym poetą narodu niemieckiego, ideałem publiczności literackiéj, Goethe nie miał nic przeciwko temu, ale jak tylko Schiller umarł, starał się zwolna zerwać wszystkie węzły łączące go z towarzystwem romantycznem.

Schiller i Goethe były to dwie linie, nachylające się ku sobie, które jednakże nigdy przeciąć się nie mogły z powodu nieskończenie wprawdzie małych, ale bądź co bądź istniejących między nimi przestrzeni. W głębi duszy Goethe myślał absolutnie inaczej niż Schiller, on uznawał w towarzyszu jedynie jego osobistość, jego dążność, jego ludzką wielkość, ale to co Schiller za poezyą uważał, dla Goethego nie było wcale poezyą. Twórczość poetycka Schillera była czémś zupełnie obcém dla Goethego. Schiller wyszukiwał treść do swoich utworów i dopóty ją modelował, dopóki mu wygodną się nie wydała, następnie z całą zimną krwią robił dyspozycyą, potém jak robotnik, jak mularz budujący gmach podług pewnego planu pracował nad dziełem, potém czyścił, przyozdabiał i meblował swoję budowę, a wreszcie odsłaniał ją w całym połysku nowości przed publiką. Ta strona mechaniczna stanowiła siłę Schillera; był on poetą z profesyi i uznawał obok siebie innych poetów z profesyi. Goethe rozumiał to, ale nie dla siebie. Kwestye techniczne, ważne dla osądzenia utworów poetycznych i zrozumienia ich genezy, traktował on z największą powagą, lecz tylko jako widz przypatrujący się gmachowi z zewnątrz. Samo tworzenie poetyczne było dla niego procesem niepojętym. Jeśli się kto zwrócił do Goethego z pytaniem, czy ma zostać poetą, niewieleby się dowiedział. Poeta mógłby mu tylko odpowiedzieć, że prawdziwy jedwabnik niech je liście, a jedwabiu nie zbraknie. Zresztą odpowiedzi jego wymijające, odstręczające, wątpliwe. Schiller przeciwnie śmiało się bierze do dzieła: nadesłane sobie wiersze krytykuje, a jeżeli mu się podobają, zachęca do dalszej pracy, udzielając rad i wskazówek ogólnych.

Przeciwieństwo to dwóch poetów było jednak spójnią, silnie ich łączącą. Goethe studyując utwory sztuki i poezyą grecką zauważył, że bez dołożenia pracy rzemieślniczéj nie może przyjść do skutku żaden skończony poemat; a ponieważ czuł w sobie brak tego rzemieślniczego pierwiastku, wiele porobił spostrzeżeń nad świadomą twórczością poetycką. Dla niego spostrzeżenia nie miały żadnej wartości, gdyż tworzył po dawnemu, ale dla Schillera wyszły one na dobre. Sztuki Schillera powstawały niekiedy tak prawie, że były wykonaniem tego, co Goethe zaprojektował. Ta praca spólna wielką

była dla obudwu pociechą. Schiller rozwija obszerną regularnie twórczą działalność jako poeta dramatyczny, rachując na *jedno* lato jednę sztukę; Goethe zaczyna również podług pewnego planu wydawać mnóstwo nagromadzonego materyału wierszem i prozą, nie tyle dbając o objawienie siebie w nowych dziełach, ile o utrzymanie bezpośredniego z publicznością związku. Obaj dostarczali niezmierzonéj treści, Cotta nieskończonego papiéru i nieskończonych honoraryów, a publiczność okazywała nieskończoną gotowość do pochłaniania tego, co im podawano...

Schiller, zjeżdżając do Wejmaru, chory już był na piersi. Dziesięć lat tu przepędzonych przeszło w najwyższém wytężeniu pracy; pisał gorączkowo, zanim jedno dzieło zupełnie wykończył, śpieszył do drugiego a nadto nosił się z planami wielu innych. Od 1795 do 1805 utworzył trzy sztuki objęte jedném mianem: Wallenstein, po nim puścił w świat Maryą Stuart, Dziewicę Orleańską, Narzeczoną Messyńską, Wilhelma Thella, rozpoczął Dymitra Samozwańca; obok tego pisał mnóstwo mniejszych, ale wcale nie krótkich poezyj, opracowań i rozpraw, oprócz tego utrzymywał obszerną niezmiernie korespondencyą z przyjaciołmi, w końcu listował ze spółpracownikami i wydawcą, redagował Hory, Almanachy Muz i inne literackie wydawnictwa. Schiller zużytkowywał każdą chwilę, odbywał ustawiczną walkę między chęcią do pracy a osłabieniem nadmierném. Przyszła nareszcie chwila, w której sił do walki zabrakło; skończył jak Byron, jak Rafael, jak Mozart; gdyby żył powolniéj, to mimo choroby, możeby z niej wyszedł, ale jak tamci, tak i on wydawał kapitał życia zbyt szybko i zbyt obficie, aby na chwilę ostatnią mógł choć grosz zaoszczędzić.

Kiedy Schiller umiérał, Goethe chorował. Na wieść o śmierci jego uczuł się strasznie osamotnionym i musiał sobie powiedzieć, że osamotnienie to wiecznie trwać będzie. Była dla niego chwila okropnéj boleści, ale tylko chwila; przekonany, że natura „dokonywa tylko rzeczy koniecznych“ wiedział, że już nie znajdzie takiego jak Schiller przyjaciela, i poddał się losowi, a następnie spokojnie a nawet chłodno swój z nim stosunek określił. We dwadzieścia lat po jego śmierci, tak go osądził: „Schiller, który posiadał prawdziwie poetyckie usposobienie, ale którego duch skłaniał się zawsze do rozwagi i niejedno, co u poety bezwiednie i dobrowolnie powstawać winno, wymuszał na sobie potęgą namysłu, pociągnął za sobą wielu młodych ludzi, co jedynie języka jego wyuczyć się potrafili.“ W tych słowach potępił Goethe retorykę Schillera. A potém kiedy ostatni jego sekretarz Eckermann zażądał jego rady co do swojéj poetyckiéj karyery, Goethe wyjątkowo udzielił mu następnéj: „Skupiaj

Pan swoje siły. Gdybym znał tę maksymę przed laty trzydziestu, dokonałbym wcale innych rzeczy. Ileż to czasu zmarnowałem wraz z Schillerem przy Horach i Almanachach Muz! W tych dniach właśnie, przeglądając nasze listy, uprzytomniałem sobie z całą świeżością owe czasy i nie mogłem pomyśléć bez przykrości o owych przedsiewzięciach, w których świat nas nadużywał, a które dla nas samych zupełnie bezskuteczne były.“ W obec Eckermanna, nie przekraczającego pewnej granicy pojętności—jak powiada Grimm—Goethe wyraził się ogólnikowo o „świecie“ nadużywającym jego i Schillera, ale ponieważ oni właściwie narzucali się światu a nie świat im, prawdopodobnie myślał o Schillerze jedynie. Goethe chciał powiedziéć: gdybym szedł spokojnie własną swoją drogą odpowiednią siłom natury mojéj, to byłbym zaszedł daléj niż idąc wraz z Schillerem, na wielkie wyprawy literackie. Goethe, powróciwszy po śmierci Schillera do dawnego spokoju, patrzył na to swoje nowe „dziesięciolecie“ jak podróżny, powracający z dalekich części świata z niezmiernym wprawdzie łupem doświadczenia, ale i ze znużeniem wielkiém, do domu, w którym spokojnie i bez trudu mógłby był to samo zrobić doświadczenie, chociaż *w zupełnie nowy sposób.* Wspomnienia o trudach swoich możeby nie odstąpił za żadną cenę, ale nie mógł się oprzéć myśli, że przy mniejszém natężeniu sił możeby większych i pożyteczniejszych rzeczy dokonał. W każdym jednak razie spółdziałanie swoje z Schillerem uważał Goethe, za największy zewnętrzny wypadek swego życia, Schillera, za najznakomitszą osobistość z jaką się spotkał, a stratę jego za najboleśniejszy cios, jaki kiedykolwiek odebrał; sądził tylko, że takie spółdziałanie długo trwać nie mogło, bo było zbyt gorączkowe, gdy on wolał rozwój powolny.

III.

Powstanie „Lat nauki Wilhelma Meistra.“ — Treść ich i idea zasadnicza. — Postać naczelna.—Filina.—Mignona.—Pierwiastek tajemniczy w romansie, jego wyjaśnienie.

Na czas spólnéj z Schillerem działalności przypada, jak wiemy wielka liczba utworów Goethego, z których jednakże do bliższego rozpatrzenia dwa tylko wybiéramy, gdyż w nich styl poety z dwu całkiem niemal odmiennych stron się przedstawia. „Lata nauki Wilhelma Meistra“ tudzież „Hermann i Dorotha“ są to arcydzieła, ale arcydzieła niepodobne do siebie.

Pierwszy pomysł „Wilhelma Meistra“ przyszedł Goethemu jeszcze za pierwszych lat pobytu w Weimarze; wykonanie nawet, inne

niż je mamy obecnie, postąpiło dosyć daleko, bo doszło do szóstej księgi. Bawiąc we Włoszech nie spuszczał Goethe uwagi ze swojego utworu, ale druk pierwszej części rozpoczął się w r. 1794, a wśród narad z Schillerem upłynęło dużo czasu, tak że „Lata nauki“ dopiéro pod koniec 1796 wyszły na widok publiczny. Utwór ten — mówi Hettner — to Odysseja wykształcenia, historya błąkania się pośród raf różnorodnych ze szczęśliwym atoli do domu powrotem. W pierwszém wystąpieniu swojém Wilhelm zdradza pokrewieństwo z Wertherem, nie jest on wprawdzie tak czułostkowy i tak kapryśnie fantastyczny jak Werther; w każdym atoli razie żyje tylko w krainie marzycielskich i niejasnych ideałów, nie mając w swéj duszy żadnego hamulca do powstrzymania i ograniczenia tytanicznych swych zachceń. Myślą przewodnią utworu jest właśnie doprowadzenie Wilhelma do poznania i urzeczywistnienia w życiu równowagi duchowéj, dającej pokój i zadowolnienie. Słusznėm téż jest zdanie Schillera, że „Lata nauki“ są dziejami ukształcenia człowieka, który ze sfery pustego i nieokreślonego ideału przechodzi do czynnego i określonego życia, nie tracąc atoli potęgi idealizowania. Przypatrzmy się sposobom, jakich użył poeta, chcąc bohatéra swego w ten sposób wykształcić.

Chłopcem będąc Wilhelm Meister najpiękniejsze swe godziny przepędzał w świecie własnej fantazyi, obudzonéj przedstawieniem jasełkowém, a w miarę przybywania lat idealistyczne a raczej fantastyczne jego usposobienie coraz większéj nabywało mocy. Napomnienia nic nie pomogły: młodzieńcowi ciasno było wśród zajęć kupieckich, do których go ojciec przeznaczał, wybiegał więc fantazyą i uczuciem do stref poetycznych i teatralnych, zakochał się w artystce Maryannie i sądził, że przyszła dla niego chwila wybawienia. Upojenie jednak trwa niedługo, rozczarowywuje go aktor Melina, wystawiając mu w jaskrawych barwach całą nędzę wędrownego życia artystów, rozczarowywuje go niewierna kochanka, wskazując przykładem swoim, jak to życie oswobadzające się od wszelkich więzów moralności światowej mściwą Nemezę w samém sobie zamyka. Ażeby wykazać z całą możliwą dosadnością niedorzeczność fantastyki i wyrywania się z objęć rzeczywistości przeprowadza poeta bohatéra swego przez różnorodne szeregi przedstawicieli tego kierunku, maluje uroczo życie teatralne, zapoznaje go z przecudnemi postaciami Filiny i Mignony; potém przenosi go na dwór arystokratyczny i stawia go na scenie... Wilhelm własném doświadczeniem musi się przekonać, że artysta sceniczny z trudnością stać się może artystą życiowym, że idealne napozór formy życia na wielkim świecie są po większej części idealnością etykiety tylko i prawdy w so-

bie nie zawiérają. Wilhelm uznaje w końcu, że napróżnoby chciał uniknąć ograniczeń, które życie stawia, że szczęście i godność ludzka nie polegają na zaprzeczeniu, ale na opanowaniu nieodpartéj rzeczywistości.

Kiedy bohatér przyszedł już do tego przekonania, Goethe, chcąc wyczerpnąć treść idei podjętéj przez się, podaje „wyznania pięknej duszy,“ które z historyą Wilhelma bezpośredniego nie mają związku.

W wyznaniach tych Goethe, spożytkowując wspomnienia swoje o pannie von Klettenberg, przedstawił obraz kobiéty, która podobnie jak Wilhelm, żyjąc w świecie nadmiernie rozbudzonéj wyobraźni, zagrzebała się w saméj sobie, oddała się religijnemu marzycielstwu i religijnéj fantastyce...

W ostatnich dwu księgach wstępujemy na grunt zupełnie inny. W zamku Lotharia znajdujemy kółko rodzinne, w których się jednoczą wszystkie kierunki, jakie dotychczas pojedyńczo tylko występowały. Członkami téj rodziny są potomkowie „pięknéj duszy,“ wychowali się oni i wyrośli pod sercowym jéj wpływem. Wuj posiada wielkie zbiory sztuki, a jego otoczenie nosi na sobie cechę żywego zainteresowania się artyzmem, do czego przyłącza się nadto świadoma siebie swoboda życiowa, wyższym stanom właściwa. Te idealne dążności nie ograniczają się jednak na kontemplacyjnym spokoju, wszystkie owszem osobistości, do kółka owego należące, zarówno mężczyzni jak i kobiéty biorą udział w walce życia. Należą one do świata arystokratycznego, gdyż w czasach, w których Goethe pisał swój romans, ten tylko świat mógł stworzyć wyższą sztukę życia i używać jej swobodnie. Inaczéj tu jednakże aniżeli na zamku hrabiego, który Goethe w trzeciéj księdze przedstawił. Ludzie ci ukształcili się w życiu bardzo ruchliwém, nie zadawalniają się więc pustym ceremoniałem, ale gorliwie się zajmują praktyczną działalnością, walczą i szukają, naturalnie w formie panujących naówczas tajemnych towarzystw, najwyższych potęg życia i ukształcenia. Wilhelm widzi tu własnemi oczyma to, czego tak długo szukał napróżno. Coraz wyraźniéj i coraz zupełniéj zrywa ze swém nieukróconém czułostkowém usposobieniem; uznaje znaczenie, konieczność życia czynnego i energicznie na sprawy świata wpływającego. W szczęśliwą godzinę przynoszą mu dziecię jego, pamiątkę miłości Maryanny, staranie o przyszłość tego chłopięcia zmusza go do skupienia sił i do zajęcia się życiem praktycznem, którém dawniéj tak niemiłosiernie pogardzał.

Atoli czyż czas, poświęcony na wykształcenie Wilhelma, zmarnował się zupełnie? Goethe zestawia swego bohatéra z ograniczo-

nym kupcem, który po za obręb sklepu nie wyjrzał i pokazuje na oko ogromną pomiędzy nimi różnicę. Ów hrabia z trzeciej księgi, co to na zewnętrzność jedynie uważał, bierze Wilhelma za prawdziwego lorda.

W tém nowém położeniu Wilhelm sądzi, że uzupełnienie swoje znajdzie w miłéj, wesołéj, ale zamkniętéj na kluczyk gospodarski duszy Teresy; była to omyłka jak i dawniejsze, gdyż zanadto miał już w sobie idealizmu, zanadto harmonii i poezyi. Natalia, czynna praktycznie i idealna zarazem przez swą naiwnie szlachetną kobiécość, stała się tém, co Wilhelm zdobywać sobie musiał mozolnie walką długoletnią. Taką jest przynajmniéj z istoty swojéj, choć poeta zaniedbał nadać jéj stanowczą plastykę. W niéj znajduje wreszcie Wilhelm zadowolenie wewnętrzne i harmonijne uspokojenie. Natalja kocha go również i uznaje w nim równego sobie, widząc w nim zarazem zharmonizowanie pragnień swoich. Na tém kończą się „lata nauki" Wilhelma. Wilhelm gonił za sztuką aktorską, a zdobył sobie sztukę życiową, szukał idelności pięknych pozorów a znalazł idealność pięknéj rzeczywistości.

Ideą tego wspaniałego romansu nie jest ubeatyfikowanie wyłączności arystokratycznéj lub bezczynnego używania, jak niektórzy utrzymywali, lecz owszem stanowcze wystąpienie przeciw romantyczności, poważne odstręczanie od wszelkiéj bezcelowości i marzycielstwa, zaprzągnięcie tytanicznych porywów do wozu uorganizowanego społeczeństwa, wychowanie do pracy i czynności nie w znaczeniu niedołężnego umysłowo filistra, ale w znaczeniu duchem uszlachetnionego trudu, w znaczeniu greckiéj *Kalokagatyi*.

Hermann Grimm inaczéj trochę pojmuje zasadniczą ideę utworu i dlatego nie pochwala jego zakończenia, uskutecznionego za poradą Schillera. Według niego, zadaniem „Lat nauki" było przedstawienie życia, jakiém ono jest; właściwego zakończenia być nie mogło. Utwór powinien się był urwać na jakimkolwiek punkcie, jak to w pamiętnikach miewa miejsce... Goethe, powiada Grimm, wprawia nas w stan ironicznego przewidywania o skutku każdéj nowéj awantury Wilhelma, wiemy zawsze, że wyjdzie bez żadnego prawdziwego zadowolnienia, ale z całą skórą przynajmniéj. Życie ludzkie przedstawia się tu jako nieustająca kolej uczt, na których nie ma albo apetytu, albo gości, tudzież jako nieustająca kolej chwil najlepszego apetytu, w których potrzeba się zadowolnić skórką chlebową. Niedługo po ukazaniu się Wilhelma Meistra dwu młodych pisarzy wydało jego krytykę w formie romansu, p. n. „Pokusy i przeszkody Karola," w którym przedstawiają idyotycznego obywatela, prześladowanego wiecznie przez los i wielce

komicznego. Prawdziwość atoli treści „Lat nauki“ na tém właśnie polega, że Wilhelm nigdy śmiesznym nam się nie wydaje. W ten sam sposób w Gil Blasie z Santillany przeprowadził Le Sage bohatéra po przez niezliczone, po większej części bezskuteczne awantury, nie czyniąc go przecięż śmiesznym tam nawet, gdzie gra rolę nienajpocześniejszą, gdyż każdy z czytelników musi sobie powiedziéć: i to lepiéjby się nie udało.

Zastanawiającą jest rzeczą, że w „Latach nauki“ nie ma najsłabszego nawet śladu jakiegoś wpływu życia publicznego, wpływu państwa i społeczeństwa. Bohatér rozwija się w epoce, która się sama filozoficzną nazywała, a jednakże ani razu nie czuje potrzeby zainteresowania się filozofią, tłómaczy się to usposobieniem Goethego, lubiącém zapuszczać się w abstrakcye spekulacyjne. Pominięcie zaś żywiołu państwowego w romansie, wykończonym podczas najgwałtowniejszych burz rewolucyjnych, objaśnić sobie należy tém, że Niemcy w. XVIII posiadały wysoce wykształconą duszę, ale bardzo nędzne ciało, że wewnętrzny ich rozwój nie odpowiadał wcale zewnętrznemu, że obywatel niemiecki płacił wprawdzie cło, podatki, bo tak było oddawien dawna, ale nie rozmyślał wcale nad ustrojem państwa.

Jak w łańcuchu gór na rozmaitych jego wysokościach może się rozwijać roślinność stref różnych, tak w Wilhelmie Meistrze odnajdujemy próby stylu ze wszystkich epok Goethego. Z początku opowiada poeta najżywszą frankfurcką jeszcze dykcyą, przemienia się potém w prozę „dziesięciolecia“ a kończy się szematycznie nakreślonym, jakby dla pozbycia się jedynie dodanym finałem, który co do języka i kompozycyi nie przedstawia ani linij, ani barw, lecz tylko zarys szkicowy. Rozpoczyna się romans jak ściśle zbita nowella szybko ku rozwiązaniu zmierzająca, tkany jest następnie z coraz rzadszego materyału, upuszcza coraz więcéj nici a nowe natomiast przybiera, poprzestaje wreszcie na zagadkowo niemal pośpiesznem sprawozdaniu.

Z postaci „Wilhelma Meistra“ zasługuje przedewszystkiém na uwagę sam bohatér, a potém Filina i Mignona.

Wilhelm nie jest to istota energiczna, dzielna, twórcza, ale bierna, lubiąca rozmyślać, łatwo poddająca się wpływom. Rzeczy dziejące się około niego i w nim są to właśnie potęgi czynne, on sam przyjmuje tylko wrażenia i pozwala im działać na siebie. Zdolność atoli do rozwinięcia w sobie wszystkich sił całkowitéj natury ludzkiéj czyli, jak się wyraża Goethe, „przeczuwania świata całego“ (Vorempfindung der ganzen Welt) pracuje w nim nieustannie i zmusza go przeczucie to zamieniać na jasne poznanie i urzeczy-

wistnienie w życiu. Ztąd to pochodzi szerokość i swoboda poglądów, powolne zdobywanie coraz pełniejszego i wszechstronniejszego obrazu wszechświata, połączone w jednéj osobistości. Skłonność Wilhelma do refleksyi, powiada Schiller, wśród najszybszego nawet pochodu akcyi zmusza ciągle czytelnika do patrzenia naprzód i po za siebie i do rozmyślania nad wszystkiemi zdarzeniami. Gromadzi on w sobie niejako ducha znaczenie, treść wewnętrzną wszystkich otaczających rzeczy; przemienia niejasne uczucie na przejrzyste pojęcie, a rozwijając tym sposobem własny swój charakter, rozwija zarazem najdoskonaléj założenie całości. W nim przemieszkuje czysty obraz ludzkości, z którym porównywa każde zjawisko zewnętrzne, a jak z jednéj strony doświadczenie prostuje i określa jego chwiejne poglądy tak z drugiéj ów obraz idealny, owo poczucie wewnętrzne staje się dopełnieniem doświadczenia. Wilhelm jest w części znacznéj Goethem.

Co do Filiny i Mignony nie wiemy wcale, z jakich wzorów rzeczywistych są wzięte. Filina jest to realistycznie przedstawiona niespokojna, ruchliwa kokietka, któréj nikt oprzéć się nie może. Zimna z natury, kocha tylko pozornie, na moralność nie zwraca wcale uwagi, ale do żadnéj namiętności zdolną nie jest, to téż choć w najswobodniejszym zostaje do Wilhelma stosunku, chociaż daje mu tysiące sposobności posunięcia się zadaleko, pozostawia go zawsze chłodnym. Za radą Schillera zepsuł Goethe charakter ten jedną niewłaściwą sceną, w któréj każe Filinie skradać się nocą do bohatéra romansu, jest to rys dodatkowy, który pozostaje w niezgodzie z poprzednią charakterystyką Filiny.

Mignonę, to dziecię zrodzone na południu, przez los sponiewierane, marzące i namiętne, odrysował poeta tak czule i tak porywająco, że jéj zapomniéć niepodobna. Dziecię siłą demoniczną do swego obrońcy przywiązane, czuje nagle Mignona, że dzieckiem być przestała. Jako dziecię jeszcze przemyka się nocą do bohatéra, chce się jak pies u nóg swego pana położyć, wdziéra się niepoznana do jego serca, a kiedy się oddaje nagle obudzonéj namiętności, równocześnie istota jej unicestwieniu podpada; odtąd trawi się w sobie a śmierć, opisana z porywającą prawdą, przychodzi wkrótce przenieść ją w kraj cieni. Kiedy Maryanna, będąca bohatérką pierwotnego nowellistycznego zarysu, usunęła się na stronę, Mignona stała się osobistością, dla któréj powstał cały poemat. Jestto utwór prawdziwéj poezyi romantycznéj: zamknięta w sobie duchowość znająca prawie samę tylko elementarną mowę gestów i śpiewu przy dźwięku muzyki; tęsknota niewysłowiona, boleść bezgraniczna, dziwaczność i zagadkowość: — oto jéj cechy najogólniejsze. Gdy jednakże po-

znamy jéj przeszłość, gdy się w jéj usposobienie naturalne wpatrzymy, to dziwaczność i zagadkowość znika a zjawia się natomiast psychiczna konieczność.

Podobnie rzecz się ma z jednym jeszcze pierwiastkiem utworu, na który warto zwrócić uwagę. „Lata nauki“ upływają na gruncie bezpośredniéj teraźniejszości i rzeczywistości, a mimo to zawiérają w sobie efekta pełne grozy dreszczem przejmującéj, efekta oparte na cudowności i nadzwyczajności sięgającej po za krańce pospolitego bytu ludzkiego. Takie przeniknięcie dwu sprzecznych ze sobą żywiołów, jakkolwiek w dziejach poezyi nierzadkie, nie sprawia jednak niemiłego rozdwojenia w utworze Goethego, gdyż poeta z prawdziwém mistrzowstwem umiał zachować się w granicach możliwości. Zrobił to najprzód za pośrednictwem Mignony i harfiarza, postaci tajemniczych a jednak zupełnie ludzkich, a powtóre przez wprowadzenie do poematu tajemnego stowarzyszenia wychowawczego, które kieruje postępkami Wilhelma. Jeżeli przypomnimy sobie jak sławnemi były w wieku XVIII związki wolnomularzy i illuminatów, których działaniu nadzwyczajne przypisywano skutki, to w wyprowadzeniu na scenę stowarzyszenia wychowawczego, którego tajemniczość pobudza i pociąga wyobraźnią, nie tylko nic niestosownego, nie ujrzymy, lecz owszem przyznamy, że prawda i żywość malowidła wieku zyskały przez to na sile i zupełności.

Jedną ze stron wielce ganionych „Lat nauki“ jest to, że Goethe nazywał w nich i przedstawiał rzeczy bez najmniejszego ubarwienia i bez żadnych muślinowych zasłonek. Już Schiller zauważył, że tego przedrwiéwania ludzi nie darują czytelnicy poecie, gdyż wiedząc, że tak się istotnie dzieje na świecie, nie chcą, żeby to wypowiedziano jasno i bez ogródek. Schiller trafne miał zdanie o czytelnikach, bo jeżeli kiedy wspominają o niemoralności w pismach Goethego, to powołują się przedewszystkiém na Wilhelma Meistra.

IV.

„Herman i Dorota.“—Zwrot Goethego do stylu Starożytnych.—Na czém styl ten polegał,—Goethe w „Hermanie i Dorocie“ zdobył sobie styl.—Strona zewnętrzna, utwór.—Heksametr niemiecki i jego twórcy.—Strona wewnętrzna.—Antykwaryuszostwo estetyczne.

Mówiąc o „Hermanie i Dorocie,“ niepodobna zamilczéć o usiłowaniach Goethego wyrobienia sobie stylu.

Ale co to jest styl? Każdy mówi o nim nieraz bardzo obszernie, lecz nie każdy może potrafiłby powiedziéć na czém się on zasadza.

Zróbmy porównanie, a ono wyjaśni nam niektóre ważne punkta. Wiadomo, jak wielkiéj wagi są wiadomości o rozwoju dziecka od najpierwszych chwil jego życia; zamiast dziecka postawmy dzieło sztuki. W wielu i bardzo wielu utworach Goethego możemy śledzić ich rozwój od pierwszéj błyskawicy pomysłu; możemy obserwować pierwsze ich nieznaczne poruszenia, widzimy ich wzrost, przypatrujemy się jak z wykształconemi już członkami na świat przychodzą: już są, już żyją. Rozważanie tego stawania się, tego rozwoju z istotki, którą można nazwać niczém, aż do ukształtowania się osobistości wydaje się rzeczą najważniejszą zarówno co do dziecka jak i co do dzieła sztuki. Skoro jedno i drugie żyje pod działaniem promieni słonecznych, tajemnica znika na pozór. Tymczasem pod względem duchowym to początek dopiéro. Dla przyszłości dziecka rozstrzygającą nie jest ta chwila, w któréj jako oddzielna istota bytować zaczyna, ale ta epoka, w któréj kończy się jego wychowanie, w któréj dziecko, odosabniając się już i duchowo także od rodziców swoich, rozpoczyna życie na własną rękę: epoka słowem, kiedy chłopiec staje się mężem.

Otóż tę siłę odrębnego duchowego istnienia, sprawiającą że jak w obec dorosłego męża nie myśli się o jego rodzicach, tak w obec skończonego dzieła sztuki nie myśli się o sztukmistrzu, jedni tylko Grecy potrafili nadać postaciom swoim, a po nich ci tylko, co tę tajemnicę u Greków podpatrzyli. Patrząc na postacie Dantego, Szekspira i Leonarda da Vinci, patrząc na pierwociny prac Rafaela i Michała Anioła, prawie zawsze nasuwa się nieodbicie pytanie, kto był ich ojcem. W postaciach tych widzimy przedewszystkiém samego Dantego, samego Szekspira, samego Leonarda itd. są one ich dziećmi, to prawda, ale dziećmi niepełnoletniemi, tak że ojciec musi koniecznie stać obok nich, ażeby im pomocy w ich życiu artystycznėm udzielić; bez tego ojca trudnoby było nieraz dzieci jego zrozumiéć. Przeciwnie postaci Homera, Eschilosa i Sofoklesa żyją życiem odrębném, zamkniętém w sobie; ojcowie znikają; pozostają tylko dzieci.

Powtóre artyści greccy obok przyrodzonéj, realnéj stworzyli idealną artystyczną ludzkość, któréj ciało nigdy się nie zgadzało całkowicie z ciałem naturalném, ale posiadało własną swą postać, niby lud ze śpiżu lub marmuru. Ciało wynalezione przez kunstmistrzów greckich jest prostsze od naturalnego, odnajdują się w niém najszlachetniejsze jedynie powierzchnie i linie, zostające z sobą w takiéj artystycznéj harmonii, jaka w naturze nie ukazała się nigdy. Lekarz lub przyrodnik widzi w ciele ludzkiém połączenie materyj i ruchów, pełne najniespodziewańszych nowości; im ściśléj, im dokładniéj je roz-

waża, tém więcéj subtelnych wykrywa różnic; artysta grecki natomiast pragnie to jedynie przedstawić, co bystremu oku jego narodu wydawało się najpożądańszą formą zewnętrzną. Tworzy on postaci swoje takiemi, jakiemi widziećby się chcieli wszyscy mężczyzni i wszystkie kobiéty. Ponieważ zaś całe pokolenia artystów studyowały w tym celu zarówno smak publiczności jak i środki zadowolenia go, udało się im nakoniec najwyższy wzór piękności tak plastycznie przedstawić, jak gdyby go sama przyroda wydała. Artysta grecki wzrastał w kole tradycyi, która mu odbiérała swobodę, ów lud marmurowy rozpładzał się w nowych pokoleniach niejako sam przez się. Zeus Fidyasza, jeżeli tylko sam Fidyasz mógł go stworzyć, był dla Greków obrazem boga w tém znaczeniu, że Zeus bytował w marmurze istotnie, a Fidyasz z polecenia ludu jedynie dopóty dłutem bryłę owę obrabiał, dopóki konieczna nie powstała forma.

Ten lud złożony z posągów nie był niemy, on mówił, a jego mowa jest mową poezyi greckiéj; z tych ust marmurowych spływa wiersz greckich poetów!

Ta tylko postać poetycka mówi w rzeczy saméj, któréj słowa poruszają się najprostszym spadkiem głosowym o tyle nad przypadkowy akcent ludzkiego gawędzenia wyższym, o ile wyższém było ciało marmurowe od żywego. Mowa poetycka nadaje słowom jasną, ściśle oznaczoną wartość, użycza im jednak zarazem tego szczególnego dźwięku, co to przypomina najwznioślejsze myśli, do jakich ród ludzki jest zdolny. Pozornie krępuje ona język, zmusza go do zachowania pewnych prawideł i wyłącza niektóre wyrazy, nieposiadające owego idealnego akcentu, ale nadaje jéj urok nieprzeparty, czyni ją objektywną, wolną od wszelkiéj przypadkowości, od cienia subjektywności. Tylko Grecy potrafili językowi swemu nadać ów dźwięk i spadek, ujmując go w pewien całokształt, w pewien system; inne narody zdołały go użyczyć zaledwie pojedyńczym dźwiękom mowy poetyckiéj.

Goethe, bawiąc we Włoszech, starał się podpatrzéć styl grecki, starał się go przyjąć i zamienić na swoję własność. Dlatego to przerabiał Ifigenię Tassa i Egmonta, wypleniając z nich wszelkie podmiotowe chwasty, wszelkie wspomnienia osobiste. Długo jednakże pracować musiał, zanim doszedł do doskonałości. Kiedy odnowił znajomość swą z Schillerem, zajmował się właśnie nadaniem „Elegiom rzymskim“ egzystencyi odrębnéj. W tym celu podaje je najsurowszemu wychowaniu; puszcza je na obce ręce, ażeby nic w nich nie zostało takiego, coby o osobistym z nim związku świad-

czyło i ażeby w umyśle czytelników nie zjawiał się autor obok kreacyi. Pomimo jednak natężonych usiłowań nawet w „Elegiach“ pozostało jeszcze trochę pierwiastku subjektywnego. Dopiéro następne poemata, jako to: „Narzeczona z Koryntu,“ „Bóg i Bajadera,“ „Nowy Pauzyasz,“ a przedewszystkiém „Aleksys i Dora“ nabrały cech zupełnéj przedmiotowości i połączyły w sobie rzeźbę grecką, rysunek Rafaelowski i barwę Tycyanowską. Poeta wié doskonale, jakie efekta mieć pragnie, jakich środków do ich osiągnięcia potrzebuje i jak w końcu nadać można dziełu takie wykończenie, że ślady „roboty“ znikną do ostatniego.

Najświetniejszym pomnikiem tego kierunku poetycznego a zarazem najpiękniejszym i najprawdziwszym poematem Goethego jest „Herman i Dorota.“ W nim dosięgnął szczytu owéj objektywności artystycznéj, nadającéj dziełu istnienie odrębne, od autora niezależne. W formie tego poematu, powiada Grimm, zdaje się, że odkrył poeta pierwotny rytm mowy niemieckiéj; w jego treści uwidocznił i blaskiem otoczył to, co jest źródłem niemieckiéj siły i świetności, tj. zdrowe, w pewną miarę ujęte życie rodzinne. Jeżeli Elegie Rzymskie powstały z opisu szczęścia, jakiego doznaje długo osamotniony człowiek z posiadania ukochanéj, to w „Hermanie i Dorocie“ otrzymujemy treść pożycia domowego, które się z owych początków rozwinęło, treść ujętą w formę najpiękniejszą, jaką tylko wyobrazić sobie można.

Pomówmy najprzód o téj formie.

Klopstock jest twórcą nowożytnéj prozodyi niemieckiéj. Próby, jakich przed nim dokonywano, pozostały próbami tylko. Klopstock pierwszy wyśpiewał prawdziwe niemieckie ody, zbudował prawdziwe niemieckie heksametry, ćwicząc język niemiecki w klubach miary starożytnéj i naśladowaniu składni starożytnéj. Klopstock atoli tworząc nowe formy wyrazowe zrobił z niemieckiego język klopstockowski. Po nim Ewald von Kleist, Rammler i inni uprawiali daléj z większą jednak ostrożnością heksametr niemiecki. Voss wreszcie odkrył prawdziwą mowę epicką w Niemczech przekładami poematów Homera. Epos wymaga mowy prostéj, rozciągliwéj bez trudu, nagradzającéj rozwlekłość konstrukcyi harmonią wyrazów. Narzecze jońskie, w którém spisane są poemata homerowskie, było mową swobodnego i rozkosznego gawędziarstwa o zajmujących przygodach. Homer stał się pokarmem dla każdego, zarówno smak najgrubszy jak i najdelikatniejszy mógł się nim zachwycać. Melodyjny pochód jego mowy pogrążał jednego w śnie na kwiatach a drugiego pobudzał do obserwacyi nad subtelnością odcieni. Rzeczowniki idą tu powoli w towarzystwie pięknie brzmiących, powtarzają-

cych się, prawie beztreściowych przymiotników, lecz te przymiotniki właśnie, te sławne epitety, dokładniéj rozpatrzone, wydają się przecięż niezbędnemi, tak jak ogony strojów książęcych, fałdując się bezużytecznie wprawdzie, ale wspaniale rozweselają oko. Ta przewaga dźwięcznego materyału językowego, który zdaje się w miękkich tonach rozpływać, nadaje opowiadaniu trwałą zmysłową podstawę, przenosimy się niby na szeroką kwiatami porosłą łąkę. Wszędzie ukazują się te samy kwiaty, z któremi raz po raz się spotykamy, wszędzie taż sama trawa, która w końcu nogom przeszkadza, ale z drugiéj strony wszędzie oddycha się tąż samą świeżością, wszędzie czuje się możność łatwego, elastycznego pochodu, wraz z pożądanym odpoczynkiem, podróż zamienia się na przechadzkę a nawet jednorodność kwiatów przedstawia się nam pod postacią niedojrzanych niemal różnic.

Otóż Voss, obeznany z językiem niższych Niemiec, najbardziéj do narzecza jońskiego zbliżonym co do łagodności spadku i rozciągliwości wyrazów, chociaż pisał mową wyższo-niemiecką, umiał nadać swoim heksametrom spokój, niezbędny dla téj miary wierszowéj. Przełożywszy Homera, stworzył oryginalne epos: „Ludwikę," (Luise), które stało się bezpośrednim wzorem dla „Hermanna i Doroty," tak dalece bezpośrednim, że Goethe chętnie do naśladownictwa się przyznawał i że tłum jego przeciwników wmawiał weń, że on chciał z nim spółzawodniczyć!... Przedwieczny Gleim, który siedząc w Halberstadzie nie potrafił już nic więcéj robić jak w obronie napadniętych, zdaniem jego, przyjaciół (co go skrycie za starego a próżnego głupca uważali) popadać w bezsilną wściekłość, pisał z powodu Hermana i Doroty do Vosa, że *przeglądał* Goethowskie „sześcionogi," gdyż czytać ich niepodobna, i że poemat ten jest grzechem przeciwko jego świętemu Vossowi!... „Nie dam ja się przekonać," powiada, „to bezbożna satyra: szubrawiec ten (der Bube) chce ośmieszyć Luizę Vossa! Robespiérre nie popełnił większego szubrawstwa! Tutaj (tj. w Halberstadzie) wszystkie poczciwe podzielają moje zdanie!" Było bez wątpienia wiele przesady ze strony poczciwego kanonika, w ogólności jednak mówiono sobie, że Goethe robił sobie heksametry takie, jakie przed dwudziestu laty były w modzie. Dziś nawet, kiedy poemat Goethego znalazł bezwarunkowe uwielbienie, nie chcą przecięż uznać heksametru bezwarunkowo. Zdaniem Grimma, Goethe, idąc drogą przetorowaną przez poprzedników, umiał się ustrzedz ich słabości i ekscentryczności, umiał zgodnie z duchem mowy niemieckiéj nadać heksametrowi życie i ludowi go uprzystępnić.

A teraz co do treści poematu.

Luiza Vossa była w swoim rodzaju utworem znakomitym. W niéj najłatwiéj poznajemy wpływ wzorów klasycznych, jest ona zaokrągloném i skończoném malowidłem, które można rozumiéć i podziwiać bez żadnych komentarzy; ma więc własności prawdziwego klasycznego utworu sztuki, jest istotnie skończona i doskonała. Goethe chętnie odczytywał głośno ten poemat i zachwycał się jego pięknością. Voss unieśmiertelnił w nim powaby Szlezwig Holsztynu; z zadziwiającą wiernością podpatrzył koloryt przyrody a od Homera się wyuczył zamieniać krajobrazy na wyrazy. Atoli w obec poematu Goethego niknie kreacya Vossa. Któż oprócz Goethego potrafiłby tak umieścić spokojne sceny na tle okropnego zniszczenia rewolucyi, która wtedy posadami świata wstrząsała?

Treść główną miał Goethe w głowie na długo przedtém, zanim wybuchła rewolucya francuska, wahał się tylko pod względem formy, w jakiéj miał ją przedstawić. Zarówno forma jak i czas opowiadania, bez których poemat nie da się obecnie pomyśléć nawet, przyszły poecie, jak widzimy, w chwili ostatniéj. One być może przyśpieszyły wyjście poematu. Goethe ukończył swój utwór w roku 1796 z największym pośpiechem. Potém dopiéro rozpoczęła się mozolna krytyka, która oddaliła termin uznania poematu za pełnoletni.

Goethe w późnym już wieku wyznał Eckermanowi, że z pomiędzy większych poematów „Hermann i Dorota“ jest jedyném dziełem, które przy odczytywaniu radość mu jeszcze sprawia. Postać Doroty stoi tak silnie na gruncie ojczystym, powiada Grimm, jak żadna inna z całego szeregu poematów niemieckich. Jednę tylko ma ona siostrę, należącą właśnie do małéj liczby tych kreacyj poetycznych, których Goethe prawdopodobnie nie znał. Siostrą tą jest Gudrun, bohatérka poematu pod tymże nazwiskiem, poematu uchodzącego słusznie obok Nibelungów za Odyseję niemiecką. I w niéj również, podobnie jak w Dorocie, spotykamy połączenie głębokiego uczucia z pewném pomiarkowaniem i ostrożnością, wytrwałe trzymanie się drogi obowiązku i filozoficzny niemal spokój zarówno w szczęściu jak i nieszczęściu. Takie pojęcie osobistości niewieściéj tém większe w poemacie sprawia wrażenie, że starcia się moralne wynikają w nim z przeciwstawienia charakteru niemieckiego względem wypadków, których skutki wnoszą do Niemiec najbliżsi ich sąsiedzi—Francuzi. Tym sposobem Dorota otrzymuje szczególne posłannictwo: staje ona w obronie najwyższych myśli, jakie były motorem owego czasu, ale nie jest tego świadomą. Występuje ona jako przedstawicielka owego zdrowego sposobu myślenia, który nie polega na ślepém do tradycyi przywiązaniu, ale na czynném pod-

trzymywaniu tego, co jest dobre, a spokój wśród działalności uważa za nagrodę życia. Jak pewną nogą stąpa Dorota! Coś mieszczańsko-bohatérskiego widzieć można w jéj ruchach i postępowaniu. Porównane z nią inne postaci Goethego mają w sobie coś nieujętego, niezupełnie skonsolidowanego, jakby ostatnie zagięcia ich stroju nie wyszły jeszcze z pierwotnéj mgławicy; gdybyśmy nie posiadali Doroty jako ich przeciwieństwa, nie spostrzeglibyśmy tego nawet. A przecięż postać ta, więcéj niż inne, wytrysnęła wyłącznie z fantazyi Goethego, tak że jéj rzeczywistego podkładu zupełnie nie znamy; wszelkie zresztą porównywanie osób rzeczywistych z postaciami w Hermanie i Dorocie występującemi (np. matki w jéj stosunku do Hermana jako idealnego obrazu matki Goethego) na nic się w tym poemacie nie przyda, gdyż postaci te stoją o własnéj sile, tak, że żaden komentarz nie jest w stanie zwiększyć lub rozjaśnić ich znaczenia.

Inne postaci poematu, jakkolwiek z natury rzeczy niższe od bohatérki, są przecięż narysowane po mistrzowsku, z tym spokojem i tą przedmiotowością, jakie są cechą wielkich epickich utworów. I ten zamożny, dobroduszny i kapryśny ojciec Hermanna i ta skrzętna gospodyni (jego matka), łagodny i wyrozumiały pastor, małomiasteczkowy przebiegły aptekarz, nawet sam Herman, nieśmiały i trochę sztywny, a przecięż miły i dzielny młodzieniec, wszyscy zjawiają się przed nami od samego początku jako dobrze znajomi, z którymi się nieraz w życiu spotkaliśmy. Ta wszakże naturalność postaci nie jest pozbawioną tchnienia idealizującego. Wszystkie drobnostki życia, wszystkie skazy charakterów o tyle się tu jedynie ukazują, o ile służą do postawienia osobistości na stałym realnym gruncie; ale istota i jądro owych charakterów, ale pobudki i sprężyny ich czucia i działania przedstawiają się zawsze jako przecudna prostota, do elementarnych niemal i pierwotnych przyprowadzona stosunków.

Równie mistrzowskim jest obraz życia wewnętrznego. Przedziwna delikatność i głębokość w ukształtowaniu motywu zasadniczego, w malowidle powstającéj, rosnącéj i do harmonii dochodzącéj miłości obojga kochanków; objawienie niezmierzonéj siły uczucia, przekraczającego granice uczuciowości, zakreślone przez wzory starożytne: oto cechy, które odnajdujemy w każdym niemal wierszu poematu. Równocześnie jednak miłość w tych sercach naiwnie krzepkich nic ma w sobie nic z owoczesnéj czułostkowéj przesady, ale jest zawsze zdrowa, czysto-ludzka. A nacisk wypadków zewnętrznych, odgrywających w poemacie tę samę rolę, co bogowie w epopejach greckich, zmusza do szybkiéj decyzyi, do sta-

nowczéj walki z przeciwnościami i oporem. Przeciwieństwo życia rodzinnego, ugruntowanego na niewzruszonych podstawach, do rozstrojonych stosunków nad brzegami Renu, spowodowanych przez burze rewolucyjne, przyczyniając się organicznie do zawiązania i rozwiązania akcyi, podnosi zarazem znaczenie sielanki do dziejowego eposu. Goethe, pisząc swój utwór, nie przeczuwał, że owe burze rewolucyjne w dziesięć lat potém całe Niemcy spustoszą i wystawił w nim pomnik z owych czasów, które upłynęły między początkami rewolucyi francuskiéj a wojnami napoleońskiemi, a upłynęły dla Niemiec stosunkowo spokojnie wśród silnego rozwoju duchowego, wśród oczekiwań i przeczuć.

Jeżeli więc pod względem stylu poemat Goethego wygląda tak jakby był przez Homera po niemiecku napisany, to przecięż nie przedstawia on jakichś figur antycznych lub ogólnikowo-ludzkich, ale, trzymając się wiernie czasu i miejsca, maluje osobistości, uczucia i zwyczaje niemieckie wśród danéj chwili dziejowéj. A ponieważ poeta postaci swoje brał ze świata, którego stosunki proste są i niemal pierwotne; zastosowanie więc do nich stylu homerycznego, którym podobne wyraziły się stosunki, było nietylko rzeczą dozwoloną, ale konieczną nawet; rezultat pokazał, że poeta dobrze trafił, bo utwór jego znalazł takie powodzenie, jakiego Goethe od czasów Werthera i Goetza nie zaznał wcale.

Zaznaczyć jednakże potrzeba, że Goethe nie umiał się utrzymać na tych wyżynach, na jakie się wyniósł wraz z „Hermanem i Dorotą.“ Fatalne konsekwencye bezwarunkowego zwrotu do starożytnych zemściły się przedewszystkiém na jego własnéj twórczości. Zatapiając się coraz bardziéj w rozważaniu i podziwianiu arcydzieł greckich, Goethe doszedł do przekonania, że sztuka powinna tworzyć świat zupełnie odrębny od świata rzeczywistego, a stosując teoryą w praktyce, chciał przywrócić mitologii starożytnéj potężne jéj poetyczne znaczenie, przyczém z powodu zmiany pojęć, jaka w ciągu tylu wieków zaszła, musiał postaciom mitologicznym nadawać głębsze, symboliczne znaczenie, jakiego one w starożytności wcale nie miały. Goethe mniemał, że mity można tworzyć i przetwarzać, jak się komu podoba, i w skutek tego fałszywego pojęcia genezy mitów utworzył zimny i suchy świat alegoryj, do którego ani Grecy ani nowożytni sympatyi mieć nie mogą. Jego „Achilleïs“ choć znajduje żarliwych obrońców (np. Grimma) jest utworem bezbarwnym i chłodnym, a późniejsze jego sztuki, jak: „Paleofron i Neoterpe,“ „Helena,“ „Pandora“ a nawet „Córka naturalna“ są to zbiory maryonetek bez krwi i ciała, będące, jak Koerner powiedział, partactwem idealistyczném.

Idąc dalej w tym kierunku, Goethe stał się wielbicielem teatru francuskiego, sam przerabiał i zachęcał Schillera do przeróbki sztuk Woltera, Racine'a i innych, a w zarządzie teatrem kładł nacisk przedewszystkiém na deklamacyą i idealne pozy, kazał odgrywać Terencyusza i Planta, a w przedstawieniu niektórych utworów wprowadził nawet maski i koturn, jak na scenie starożytnéj.... Szekspir oczywiście, ów Szekspir ubóstwiany w Strasburgu i późniéj jeszcze, bo w Wilhelmie Meistrze, poszedł w zupełną poniewierkę. Jego sztuki, zazwyczaj szkaradnie obcięte i pozmieniane, rzadko kiedy przedstawiano w Weimarze, ponieważ Goethe utrzymywał teraz, że Szekspir jest wprawdzie jednym z największych poetów, ale z gruntu *nieteatralnym*! Ale i co do téj wielkości, Goethe poczytywał ją w tych czasach za względną tylko. Sądząc Szekspira, powiadał, podług czasu i miejsca, musimy go równie jak Calderona, nienagannym nazwać, ale w porównaniu ze starożytnemi utwory Szekspira muszą się za „barbarzyńskie" uważać, a wytłómaczyć się dają przez to jedynie, że w stuleciu jego ogrom z niesmakiem zawarł przymierze.... Dopiéro pod koniec życia powrócił Goethe do uwielbienia albiońskiego wieszcza.

Piotr Chmielowski.

POWÓDŹ.

POWIEŚĆ

FRYDERYKA SPIELHAGENA.

W SKRÓCENIU OPOWIEDZIANA

przez

WINCENTĘ LIMANOWSKĄ.

(Ciąg dalszy).

KSIĘGA CZWARTA.

W kilka dni później baronowa Walerya Warnow przybyła do Berlina. Za radą Giraldi'ego, natychmiast posłała do jenerała króciuchny bilecik, zawiadamiając go o swojém przybyciu i znużeniem po podróży tłómacząc się, że nie może osobiście powitać krewnych.

Oddawna już nie odbiérając własnoręcznych od brata listów, przekonaną była, że i tą razą otrzyma w jego imieniu grzeczną, ale krótką i suchą odpowiedź Sydonii, z życzeniem zdrowia i pomyślnéj podróży do Warnowa. Jakże się zdziwiła, gdy jéj oddano list Elsy, gdzie zamiast ceremonialnego stylu siostry, znalazła ciepłe, serdeczne słowa młodéj siostrzenicy, któréj osobiście nie znała wcale.

Elsa, pobożnego dopuszczając się kłamstwa, zawiadamiała ciotkę, że ojciec jéj zmuszony udać się na posiedzenie do ministeryum, zasyła siostrze listowne, serdeczne pozdrowienie tylko; ona sama zaś pośpieszy na powitanie przybyłéj, którą oddawna gorąco poznać pragnie.

Walerya ucałowała list Elsy,—jakże wdzięczną jéj była za te kilka życzliwych słów. Serce jéj, stęsknione do uczuć rodzinnych, rwało się ku młodéj dziewczynie; przeczuwała w niéj szczerą, odważną istotę, a tak potrzebowała téj szczerości i téj odwagi.

Jenerał kochał niegdyś bardzo siostrę; występną jéj miłość dla Giraldi'ego potępiał wprawdzie, ją samę jednak chciał uratować, zmuszając do zerwania haniebnego tego stosunku. Za konieczny przeto warunek zgody kładł stanowcze zerwanie z Włochem. Walerya oparła się temu i dumnie zamknęła się w swéj miłości, wszelkie więc ściślejsze stosunki między rodzeństwem ustały zupełnie, i krótkie tylko listy wzajemnie pisywano do siebie.

Tak upływały lata. Baronowa wciąż bawiła we Włoszech i na pozór żadna zmiana nie zaszła w jéj usposobieniu. Inaczéj wszakże było w istocie. Gorące uczucie, które miała dla wybranego przez siebie człowieka, zmieniało powoli charakter swój, aż wreszcie miłość przeszła już nie w obojętność, ale we wstręt i nienawiść prawie. W życiu tych dwojga ludzi były tajemnicze, ciemne chwile, które w duszy młodéj kobiéty budziły nieznane jéj dotąd uczucie bojaźni przed człowiekiem, wielbionym niegdyś; bojaźń przerodziła się nawet w przesądny prawie strach przed jego siłą i przewrotnością charakteru, przed zdolnością do intryg i wszechpotężną władzą nad nią samą. Z uczuciami temi musiała się starannie ukrywać; znała przenikliwość Włocha, wiedziała dobrze, że ten na żaden sposób nie puści ofiary ze szpon swoich, a czuła się ofiarą w ręku jego ofiarą najprzód namiętności, może wzajemnéj; była przecież kiedyś piękną i młodą i mogła być kochaną, a potém bezmiernéj chciwości—miała miliony, które wraz z jéj osobą tylko mogły przejść w jego posiadanie. Na straży tych milionów stały zastrzeżenia, poczynione w testamencie Warnowa; dzięki im Giraldi nie był mężem Waleryi. Podstawą ich związku miała być miłość, którą Włoch usiłował wciąż podtrzymywać i podsycać wspomnieniami przeszłości, w istocie zaś przykuwał baronowę do siebie tylko siłą nawyknienia i owém uczuciem postrachu, który mimowolnie w niéj wzbudził, a którego istnienia zaczął się już nareszcie sam domyślać. Kiedy w sercu nieszczęśliwéj kobiéty wygasł cudowny płomień uczucia, co jéj zastępowało dotąd związki krwi, rozkosze życia rodzinnego, poważanie świata, jedném słowem wszystkich i wszystko,—gwałtowną wówczas uczuła tęsknotę do brata, którego zawsze gorąco kochała, do jego dzieci, których nie znała prawie, do kraju nareszcie, w którym pierwszą wesołą młodość spędziła.

Kilka słów Elsy słodką wzbudziły w niéj nadzieję pojednania. Jéj to pośrednictwu przypisywała łagodniejsze usposobienia brata,

które upatrywała w krótkim liście siostrzenicy. Giraldi jednak prędko rozwiał tę nadzieję, utrzymując, nie bez zasady, że Elsa z własnego tylko popędu pisała te słowa, i że jenerał nie wiedział wcale o tém.

Przenikliwy Włoch już nietylko domyślał się, ale wyraźnie teraz widział pragnienie baronowéj, wrzał na samę myśl, że ofiara jego wymykała mu się, a przynajmniéj pragnęła się wymknąć. Postanowił przeto użyć ostatniéj, potężnéj sprężyny, co miała wiecznym łańcuchem spoić jéj losy z jego losami. Plan cały osnuł już był poprzednio, teraz niespodziana okoliczność przyszła mu w pomoc. Zaraz po przybyciu do Berlina, na wystawie sztuk poznał się przypadkowo z Antonio i jego to osobę zamierzał uplątać w sieć intryg swoich. O spotkaniu tém opowiedział baronowéj na swój sposób: z włoską żywością i dosadnemi ruchami, z melancholią i rzewną modulacyą głosu, z poważnym wyrazem twarzy.

— W sali rzeźb, koło jednego z okien zwrócił uwagę moję posąg naturalnéj wielkości, sądziłem, że to dzieło jakiegoś mistrza, jeżeli je umieszczono w tak korzystném świetle, czém się mało które z prac znajdujących na wystawie pochwalić może. Nie było to jednak nic szczególnego, piękny pomysł, ale w wykonaniu jego pewne braki. Posąg przedstawiał młodego pastuszka z Kampanii, nędznie odzianego, modlącego się z oczami wzniesionemi i złożonemi rękami. W zwykłych okolicznościach nie byłby wcale zwrócił mojéj uwagi,—teraz w zadziwiający sposób przykuł ją do siebie. Dla czego? nie wiém, może jakaś wyższa wola zrządziła to, może było to chwilowe usposobienie, dość, że w młodym pasztuszku ujrzałem siebie samego, błądzącego, jak niegdyś, po polach Kampanii,—wówczas, kiedy marzyć umiałem jeszcze, kiedy wzrok mój tonął w błękitach nieba, które wyobraźnia moja zaludniała hufcami skrzydlatych aniołów, i kiedy zasyłałem gorące modły, w których skuteczność święcie wierzyłem. Przeszłość żywo mi stanęła w pamięci. Po chwili wszakże zdawało mi się, że widzę w posągu ciebie, w téjże postaci, w jakiéj widziałem cię po raz pierwszy owego nigdy niezapomnianego wieczoru, kiedym was obie z księżniczką spotkał w ogrodzie i kiedym po pierwszém spojrzeniu utonął w oczach twoich, nie wiedząc jeszcze, żeś była już wówczas stracona dla mnie.

To mówiąc, przesunął ręką po spuszczonych oczach, i jak gdyby przypadkowo podniósł je w téj chwili na siedzącą przed nim Waleryą. Jéj także powieki opadły, i różowa łuna okryła blade policzki. Byłoż to odbicie owego wieczoru? Giraldi spodziewał się tego i nie domyślał się nawet, jak dziwna mięszanina uczuć powstała

w duszy nieszczęśliwéj kobiéty na te wspomnienia, spodziéwał się, że ujrzy w oczach odblask dawnéj miłości, ale powieki nie podniosły się. Mówił daléj:

— A potém znowu w tym samym posągu ujrzałem już nie siebie, ani téż ciebie,—ale nas oboje w trzeciéj postaci—w postaci służebnéj, w któréj może teraz z woli bożéj syn nasz tuła się po świecie.

Walerya zerwała się z krzesła. Nie, nie, nie! zawołała gwałtownie, ściskając czoło swe rękami i drżąc na całém ciele.

— Nie, nie, nie! szeptała; sprawiedliwy Bóg nie pozwoli na to. W postaci służebnéj! mój syn! dodała po chwili, spostrzegając straszną dwuznaczność słów swoich.

— I mój także, rzekł Giraldi łagodnie. Waleryo! pomyśl, czyż życie nie jest zawsze słodkie i miłe każdemu, chociażby dla tych promieni słońca, dla blasku księżyca, dla śpiewu ptasząt!

— Ale on nie żyje! żyć nie może, po tém wszystkiém cośmy się dowiedzieli! któż kiedy nie ty sam tak okrutnie dowodził mi tego wówczas kiedybym wszystko oddała za uśmiech tego dziecięcia.

— Wówczas? a teraz nie?

Chciała zawołać: nie, nie, nie! bo to byłby łańcuch, coby mię przykuł na zawsze do ciebie! Ale nie ośmieliła się powiedzieć tego i znowu opuściła głowę na ręce.

Jego ciemne oczy tkwiły w niéj uporczywie. A teraz nie? powtórzył. Nie było odpowiedzi na to. Był że to ból odnowionéj rany? Byłoż to zwątpienie, albo może zdrada, któréj nie jednę już oznakę spostrzegł był w ostatnich czasach? Oznaka tajemnie uknutego odstępstwa, buntu przeciw jego panowaniu?

Na tę myśl oczy jego ponurym zaświeciły blaskiem.

— Teraz jeszcze pracuję dla ciebie pomyślał, ale strzeż się by nie nadeszła godzina, w któréj będę dla siebie, a zatém przeciw tobie pracował! Strzeż się, by nie było tego „teraz już nie!“

Taką jednak miał władzę nad sobą, że gdy po chwili wrócił do opowiadania swego, w głosie jego nie było żadnego odbicia gorzkich myśli, żadnego śladu bólu lub wyrzutu.

— Kiedy po niejakim czasie odwróciłem się, ujrzałem o kilka kroków od siebie młodzieńca, który melancholijnie wpatrywał się w posąg. Z fizyonomii jego natychmiast poznałem, że był ziomkiem moim. Na zapytanie moje, czy nie jest twórcą rzeźby, któréj przypatrywaliśmy się obydwaj, odpowiedział mi, że służył tylko za model do niéj. W istocie, między pastuszkiem a nieznajomym uderzające było podobieństwo. Jednakże jesteś pan artystą, zapytałem powtórnie. Nie wiém o tém, odpowiedział, wiém tyle tylko, że je-

stem bardzo nieszczęśliwy. Po tych słowach chciał się oddalić, alem go zatrzymał, mówiąc: rodakami jesteśmy, powinniśmy wzajemnie się pocieszać i wspomagać, tém bardziéj gdy się spotykamy w obcym kraju, i gdy którego z nas nieszczęście jakie dotknie.

— Słowa te wywarły widoczne wrażenie na młodym człowieku i, wzbudzając zaufanie jego, dały początek zwierzeniom, które najniespodzianiéj pokazały się ciekawemi dla mnie samego osobiście. Antonio Michele, tak się nazywa młodzieniec ów, jest synem biednego ogrodnika w pobliżu Tivoli. Zakonnik jeden, spowiednik rodziców jego, szczególną od dzieciństwa okazywał mu przyjaźń. Przypuszczam, że to być musi prawdziwy ojciec jego. Piękny chłopak najprzód pasł kozy, potém, dzięki swéj niezwykłéj urodzie, służył artystom za model w Rzymie;—tam się poznał z tutejszym rzeźbiarzem, Andersem, o którym ci już wspominałem, a zapragnąwszy z narzędzia sztuki stać się jéj kapłanem, zaczął sam pracować nad rzeźbą. Po stracie rodziców swych, za namową Andersa, opuścił ojczyznę swą i jako uczeń jego przybył do Berlina. Tu od dwóch lat już wraz z mistrzem swoim mieszka w domu niejakiego p. Schmidt'a, właściciela wyrobów marmurowych. Ten pan Schmidt jest ojcem bardzo ładnéj panny, pracującéj także nad rzeźbą; pastuszek jest właśnie jéj dziełem. Antonio naturalnie zakochał się śmiertelnie w młodéj osobie, a nie mając wzajemności, zaczął ją śledzić z zazdrośną ciekawością i wreszcie odkrył, że przedmiotem jéj uczuć jest syn sąsiada p. Schmidt'a. Mając pewne dowody miłości dwojga tych młodych ludzi, których rodzice nienawidzili się wzajemnie, tak dla różnicy stanowiska swego w społeczeństwie, jak i dla politycznych przekonań, z pomocą osobistego jakiegoś wroga pana Schmidt'a zawiadomił obu ojców o stosunku ich dzieci. Ojcowie porozumieli się z sobą, a rozmowa ich była, jak się zdaje, bardzo burzliwa. W godzinę potém znaleziono młodą pannę, bez przytomności leżącą na podłodze w pracowni swojéj; zaraz potém dostała gwałtownéj gorączki. W sąsiednim domu nic o tém zapewne nie wiedziano, bo przypuszczam, że wstrzymanoby się z ogłoszeniem zaręczyn młodego człowieka z inną panną. Ogłoszenie to doszło i nas także w Monachium, o przyszłym związku p. Ottomara Werbena z panną Carlą Wallbach.

— Na Boga! zawołała baronowa.

— W istocie, z woli to bożéj, nie było mnie wówczas tutaj; uprzedziłbym był katastrofę, poznałbym młodego człowieka i stałbym się opatrznością pięknéj Ferdynandy. Ale i teraz jeszcze nic ma nic straconego, Ferdynanda żyje i wszystko jeszcze mogę do-

prowadzić do celu, do którego zmierzam przy pomocy twojéj naturalnie, kochana przyjaciółko!

— Mojéj? A cóż ja mogę poradzić na to?

— Bardzo wiele. Najprzód trzeba, żebyś baczną zwróciła uwagę na narzeczonych, których zapewne wkrótce tu ujrzysz. Chodzi mi o to, by wiedziéć, jaki jest ich wzajemny stosunek; słówka, spojrzenie, najmniejsza rzecz wreszcie zdradza to zwykle, a tak bystre jak twoje oko łatwo dostrzeże każdą oznakę uczucia. Twojéj uwadze polecam także siostrzenicę twoję, pannę Elsę. Od radcy tajnego, dowiedziałem się, że Golm, którego, jak wiesz, chcą ożenić z panną Werben, i który sam bardzo pragnie związku tego, ma jakąś nienawiść, zupełnie podobną do zazdrości, dla jakiegoś kuzyna owéj pięknéj Ferdynady, prostego kapitana statku, Reinholda Schmidt'a. Trzeba więc dojść koniecznie, czy Golm ma w istocie słuszne powody do zazdrości owéj, a jeżeli tak jest, trzeba dać poznać młodéj pannie, że znajdzie w nas gotową pomoc dla siebie i poparcie dla swego uczucia.

A teraz, kochana przyjaciółko, muszę cię pożegnać na chwilę, zakończył Giraldi, powstając po przeczytaniu kartki, którą mu w téj chwili podał kamerdyner, parę osób czeka na mnie w gabinecie moim.

Po wyjściu jego, baronowa rozpaczliwie załamała ręce:

— Napróżno, napróżno? szepnęła; nigdy się od niego nie uwolnię. Silniejszy jest odemnie o tysiąc razy i dobrze wié o tém. Ma spojrzenie węża, co oczami czaruje biedną ptaszynę! Zgubiona, zgubiona jestem! Jako posłuszne narzędzie woli jego muszę myśléć, mówić, śmiać się, oddychać tak, jak on chce! Potrzebuje mieć wspólników, to dosyć znajdzie ich wszędzie i zawsze. Czémże jest Antonio, co zjawia się w danéj chwili,—czémże jestem ja, co mam wyśledzić tajemnicę młodéj dziewczyny, podpatrzéć bicia jéj serca, którego sama może nie rozumié jeszcze i zdradzić ją przed śmiertelnym wrogiem jéj rodu. Dziewczę to jest krewną twoją—tém lepiéj, tém łatwiéj pozyskasz jéj zaufanie. O mój Boże, mój Boże, jak bardzo musiałam zgrzeszyć przed Tobą, kiedy tak okropnie mię karzesz.

Złamana boleścią nieszczęśliwa kobiéta pragnęła zapłakać, nie mogła. Oczy jéj pałały, w piersiach spazmatyczne czuła ściskanie, ale ani jednéj łzy dobyć nie mogła. W téj wspaniałéj, ogromnéj komnacie czuła się tak samą, tak okropnie samą. Twarz jéj blada, znękana, taki miała wyraz boleści, w oczach nieruchomo przed siebie patrzących, tak bezdenna była rozpacz, że Elsa, która w téj chwili stanęła we drzwiach, zatrzymała się przerażona i zaledwie po

chwili dopiéro szybko zbliżyła się do ciotki i, przyklęknąwszy, objęła ją czule, mówiąc z cicha: otóż jestem ciociu, najdroższa ciociu, ale co ci jest, co ci się stało?

Baronowa, zatopiona w myślach, nie słyszała wejścia siostrzenicy, któréj kroki miękki przytłumił dywan. Zdumiona i jakby ze snu przebudzona utkwiła błędny wzrok prawie w klęczącą przed sobą postać; ale powoli znikał z twarzy wyraz sztywności i osłupienia, ręce się rozplotły i objęły szyję młodéj dziewczyny, pierś podniosła łkaniem, a z oczu polał się strumień dawno upragnionych łez, niosących ulgę i uspokojenie.

Długo powstrzymywany wybuch ten tak był gwałtowny i tak trwał długo, że Elsa nie wiedziała co począć, czém pocieszyć i uspokoić zrozpaczoną kobiétę. Bała się, by ciotka Sydonia, która, spotkawszy u wejścia radcę tajnego, zatrzymała się rozmawiając z nim, nie nadeszła na tę scenę; bała się, by ów Włoch, o którym przed chwilą jeszcze słyszała od niéj, nie zjawił się niespodzianie. Nie straciła jednak wrodzonéj sobie odwagi i przytomności umysłu; serce jéj podyktowało wyrazy pociechy i męztwa; w oczach jéj tyle było współczucia, w uścisku ręki tyle prawdziwego przywiązania, że Walerya powoli zaczęła przychodzić do siebie. Sydonia zastała ją głęboko smutną wprawdzie, z blademi policzkami i melancholijnym wyrazem twarzy, ale uspokojoną już zupełnie.

Tymczasem Giraldi przyjmował w gabinecie swoim kilka osób z kolei. Po wyjściu radcy tajnego, który udzielił mu kilku szczegółów, tyczących się głównego ich wspólnego interesu spółki kolejowéj, Włoch głęboko się zamyślił.

— Przyjemnie to, mówił do siebie, gładząc ciemną brodę, przyjemnie to trzymać w swém ręku wszystkie nici sprawy; samemu tylko wiedziéć o wszystkiém i wszystkimi kierować jak narzędziami. Przyjemnie i smutno zarazem; teraz dopiéro czuję to kiedy ona nie dzieli już ze mną wszystkich mych uczuć i myśli. Nie dzieli—nie! nie ma już żadnéj wątpliwości. Gdyby choć jedna iskra dawnéj miłości tlała w jéj sercu, czyż tak przyjęłaby słowa moje? Ta bladość, ten przestrach, to „nie!“ na samę myśl o tém, co dawniéj byłoby napełniło serce jéj bezmierną radością. Myśl tylko? a gdyby to była rzeczywistość? i dla czegóż nie miałoby, nie mogłoby to być rzeczywistością?

— Rodzice zmarli, z zakonnikiem możnaby się porozumiéć, a piękny chłopak nic nie miałby przeciwko temu: próżny jest i zakochany. Co do podobieństwa, nie jest ono uderzającém, co prawda, jednakże nie można powiedziéć, by go nie było wcale; ona sama,

gdy go ujrzy, nie będzie mogła zaprzeczyć temu, to najważniejsza, a musi go ujrzéć!

W sąsiednim pokoju dały się w téj chwili słyszéć głosy i kroki kilku osób. Ah! szepnął Giraldi, to pewnie zapowiedziana wizyta siostrzenicy! Teraz, wszyscy oni cisną się do Waleryi, którą pierwéj traktowali jak jakiego wyrzutka społeczeństwa. A ona, ona co mówiła kiedyś, że z upragnieniem czeka godziny, w któréj będzie mogła prześladowcom swoim odpłacić z lichwą cierpienia od nich doznane, ona sama garnie się dziś do nich; zbudził się w niéj pociąg do rodziny, a jéj własna krew, jéj własny...

Tu uderzył się ręką po czole.

— To jedyne głupstwo w życiu mojém! cóżbym nie dał za to, by ją znowu dobrą dla siebie uczynić!

W przedpokoju znowu przycichło. Giraldi otworzył drzwi i skinieniem przywołał służącego. Ten podał mu kilka kartek wizytowych mówiąc:

— Wziąłem je napowrót, bo nie mogę spamiętać tych nazwisk.

— To źle—dla czegóż ja mogę?!

— Jak przyjdzie hr. Golm, to napomkniesz przed nim, że zapewne nie wiele czasu będę miał dla niego, bo czekają na mnie w salonie baronowéj. Przy tém, jak gdyby przypadkowo, wymień nazwiska osób, znajdujących się tamże. Czy zrozumiałeś?

— Tak panie.

W kilka minut potém wszedł Hr. Golm.

— Ah, pan hrabia! zawołał witając Golma, który z miną roztargnioną nie ukrywał wcale złego humoru.

— Przeszkadzam panu może, rzekł hrabia, ale niedługo zabawię. Przychodzę tylko, by panu powiedziéć, że z naszego interesu nic nie będzie.

— Jakto? zapytał Giraldi, dla czego?

— Pan to zapewniłeś mię wczoraj, że nie będę miał żadnéj trudności w złożeniu pierwszéj raty kupna. Ponieważ przypuszczam, że znajomy panu dobrze stan interesów moich, sądziłem przeto, żeście się panowie porozumieli między sobą, to jest, że pan i radca tajny z jednéj strony, a pan Lübbener z drugiéj, umówiliście się z sobą, i że pan zostałeś upoważniony przez nich do zapewnienia mi w ich imieniu téj sumy, któréj oni sami zaproponować mi nie mogli. Idę przeto dzisiaj rano do Lübbenera, ten udaje najprzód zdziwionego, wreszcie stawia mi niepodobne do przyjęcia warunki. Wściekły, udaję się stamtąd wprost do Schmidta. Trzeba panu wiedzieć, że pan Schmidt...

— Wiém, wiém, kapitan statku, bardzo dobrze widziany w rodzinie Werbenów, tajny radca mówił mi o nim.

Giraldi wyrzekł te słowa lekkim tonem i zadziwił się niby ogromnie, kiedy hrabia zawołał gwałtownie:

— Broń Boże! Ja nie o tym Schmicie mówię, cóż mogę mieć z nim wspólnego! Filip Schmidt jest kuzynem owego kapitana, człowieka nic nieznaczącego a tak zuchwałego, że się odważa wciskać do najlepszych towarzystw, prawdziwy plebejusz! Filip Schmidt jest antreprenerem berlińsko-sundińskiéj kolei i ma budować naszę koléj także. Jest to człowiek doświadczony, łatwy w interesach i niezmiernie bogaty. Ten mię przyjął bardzo uprzejmie, nie żałował grzecznych słówek i zapewnień, ale oświadczył także, iż nie ma obecnie pieniędzy, i koniec końcem nie wiele co lepsze od Lübbenera stawił warunki. Otóż masz pan tę łatwość, z jaką miałem dostać owe pół miliona, którego żądają jako zaliczki. Tu hrabia gniewnie spojrzał na Giraldi'ego.

— Widzę, żeś mię pan nie zrozumiał, odpowiedział tenże, szkoda, uniknąłbyś pan nieprzyjemności, jakiéj doznałeś z ludźmi, dla których piéniądz najważniejszą jest rzeczą, i którzy zapewne działają w porozumieniu z sobą. Spodziéwam się, że z nami nie będziesz pan miał żadnéj przykrości.

— Z nami? spytał hrabia zdziwiony.

— Tak jest, mogę użyć tego wyrazu, chociaż sam tylko zarządzam majątkiem mojéj przyjaciółki, bo za moją to pomocą oszczędzony corocznie dochód dziesięciu tysięcy talarów, w szczęśliwe włożony spekulacye, do tak wielkiéj urósł sumy, którą imieniem pani baronowéj ofiaruję panu.

Hrabia osłupiał ze zdziwienia.

— W imieniu pani baronowéj?

— Tak jest.

— Całe pół miliona?

— Tak, ponieważ rada familijna dla lepszego uregulowania interesów spadku żąda połowy sumy kupna.

— I pod jakiemiż warunkami? pytał hrabia trochę niepewnym głosem.

— Oprócz jednego szczególnego warunku nie mamy właściwie żadnego, to, że dług ten zostanie wniesiony na pierwsze miejsce hipoteki dóbr nieodłużonych wcale, i że będziesz pan płacił 4% od sumy, to nie może się uważać za żaden warunek, a jest tylko naturalném zabezpieczeniem, które nam pan hrabia....

— Ale ma się rozumiéć, a szczególny warunek?

— Pan hrabia zobowiąże się słowem, że nikomu a nikomu nie wspomni o tém, od kogo ma te pieniądze.

Giraldi, wesoło śmiejąc się, wyciągnął rękę:—Nie lichwiarza, lecz przyjaciela dłoń ofiarujemy panu.

— Oto moja ręka i moje słowo, odrzekł Golm po chwilowém wahaniu się. Nikomu, ani słowa!

— Ani pani baronowéj nawet, rzekł Giraldi. Przez kobiécę delikatność, nie chce ona o niczém wiedziéć, a nawet żąda bezwarunkowo, by w całym tym interesie nie było ani wzmianki o niéj, a zatém i w hipotece ma być wpisane moje nazwisko. Zgadzasz się pan na to?

— Ależ naturalnie!

— A więc, wszystko skończone. Uważam się za szczęśliwego, że mogę z niemiłych rąk tych handlarzy uwolnić człowieka wyższéj inteligencyi i energii, a którego wysoko ceniłem, nie znając jeszcze. Takim sposobem zajmiesz pan w tym interesie wyższe stanowisko, należne mu podług wszelkiéj słuszności, i nie będziesz miał żadnéj trudności w spłaceniu drugiéj raty. Przypuśćmy, że termin téj drugiéj wypłaty wyznaczony będzie na 1 Marca, do tego czasu kupione dobra sprzedasz pan spółce za podwójną cenę. I w żadnym razie nie powinieneś pan odstąpić od dwóch milionów. A zatém rzecz skończona, teraz pozwól pan byśmy przeszli do salonu, gdzie pani baronowa czeka na nas.

Giraldi podniósł się, hrabia stanął niepewny.

— Nie wątpisz pan, że bardzoby mi było przyjemnie poznać panią baronową, ale, kamerdyner pański mówił, że jest tam wielkie towarzystwo, prawie cała familia pani baronowéj zebrana w salonie, boję się, bym w takiéj chwili nie był zupełnie obcym i natarczywym.

— A jeżeli właśnie pani baronowa potrzebuje pokazać téj familii, że nie zbywa jéj na przyjaźni światłych i znakomitych ludzi?!

— Chodźmy więc! zawołał hrabia.

— Jeszcze słowo!

W spokojnych dotąd oczach Włocha zamigotało coś. Hrabia powstrzymywał oddech, nieokreślone jakieś uczucie mówiło mu, że teraz właśnie nastąpi rozwiązanie zagadki, któréj dotąd nie pojmował.

— Chciéj pan zrozumiéć, mówił daléj Giraldi, jak gdyby ważąc sylabę każdą, że pani baronowa nie myśli opłacać przyjaźni pańskiéj tą małą przysługą, i że użyje całego swego wpływu na to, by naturalnie jeżeli życzysz pan sobie tego—zarzut, żeś obcy w jéj ro-

dzinie stał się kiedyś raz na zawsze niemożebnym, nie potrzebuję daléj mówić, jeżeli mię pan hrabia zrozumiał, a nie mogę, jeżeliś mię pan jeszcze nie pojął.

Krew uderzyła do twarzy hrabiemu.

— Jeżeli się ośmielam pojąć pana, zawołał, chwytając rękę Włocha i mocno ją ściskając, jeżeli się ośmielam.

— Prosiłbym tylko, byś pan, nawet w tak delikatnéj sprawie, raczył zaufać doświadczeniu starszego od siebie człowieka.

— Kroku nie zrobię bez wiadomości pana, ani jednego kroku!

Przeszli do salonu baronowéj.

Zbliżywszy się do kółka zebranego koło kanapy, z nieporównanym talentem pochwycił ster rozmowy i natychmiast uwagę i oczy całego towarzystwa zwrócił na siebie. Pierwsze to jego wystąpienie w obec rodziny Waleryi stało się prawdziwym tryumfem, zwycięstwem nad niechętnemi, uprzedzonemi umysłami. Nawet pani Wallbach podniosła się cokolwiek z kanapy i na wpół otwartemi usty utkwiła oczy swe, tą razą nieśpiące już prawie, w tym dziwnym, tak okrzyczanym a tak przyjemnym człowieku. Elsy wzrok, uporczywie śledzący każdy ruch Giraldi'ego, wyrażał zdumienie i zdawał się mówić, że to, co widziała, przechodziło nawet jéj oczekiwanie. Co do Carli, ta jak zawsze głośno wypowiadająca swe zdanie starała się zawiadomić wszystkich o zachwycie, w jaki ją wprawił piękny, rozmowny, przyjemny, dowcipny Włoch.

Po wyjściu gości, Giraldi ujął rękę Waleryi i podniósł ją do ust.

— Ręka twa zimna, rzekł, ale wiém, że serce gorące. Zmęczona jesteś, walka ta nie dla twoich delikatnych nerwów. Potrzebujesz wypocząć już. Musimy pomyśléć nareszcie o jakiemś cichém schronieniu, gdziebyś spokojnie już końca życia dobiegła.

— Jakto? spytała uśmiechając się, chociaż dreszcz przeszedł po niéj.

— Jest to plan, który oddawna już powziąłem, powiem ci o nim kiedyś, nie dziś, bo potrzebujesz teraz spokoju. Jutro, pojutrze, lub kiedy indziéj, wiész, że Gregorio Giraldi nie snuje planów swoich na dzień jeden.

— Wiém o tém, odrzekła.

Zostawszy sama, Walerya uklękła przed krzesłem, na którém Elsa siedziała przed chwilą. Pochyliła głowę i cichym głosem wyszeptała:

— Boże! zesłałeś mi twego anioła, jako oznakę łaski i miłosierdzia. Ufam ci i wierzę, iż za jego pomocą zechcesz mię urato-

wać i nie pozwolisz, by występek zwyciężył, by ci, których kocham, mieli paść ofiarą nikczemnika.

Wypadki zaszłe w rodzinie Schmidtów zmieniły cały porządek życia jéj członków i niemal fizyonomią całego domu. Stryj Ernest nie wychodził prawie ze swego pokoju. Ferdynanda wracała zaledwie bardzo powoli do zdrowia, a wybladłą i smutną twarzą budziła litość i stała się milczącą, jak gdyby mówić zapomniała. Ciotka Rikchen tonęła we łzach od rana do wieczora. Antonio chodził jak nieprzytomny. Reinhold, z natury obdarzony wesołém, choć spokojném usposobieniem, nie mógł się oswoić z ciężką atmosferą, która go teraz otaczała, i wyłącznie prawie przepędzał swobodne chwile u Andersa, a wieczory razem z nim u Kreiselsów. U buchaltera zaszły także pewne zmiany, i pogoda umysłu tak ojca jak córki zaćmioną została. Starowina, nie mogąc już, jak się wyrażał, być nadal socyalistą, bo mu honor na to nie pozwalał, oddał się cały myśli zabezpieczenia przyszłości ukochanego dziecięcia i, pomimo wstrętu, jaki miał zawsze do wszelkich spekulacyj, zaczął grać na giełdzie małym kapitalikiem, który był zebrał w ciągu całego życia. Ukrywał to wprawdzie w tajemnicy, ale dwaj przyjaciele prędko dowiedzieli się o tém, taili jednak przed Cilli, wiedząc dobrze, jak bardzo to ją zmartwiłoby. Była jeszcze inna tajemnica, która mocno niepokoiła Reinholda; wzmiankował o niéj przed Andersem, ale ten zwykłym sobie lekkim tonem odpowiedział mu: Głupstwo! Miłość jest słabością; aniołowie nie mają słabości, Cilli jest aniołem, a zatém—basta!

Reinhold znalazł Cilli zajętą przygotowaniami do herbaty. Zwykle sama to robiła, a to z taką pewnością ruchów i precyzyą, że kalectwa jéj nie byliby spostrzegli wówczas ci, coby o niém nie wiedzieli już naprzód. Lubiła te zajęcia i nie pozwalała w nich dopomagać sobie, utrzymując, że okrucieństwo byłoby przeszkadzać jéj w tém nawet, co była w stanie zrobić sama.

I teraz Reinhold siedział spokojnie w jednym rogu kanapy przeznaczonym dla siebie, drugi zajmował zwykle Kreisels, kiedy był w domu, i przysłuchiwał się cichym krokom dziewczęcia, które wciąż krążyło koło stołu, przynosząc i ustawiając na nim to i owo.

— Jakże daleko postąpiła praca Justusa nad wizerunkiem twoim spytała.

— Jutro lub pojutrze ukończy ją.

— Potém weźmie się do mego. Cieszę się tém bardzo; chciałabym wiedziéć, jak wyglądam rzeczywiście, rzekła, prowadząc delikatnie paluszkami po twarzy swojéj.

— A wiesz że, jak my wyglądamy?

— O, i dobrze nawet. Pan jesteś wysoki, masz włosy i brodę kędzierzawą, szerokie czoło i niebieskie oczy. Justus niższy jest od pana, nieprawdaż?

— Trochę.

— Ale bardzo mało, zawołała Cilli tryumfująco, i włosy ma nie tak gęste? nie?

Ostatnie słowa wymówiła, wahając się trochę.

— Na skroniach, kochana Cilli.

— A tak tylko na skroniach, naturalnie! odrzekła szybko, ale główną pięknością jego są oczy: wielkie, błyszczące oczy artysty, oczy, co obejmują świat cały! O, wiém dobrze, jak wyglądacie obydwaj. A ojciec! tego mogłabym odmalować!

I śmiała się wesoło, rozmawiała swobodnie. Po chwili jednak spoważniała nagle, widocznie, myśl inna jakaś przemknęła przez jéj główkę. Zamyśliła się, potém nadsłuchiwała, czy nie nadchodzi kto, a przekonawszy się, że oprócz Reinholda nie było koło niéj nikogo, usiadła koło niego i, wahając się trochę a mocno czerwieniąc, rzekła:

— Mam do ciebie prośbę, Reinholdzie, sądzę, że spełnisz ją, bo wiész dobrze, iż nie próżna ciekawość, ale szczery, serdeczny udział we wszystkiém, co się ciebie tyczy, kieruje mną.

— Mów, kochana Cilli, zdaje mi się, że nie potrafiłbym ci nic odmówić.

— A więc, czy to Elsa Werben?

— Tak, kochana Cilli.

— Chwała Bogu! Tu zamilkła, Reinhold wzruszony nie mógł także przemówić słowa.

— Nie bierz mi za złe pytania mego. Wiém, że nie możesz się zwierzyć przed Justusem, on by nawet nie zrozumiał tego, a sądziłam, że lżéj ci będzie, kiedy choć ślepéj Cilli będziesz mógł powiedziéć to, co ci na sercu leży.

Reinhold ujął rękę i ucałował.

— Wdzięczny ci jestem niewypowiedzianie; przed tobą chętniéj niż przed kimkolwiek na świecie odkryję myśli moje i uczucia.

— Wiém, że mi sprzyjasz i wierzysz, odrzekła Cilli, długo jednak nie mogłam się odważyć przemówić i ukarana też byłam za tchórzostwo moje, bo wyobraź sobie, żem z początku sądziła, że

to Ferdynanda. Smuciło mię to ogromnie. Bo chociażby tak była piękna i utalentowana, jak mówicie, pewna jestem jednak, że nie byłbyś z nią szczęśliwy. Ty jesteś dobry i uprzejmy, a ona nie mówię, by była złą, ale jest dumną. Wierzaj mi Reinholdzie, czuję to, jak ów żebrak, co wié dobrze, czy dar, który otrzymuje, z dobrego pochodzi serca czy nie. Bóg widzi, żem nigdy nie stawała na jéj drodze, ale też i ona nigdy jednego kroku nie zrobiła do mnie, nigdy przyjaznego słowa nie powiedziała mi. Tak samo niegdyś drżałam o Justusa, zanim naturę jego poznałam i zrozumiałam, że artysta nietylko innym jest jak wszyscy ludzie, ale i inaczéj kochać umié. Ty z gorącém sercem mógłbyś ją pokochać, pokochać gorąco i być bardzo nieszczęśliwym. Mówiłam o tém nieraz dawniéj z Justusem, ale teraz nic mu już nie mówię, bo on ma zwyczaj wszystko rozpowiadać, a wiedziałam, że ty starannie ukrywasz tajemnicę twoję.

— I nie rozumiem nawet, jakim sposobem ty ją wykryłaś?

— O, to co innego! wy, co widzicie, nie pojmujecie nawet, jak delikatnym jest słuch ślepego, jak rozróżnia on każdy odcień uczucia, z jakiém wymawiacie pewne imiona. A ileż uczucia było w głosie twoim, kiedyś o niéj wspominał, kiedyś drżał prawie, mówiąc o wieczorze przepędzonym w jéj towarzystwie. Były to jedyne chwile szczęścia dla ciebie, biédny Reinholdzie, bo już nazajutrz nadzieje twoje znikły, i drugie ci imię nie powstało odtąd na ustach twoich. Czyż tak zupełnie już zwątpiłeś?

— Nie, tylko to szczęście, do którego jak dziécię do gwiazdy rękę już wyciągałem, widzę teraz w mglistéj odległości.

I Reinhold opowiedział od początku dzieje swéj miłości; nie mógł ją nazwać wzajemną, bo nie wyjawił jéj przed Elsą, ale był przekonany, że go zrozumiała, a tak szlachetna jak ona istota nie byłaby w stanie robić igraszki z prawdziwego uczucia. W słowach zaś jéj tyle było życzliwości, w spójrzeniu tyle słodyczy, że jeżeli nie można było jeszcze nazwać tego miłością, przy pomyślnych okolicznościach wszakże usposobienie to mogło się przerodzić w miłość. Teraz zaś okoliczności te stały się zupełnie nieprzyjazne rozwojowi takiego uczucia, to, co zaszło między naczelnikami dwóch rodzin, musiało miéć odbicie na dalszych jéj członkach. Reinhold wprawdzie starał się zachować zawsze niepodległość swą w obec stryja, ale Elsa, jako córka i siostra, czyż nie była solidarnie związaną z rodziną swą? W dodatku była jeszcze jedna okoliczność. Dawniéj Reinhold sądził, że Werbenowie należą do biednéj szlachetnéj rodziny, teraz zaś niespodzianie się dowiedział, że Elsa bogatą jest panną i że pokochawszy go, musiałaby zrobić ofiarę ze swego

dziedzictwa, w zamian za to, on mógłby jéj dać tylko wierne serce i skromną bardzo egzystencyą. W takim więc stanie rzeczy trzebaby cudu, żeby okoliczności zmieniły się na dobre.

— Miłość sama już jest cudem, rzekła Cilli, i czegóż chcesz jeszcze. Mówisz, że Elsa zrozumiała tajemną mowę oczu twoich i nie obraziła się za nią. A przecię wié dobrze o majątkowych stosunkach rodziny swojéj, jak również zna dobrze charakter i zdanie ojca swego, nie zlękła się jednakże tego wszystkiego i nie widziała w tém wszystkiém nic niemożebnego, widocznie więc wierzy, iż miłość prawdziwa przezwycięża wszystko.

— Dobra to wiara i stosowna bardzo dla młodéj dziewczyny, ale mężczyznie wcale nie uchodzi, rządzi on światem i jego prawami, musi więc dobrze je rozumiéć i stosować się do nich.

— Rozumiéć? zgoda na to, ale stosować się? Tego nie rozumiem, jak można stosować się do tego, co tak bezbożnie, tak nienaturalnie zrywa związek dwóch serc. To, co Bóg związał, człowiek nie powinien rozwiązywać.

— Ferdynanda i Ottomar mogliby to samo powiedzićć.

— Bynajmniéj! zawołała Cilli, miłość ich nie może się powoływać na to boskie prawo, bo miłość ich nie wierzy nawet sama w siebie, nie znosi żadnéj zwłoki, żadnéj przeszkody, jest więc tylko dumą i wzajemném ubóstwianiem się. Nie, Reinholdzie, nie powinieneś porównywać swojéj czystéj, szlachetnéj miłości z ową ślepą, ciemną ich namiętnością! Nie powinieneś także takiemi jak oni chodzić drogami. Twoja droga musi być jasna jak miłość twoja, winieneś to sobie, winieneś téj, którą kochasz.

— Powiédzże mi co mam czynić?

— Pozostać samym sobą, ani mniéj ani więcéj. Nieraz stawiłeś śmiałe czoło rozhukanym żywiołom, teraz powinieneś przed ludźmi także wysoko głowę swą nosić, a kiedy nadejdzie godzina, a może wkrótce nadejdzie, powinieneś mówić i działać tak, jak ci twe czyste serce nakazuje. I tak jak rzecz pewna, że oczy te nigdy już nie ujrzą światła, tak niewątpliwie nad drogą życia twego słońce zaświeci znowu, i będziecie żyli dla własnego szczęścia i pożytku ludzi.

— Czy nie wielkanoc dzisiaj tutaj? rzekł Justus, otwierając drzwi i stając na progu. Wielkanoc w Listopadzie?! Kiedy tak, niechże już będzie święto i wesele dla wszystkich. A oto i papa Kreisels, i to w dobrym humorze, wiem już dla czego, pewne papiéry podniosły się, a więc wiwat! spędźmy wieczór wesoło.

I wesoły to był wieczór w istocie, chwilowo zapomniano o przygniatającéj atmosferze całego domu.

Kiedy Reinhold wrócił do siebie, znalazł list od prezydenta, który oficyalnie go zawiadamiał, że proponowana mu posada została nadaną i że ma ją zająć pierwszych dni Grudnia.

— „Godzina może wkrótce nadejdzie“ powiedziała i oto nadeszła, rzekł zamyślony.

— Czy w saméj rzeczy za małą moję osóbkę i mój mały kuferek mam zapłacić dwadzieścia srebrnych groszy, pytała Mieting, wbiegając do pokoju Elsy.

— Mój Boże, Mieting!

— Najprzód odpowiadaj na pytanie moje.

— Nie wiém tego.

— Auguście, wołała Mieting do służącego, zapłać dorożkarzowi, ile sam chce, bo my nie wiemy ile mu się należy. A teraz, najlepsza, najukochańsza, powiédz czyś zadowolona z przyjazdu mego?

To mówiąc, ściskała Elsę, śmiejąc się i płacząc zarazem.—Otóż widzisz tyle razy zawiadamiałam cię o przyjeździe moim i zawsze napróżno, a teraz przyjechałam, nie uprzedziwszy cię o tém wcale. Papa wciąż odkładał i odkładał wyjazd mój, wreszcie kiedy mi dzisiaj znowu powiedział, że jutro będę mogła jechać — nie jutro, rzekłam, ale dziś, zaraz, tout de suite!—Spakowałam kuferek mój na prędce i dla tego taki mały, bielizna schnie jeszcze na strychu, będziesz musiała poratować mnie swoją. A co się tyczy dorożkarza, to widzisz, papa żegnając mnie powiada: strzeż się oszustów! A mama na to: nie ma się czego obawiać o nią, jest już teraz bardzo rozsądna! Otóż jadąc tu, przysięgłam sobie najuroczyściej, że będę okropnie rozsądna i nie zrobię ci wstydu, musiałam zatém zacząć od dorożkarza! widzisz więc!

I pusta dziewczyna zerwała się z miejsca i zaczęła tańczyć po pokoju, a przy tém raz wraz całowała Elsę, wołając: jest to najpiękniejszy wieczór mego życia!

— Mam nadzieję, że nie jeden jeszcze spędzimy podobny, odpowiedziała Elsa. Ach! ty nie możesz pojąć nawet, droga Mieting, jak bardzom ci rada!

W istocie, przyjazd Mieting zdawał się być wszystkim pożądany. Swobodne, wesołe jéj usposobienie szczęśliwie oddziałało na duszną atmosferę całego domu, stała się ona bezwiednym pośrednikiem między jego mieszkańcami. Nie zaradziła wprawdzie złemu, ale obecnością swą usunęła ciężki przymus, tłoczący wszystkich; za-

często rozmawiać z sobą o obojętnych wprawdzie przedmiotach, ale ważném już to było, że zaprzestano unikać się wzajemnie.

Nie minął tydzień, a Mieting stała się ulubienicą domu całego. Z jenerałem mówiła o Moltkiem, o wojnie, naiwnie go zapytywała czy adjutanci i w czasie boju nosili lakierowane buty. Ciotkę Sydonią ujęła, z zajęciem słuchając o przepisach etykiety i mówiąc o swém poszanowaniu dla jasnych i oświeconych. Ottomar nawet, który od czasu zaręczyn swoich nie pokazywał się prawie w domu, u nas nie ma go także, mówiła Carla,—pojawiał się znowu, kiedy wiedział, że ojca nie zastanie, i wesoło drażnił figlarną dziéweczkę. Służba téż zachwycała się przybyłą. Ottomara chłopak utrzymywał, że daleko stosowniejszą byłaby dla jego pana żoną, pokojowej podobała się z tego, że można było z nią posprzeczać się, czego niepodobna było zrobić z panną Elsą, jedném słowem, w krótkim czasie podbiła serca wszystkich.

W towarzystwie także ogólnie się podobała. Baronowa Kreisbrech wyrzekła o niéj, że jest tout-à-fait ridicule mais délicieuse. Zdanie to, jak wszystko co mówiła owa wyrocznia towarzystwa, przechodziło z ust do ust, i la délicieuse ridicule wszędzie była mile widzianą. Ze swojéj strony ona także zachwycała się wszystkiém i wszystkimi. Ty jednak Elso, zawsze kończyła na tém, jesteś najmilsza, najukochańsza i najlepsza.

W istocie, dobre dziewczę na pozór zajęte ba rdzo różnobarwném, mało sobie znaném towarzystwém, w którém się po raz pierwszy znalazło, w rzeczywistości jedno tylko miała na myśli: kochać Elsę i starać się jéj podobać. Przyjechała do Berlina, bo w listach Elsy widziała smutek wielki, a nie mogła odgadnąć istotnéj jego przyczyny. Ani przyszłe małżeństwo brata, chociażby nawet bardzo niemiłe, ani niezgoda pomiędzy ojcem a ciotką nie powinny były do takiego stopnia odebrać humor i odwagę téj, któréj wesołość i energią od pierwszego poznania jéj podziwiała. Innych powodów zmartwienia swego Elsa nie podawała, dumnie ukrywając tajemnicę serca swego. I tak starannie ją taiła, że nawet wśród długich rozmów, jakie się nieraz późno w noc przeciągały między dwiema przyjaciółkami, ani jedném słowem nie zdradziła. Mieting wreszcie zaczęła już sama powątpiewać o przenikliwości swojéj, tembardziéj, że zbliska patrząc na owe zatargi familijne, o których jéj Elsa pisała, sama się wkrótce przekonać mogła, że mają one daleko większe, jak się jej zdawało, znaczenie. Osobiście poznawszy Carlę i Ottomara, nabrała przekonania, że nie są dla siebie stworzeni, i że Ottomar przed ślubem już zdaje się być nieszczęśliwym. Do tego, stosunek między ojcem a synem, od czasu zaręczyn tegoż, nie-

tylko się nie poprawił, ale o wiele pogorszył nawet; Elsa przyczynę tego odgadywała w złém, a może nawet rozpaczliwém położeniu finansowém Ottomara.

Poznawszy także baronową, Mieting wraz z Elsą współczuła smutnemu jej położeniu, ale nie mogła także pojąć stosunku jéj dziwnego do Włocha. Przypuszczała ona, że baronowa musiała kiedyś namiętnie kochać człowieka, któremu wszystko poświęciła, że go kochała i teraz jeszcze. Ale dla czegóż mówiła nieraz w jéj obecności nawet, że bez miłości Elsy, bez przebaczenia jenerała niepodobna jéj żyć daléj, a jednak w obec Giraldi'ego nie dawała siostrzenicy najmniejszéj oznaki przywiązania swego, dlaczego nie śmiała spełnić tego, czego żądał jenerał, to jest rozdzielić się zupełnie z owym człowiekiem, pod którego władzą zdawała się być dotąd.

— Wszystko to bardzo smutne, mówiła Mieting, ale w każdéj rodzinie znajdzie się coś podobnego; ja sama w mojéj miałabym tysiąc niewesołych rzeczy do opowiedzenia, ale czyż dla tego truć sobie młodość i życie...

Mieting nieraz przypominała Elsie spotkanie ich w Golmbergu i pierwszy wieczór, który z sobą tam spędziły. Zauważała oraz, że przy tych wspomnieniach Elsa sama nigdy nie wzmiankowała imienia, którego jednak niepodobna było prawie uniknąć przytém, a które, jak podejrzywała, dzień i noc było w myśli i sercu przyjaciółki.

— To nienaturalne, mówiła do siebie, musi być jakaś przyczyna tego, nie bez powodu także zapewne nigdy go tu samego nie widać, chociaż wnosząc z opowiadania ciotki Sydonii, tak dobrze, tak uprzejmie był tu przyjęty. Musi być jakaś przyczyna tego, powtarzała sobie, i to smutna przyczyna, źródło smutku Elsy.

Wszelkie w tym względzie wątpliwości dziewczęcia znikły nareszcie, kiedy pewnego pięknego poranku, szukając czegoś w garderobie Elsy, do której się nieraz uciekać musiała, poczuła ciężar jakiś w kieszeni sukni, którą Elsa dnia poprzedniego miała na sobie. Myśląc, że to zapomniana sakiewka, a nie bardzo dowierzając słudze, sądziła, że powinna ją wyjąć. Z wielkiém jéj podziwieniem wszakże, pokazało się, że nie była to sakiewka, ale kieszonkowy kompas w bardzo delikatném pudełku z kości słoniowej. Wewnątrz pudełka, złotemi literkami wypisano było imię, o którém Elsa, jak się zdawało, zupełnie zapomniała. Mieting, dla któréj rozsądek, jak sobie teraz często powtarzała, był sprawą honoru, sądziła że najlepiéj zrobi, kiedy nie będzie się dopominała o znaleźne. Zamknęła pudełko, uśmiechnąwszy się jednak przytém, i wsunęła je napowrót

do kieszeni, poczém usiadła pisać do mamy. Tak pilnie pisała, że ani razu nie spójrzała na Elsę, która, wszedłszy po chwili do pokoju, wciąż krążyła koło sukni, wreszcie wzięła ją z krzesła i zawiesiła w szafie. Przytém pudełko musiało wypaść, bo go nie było już w kieszeni, o czém się Mieting po wyjściu Elsy przekonała, tą razą już nie przypadkowo. Muszę wiedziéć nareszcie, czego się mam trzymać, mówiła do siebie.

Następnych dni Mieting okazywała dziwną zmianę usposobienia. W towarzystwie była roztargniona i milcząca; u służby ciekawie się rozpytywała o rodziny, mieszkające w sąsiedztwie, a mianowicie o Szmidtów; zaczęła mówić o swoim do domu powrocie i o potrzebie złożenia wizyt przyjaciołom rodziców swoich, których dotąd zaniedbała była zupełnie. W istocie zaczęła sama wychodzić na miasto bez Elsy, a na trzeci dzień potém tak długo zabawiła i wróciła tak wzruszona, że Elsa zaczęła się obawiać o zdrowie jéj.

Ale jakże się przestraszyła, kiedy Mieting znalazłszy się z nią sam na sam, rzuciła się jéj na szyję i gwałtownie płacząc, zawołała: Elso, Elso! nie masz czego smucić się już! Przysięgam ci na wszystko, co mam najświętszego, że on cię kocha! dowiedziałam się o tém od niego samego.

Słysząc to, Elsa drgnęła całém ciałem, ukryła głowę na ramieniu przyjaciółki i słowa nie mogąc wymówić, wybuchła płaczem; Mieting czuła jednak dobrze, że nie były to łzy bólu, że serce Elsy znajdowało w nich ulgę i że zapora dumnego milczenia złamaną została.

— A teraz opowiem ci, jak się to wszystko stało, rzekło dziewczę, czule obejmując przyjaciółkę i sadzając ją obok siebie na sofie. Chodziło głównie o to, by rozmówić się z nim samym, ale jakże tu dokazać téj sztuki, kiedy ani tutaj nie bywa, ani spotkać się z nim nie można gdzieindziéj, ani też pójść do niego nie wypada, chociażby się miało najlepsze, najczystsze zamiary. Zaczęłam więc rozpytywać tu i owdzie; August, którego krewny służy u Szmidtów najwięcéj mi dostarczył szczegółów; od niego się dowiedziałam, że on rankami pracuje u siebie, a poobiedzia przepędza zwykle u rzeźbiarza Andersa. Przypominasz może sobie, jak kiedyś u twojéj ciotki mowa była o tym Andersie, jak go Giraldi wychwalał i mówił, że ma zamiar zwiedzić jego pracownią. Wtenczas nie wiele zwracałam na te słowa uwagi, ale teraz stanęły mi one w myśli i na nich to zbudowałam cały plan mój. Odwiedziłam wczoraj baronową, naprowadziłam rozmowę na rzeźbiarstwo i powiedziałam, żem gorąco pragnęła widziéć rzeźbiarza jakiego przy pracy; potém zapytałam p. Giraldi'ego, czy nie ofiarowałby się zaprowadzić mię

do jakiéj pracowni i nawiasowo wspomniałam o Andersie, jako najbliżéj nas mieszkającym. Pan Giraldi, który jak wiész, odznacza się wyszukaną grzecznością, jak najuprzejmiéj odpowiedział na tę prośbę moję. Umówiliśmy się o dzień i godzinę; ale kiedym dzisiaj właśnie przybyła do ciotki twojéj na czas naznaczony, pan Giraldi przyjął mię sam i oznajmił, że baronowa cierpi na migrenę i nie będzie mogła nam towarzyszyć. Mówił to bardzo spokojnie; ale oczy jego tak gniewnie błyszczały, że byłam pewna, iż musiała między nimi zajść scena jakaś. Myśl znalezienia się saméj w towarzystwie tego pana nie bardzo mi się uśmiechała, co prawda, ale chodziło o ciebie, a więc, gdyby trzeba było to nawet z Rinaldinim, uważaj dobrze, z samym Rinaldinim—powędrowałabym do Abruzzów. Do téj ostateczności nie doszło wszakże, bo kiedy mieliśmy już wychodzić, ciotka twoja niespodzianie wyszła, zapłakana wprawdzie, ale już ubrana i gotowa towarzyszyć nam. Pan Giraldi ucałował jéj ręce i szepnął słów parę po włosku; ciotka twoja uśmiechnęła się na to, powiadam ci, że on robi z nią co tylko chce. Pojechaliśmy więc, teraz uważaj, ty najdroższa moja!

Tu obie przyjaciółki rzuciły się w swoje objęcia, a wreszcie Mieting z całym swoim rozsądkiem znowu się rozpłakała i, szlochając, mówiła:—Czego ty płaczesz nie rozumiem, nic jeszcze nie wiesz, a jak będziesz mi tak przeszkadzała, to nic porządnie nie opowiem. No, dość już, dość tych łez! Czy byłaś kiedy w pracowni jakiej? Naturalnie, że nie. Wyobraź sobie ogromną przestrzeń, tak wysoką i szeroką jak chcesz i całą od góry do dołu zapełnioną, no tego niepodobna opisać, szczególnie młodej dziewczynie—powiadam ci, parę razy nie wiedziałam, gdzie oczy podziać, ale on tak jakoś mądrze prowadził i pokazywał to tylko, na co przynajmniéj z biédy patrzéć można było, a potém—ot masz!--takém to sobie doskonale w myśli wszystko ułożyła, a teraz nie wiem jak opowiadać. Dość, że kiedyśmy niespodzianie weszli, on porwał się z krzesła jak sprężyną poruszony i zaczerwienił z radości, a kiedy nareszcie przyszedł do słowa, to wciąż powtarzał tylko: panna Strumin! czy to być może? czy to być może? Zrozumiałam go, zrozumiałam doskonale, Elso! Opowiedziałam mu naturalnie, kiedy tu przybyłam, jak długo mam bawić, i t.d. a wreszcie zapytałam, dlaczego nie przychodzi do was. Odpowiedział mi na to: jak chętnie poszedłbym, nie potrzebuję tego mówić pani, ale niestety!—teraz uważaj, Elso!—są okoliczności silniejsze od nas samych, i proszę mi wierzyć, że sam cierpię nad tém najwięcéj. Potém potarł czoło i rzekł, ale z pewnością będę raz jeszcze przed wyjazdem. Gdzie wyjeżdżasz pan! I wyobraź sobie, Elso, jedzie do Wissów! Ten poczciwy, kochany prezydent dał mu miejsce naczelnika locmanów,

w Wissów! Rozmawialiśmy z sobą jeszcze czas jakiś, wreszcie on mi uścisnął rękę—masz, Elso, oto tę rękę! bo uścisk ten nie był dla mnie tylko dla ciebie, ty droga moja!

Przyjaciółki długo roztrząsały, co ma znaczyć wyraz „okoliczności“ przez Reinholda wymówiony. Nakoniec Mieting tak zawyrokowała:—Nic tu nie odgadniemy, okoliczności, to są okoliczności—to znaczy, że ty się nazywasz Elsa Werben, a on Reinhold Schmidt, że ty możesz zaslubić człowieka bogatego i znakomitego, a on jest po prostu naczelnikiem locmanów. W dodatku, może zasłyszał, że ty jesteś bogatą dziedziczką, a on nic nie ma.

— Ale, wiesz co, powiem ci jeszcze coś ciekawego bardzo, miała to być niespodzianka dla ciebie; ale wiem, że nie potrafiłabym długo utrzymać tajemnicy przed tobą, wolę więc powiedzieć od razu.

— Otóż, wyobraź sobie, pan Anders—ale najprzód muszę ci powiedzieć, jak on wygląda. Nigdy nie sądziłam, żeby tak wielki artysta mógł być tak małego wzrostu i tak nic nieznaczącéj powierzchowności. A kiedy zacznie mówić, to wierzyć mu się nie chce, zdaje się, że wciąż żartuje, podobnie śmiesznego nic w życiu mojém nie widziałam. Otóż, pokazał mi wizerunek Reinholda w płaskorzeźbie, jak to oni nazywają—a podobniusieńki do niego powiadam ci jak dwie krople wody. Pytam, dla kogo to?—Dla przyszłéj małżonki pana Szmidta, odpowiada mi p. Anders; zawiesi go na czarnéj aksamitce i będzie nosiła na szyi jako medalion. Pomyśl sobie tylko—medalion, wielkości małego koła od woza! I to on zawsze tak mówi. Potém oglądaliśmy szkic, powiadam ci, znakomita rzecz! Naraz pan Anders odzywa się do mnie: mogłabyś mi pani zrobić wielką, bardzo wielką przyjemność; jak pani widzisz, w płaskorzeźbie same tylko poważne mam postacie, brakuje mi modelu do wesołéj twarzy—pani masz tak pogodną, wiosenną twarzyczkę, zgódź się być modelem dla mnie! Z początku aż się przestraszyłam téj propozycyi, bo mówiłam ci już, że w pracowni tak były dziwne rzeczy, ale kiedym spojrzała na twego Reinholda, i oczy jego wyraźnie mi powiedziały „zrób to,“ zgodziłam się natychmiast. Pan Giraldi powiedział mi na to:—niejedna królowa mogłaby pozazdrościć pani tego, zaszczyt to nie mały być uwiecznioną w takiém dziele. Otóż pojutrze będę uwiecznioną, najdroższa Elso!

Elsa noc całą słuchałaby z przyjemnością opowiadania tego, ale Mieting, znużona wrażeniami, wciąż pociérała oczy, na wpół się układała w fotelu, niby opiérając się tylko, wreszcie wyraźnie zasypiała już mówiąc. Elsa, widząc to, zaniosła na łóżko, ucałowała dobre dziewczątko i złożyła do snu. Mieting raz jeszcze objęła ją za szyję i szep-

cząc: nieprawdaż, Elso,—niebieska suknia,—kompas—jeszcze jeden całus—i usnęła natychmiast.

Mieting wykonywała daléj bohatérski swój plan i nie dawała się od niego odwieść nawet obawą, jaką w niéj budziły okulary ciotki Rikchen. A nie myśl wcale Elso, że można żartować z temi okularami mówiła, to gorzej jak z lornetką baronowéj. Kiedy okulary te osuną się na koniec nosa, wtenczas dopiéro ciotka zaczyna widziéć dobrze. I wiesz co Elso, musiało tam coś zajść szczególnego między wami a Szmidtami; widzę to ze słów ciotki i jej sposobu mówienia o was. Reinhold i Anders wiedzą o tém, ale się nie wygadają; od ciotki chyba dowiem się czegoś, bo ta nie potrafi się długo utaić.

Ciotka wszakże sama nie znała właściwéj przyczyny zajścia między dwiema rodzinami i choroby Ferdynandy. To więc, co młode dziewczę mogło powiedziéć Elsie, nie bardzo ją uspakajało. Z początku tę przynajmniej miała pociechę, że wciąż słyszała coś o Reinholdzie: jak przychodził do pracowni, co mówił, jak wyglądał, i t. d., ale i te wiadomości coraz były skąpsze. Mieting coraz mniéj mówiła o nim, były nawet takie dni, w których, jak powiadała, nie pamięta, czy go widziała lub nie. Elsa domyślała się przyczyny tego, przypuszczała, że przyjaciółka wiedziała coś, czego jéj powiedziéć nie chce, albo przekonała się, że miłość jéj żadnéj nadziei mieć nie może. Z niespokojném przeto sercem słuchała opowiadań Mieting, rozmaitych szczegółów o Andersie, Cilli, Antonio itd., jedném słowem, o wszystkiém, tylko nie o tém, co ją jedynie zajmowało. Smutek na nowo ją opanował tak, że nawet świéżo nabyta mądrość Mieting w zakresie sztuki i zawiłe tłómaczenie technicznych wyrazów, z któremi pragnęła obznajmić nieświadomą tego wszystkiego przyjaciółkę swą, nie mogła jéj zabawić.

Przyłączył się do tego inny jeszcze powód zmartwienia. Po dwumiesięcznych konferencyach rady familijnéj, większością trzech głosów: Walbacha, radcy tajnego, Schielera i Gieraldi'ego, przeciw jednemu głosowi jenerała, postanowioną została sprzedaż dóbr Warnowa, i hrabia Golm przyjęty jako kupiec tychże.

Ojciec Elsy sam ją zawiadomił o tém.

— Stało się, mówił blady i zmęczony, jakim go nigdy nie widziała. Ziemia, która 200 lat była w posiadaniu rodziny Warnow, stanie się łupem szachrajów. Twoja ciotka odpowié za to przed Bogiem. Z jéj to winy jedynie stary, szlachetny ród dąży do upadku. Gdyby była wierną i dobrą żoną przyjaciela mego, ale cóż pomoże

utyskiwać nad tém, co się już stało! Tamci we własnym działali interesie i działali mądrze. Wszyscy w dwójnasób staniecie się bogatszymi, jak utrzymuje radca tajny. Ale ja mam nadzieję jeszcze, chociaż to dziwnie brzmi w ustach ojca, że tak się nie stanie. Hrabia w takim tylko razie zapłaci niesłychaną owę sumę miliona za dobra, których wartość wynosi zaledwie połowę téj ceny, jeżeli szalony projekt kolei żelaznéj i portu wojennego przyjdzie do skutku. Niebezpieczeństwo projektu tego wykazałem rządowi z pomocą jeneralnego sztabu i kapitana Schmidta. A jeżeli, pomimo to, koncesya zostanie udzieloną, nastąpi to z takim uszczerbkiem mego osobistego znaczenia i władzy, do których mam prawo, że natychmiast podam się do dymisyi. Stanowcza chwila nadchodzi. Dla Golma jest to kwestya życia: będzie zrujnowanym bez ratunku, albo zostanie krezusem; a ja albo Jego ekscelencyą, albo biédnym pensyonaryuszem—zupełnie w duchu czasu. W każdym razie nie mam nic do stracenia, nikt nie może mi zarzucić, żem działał wbrew przekonaniom moim, żem nie pozostał wierny staréj chorągwi, przy któréj stałem życie całe.

Po raz pierwszy jenerał mówił tak otwarcie przed córką, po raz pierwszy wtajemniczał ją w myśli swe i uczucia. A był przytém tak wzruszony, tak przygnębiony, że Elsa boleśnie odczuła ten cios, zadany przekonaniom jego.

Mniéj ją przeto dotknęła wiadomość, którą Mieting dnia tegoż przyniosła z miasta. U jednéj z przyjaciółek rodziców swych znalazła do siebie list, w którym matka wzywała ją koniecznie do domu, musi zatém jechać jak najprędzéj, musi jechać zaraz, musi jutro rano już opuścić najdroższą przyjaciółkę swą.

W skutek zapewne postanowienia tego, wpadła w tak dziwny stan rozdrażnienia nerwowego, że albo zalewała się łzami, albo na przemian wybuchała śmiechem. Nazajutrz doszło to do takiego stopnia, że Elsa, sądząc ją chorą, prosiła, by odłożyła podróż swą aż się zupełnie uspokoi. Ale Mieting oparła się namowie, utrzymując, że nie może tego zrobić, że Elsa przyznałaby jéj sama słuszność, gdyby wiedziała o wszystkiém, a dowié się, ale listownie, gdyż ustnie ona nie była w stanie opowiedzieć coś tak śmiesznego.

W istocie, tegoż dnia po jéj wyjeździe, August wręczył Elsie list, który Mieting zostawiła u niego z wyraźném poleceniem, by go oddał pani swojéj w dwanaście godzin później, to jest o saméj dziewiątéj wieczór. Elsa z trudnością przesylabizowała w nim co następuje:

„Najukochańsza Elso! August ma ci oddać ten list, kiedy mnie

już nie będzie; nie chcąc tracić czasu, piszę przed wyjazdem z Berlina.

„Nie wierz, moja najdroższa, wcale temu, com ci mówiła wyjeżdżając; moja matka nie pisała do mnie teraz, i nie z jéj powodu opuszczam cię. Od ośmiu dni najhaniebniéj cię oszukiwałam i okłamywałam, bo nie dla ciebie chodziłam tam. Byłoby to nawet napróżno, jak już teraz widzę, bo Reinhold oddawna widać spostrzegł, jak stały rzeczy pomiędzy nami, i usunął się z drogi, zanim myśmy sami przeczuli cokolwiek. O ślepą Cilli zaś nie troszczyliśmy się wcale, ona zawsze tak wesoło śmiała się, kiedyśmy się z sobą sprzeczali, a wreszcie ona nic nie widzi a oczy grają przytém tak wielką rolę, jak sama wiesz! I wszystko się zaczęło od oczu. On chciał wiedzieć jakiego koloru są moje, myślał o tém dzień cały, jak powiadał. Odtąd codziennie wracał do tego samego przedmiotu a jak wiesz sama, nie można mówić o oczach, nie patrząc na siebie, a tak patrząc, nie wiem czyś ty doświadczyła tego, coraz się głębiéj widzi i spostrzega nareszcie takie rzeczy, że powiadam ci, aż gorąco i zimno się robi, i nie wiadomo czasami co począć, czy dać szczutka w nos temu, co się tak patrzy, czy téż rozpłakać się i rzucić mu się na szyję.

I tak już parę razy byłam jakaś nie swoja przy takiém patrzaniu, ale dzisiaj gorzéj niż kiedy nawet. Wszyscy wyszli na obiad; Cilli tylko, on i ja zostaliśmy w pracowni. Justus mówił, że chce dokończyć swoję robotę, ale wkrótce spostrzegłam, że nie bardzo pilnie się do niéj bierze, więc téż i ja siedziałam niespokojnie, a wreszcie zaczęłam żartować, bawić się z pieskiem jego i tak dokazywać, żeśmy zupełnie zapomnieli o Cilli. W tém słyszymy trzask. Drzwi od ogrodu zamknęły się na zamek i Boże! jak ja ci to opiszę, Elso? Cilli wyszła, a myśmy tego nie spostrzegli nawet, umilkliśmy oboje, i tak było cicho koło nas, tak cicho, że mi się aż duszno w piersiach zrobiło—i coraz duszniéj. W tém on nagle klęka przedemną, mnie zaś tak trzęsły się kolana, że musiałam usiąść—i znowu mi patrzał w oczy i ja na niego patrzałam, musiałam przecię, nieprawdaż, Elso! i zapytałam, ale cichutko—co to ma znaczyć? To ma znaczyć, odpowiedział, że chcę wiedzieć nareszcie, jakiego koloru masz oczy. Dam ci szczutka w nos, jeżeli zaraz nie wstaniesz, rzekłam jeszcze ciszéj. Nie wstanę, rzekł on, ale tak już był blisko mnie, że nie mogłam mu dać szczutka, tylko rzuciłam mu się na szyję, a piesek jego, sądząc zapewne, że nastaję na życie jego pana, tak zaczął szczekać, że chcąc go uspokoić i zmusić Justusa, by powstał, zgodziłam się na wszystko, czego ten chciał odemnie,

że go kocham, że będę jego żoną, itd. wiesz sama, wszystko to, co się zwykle w takich strasznych razach mówi.

I wyobraź sobie Elso, kiedyśmy nareszcie uspokoili pieska i mieliśmy już wychodzić—bo mówiłam mu, że przysięgłam być rozsądną i nie robić ci wstydu, więc ani jednéj sekundy nie pozostanę dłużéj sama z tak niebezpiecznym człowiekiem i w tak samotném miejscu, ze wszystkiemi temi okropnemi posągami z marmuru, otóż, kiedy wychodziliśmy już, niespodzianie pomiędzy posągami zjawia się Cilli, sama blada jak posąg i z tym swoim słodkim uśmiechem, i powiada, że nie powinniśmy się gniewać na nią, że drzwi się zatrzasnęły tak, że nie mogła ich otworzyć i wszystko słyszała niechcący. Ah, Elso! jakżem się okropnie zawstydziła, bo zdaje mi się, że nie na samych słowach skończyło się między nami. Ale ten anioł prawdziwy, Cilli, jak gdyby widziała, jak się czerwieniłam, wzięła mię za rękę i powiedziała, że nie powinnam się wstydzić, że szlachetna miłość powinna czynić mię nietylko szczęśliwą, ale i dumną zarazem, że powinnam mocno kochać Justusa, bo artysta potrzebuje wiele, wiele miłości, więcéj niż kto inny. A ty, mówiła do niego, będziesz ją kochał jak promień słońca, bez którego żyć nie możesz. Potém powiedziała mi, że powinnam zaraz jechać do domu i wszystko wyznać przed mamą i nikomu pierwiéj o tém nie mówić. Wszystko to jéj obiecałam i widzę, że miała słuszność żądając tego odemnie, bo tak jestem szczęśliwa, że z radości nie wiedziéć co gotowam robić—a nie powinnam, bo przysięgłam być rozsądną i tobie wstydu nie robić. Jutro rano wyjadę, wieczorem będę w domu, zaraz wszystko opowiem mamie, a o dziewiątéj August odda ci ten list, po mamie więc ty pierwsza dowiesz się o wszystkiém. Powiedziałam to Cilli, i ona pozwoliła na to i rzekła: proś Boga, by przyjaciółka twoja była tak szczęśliwą jak ty teraz. Będę się modliła o to, bądź tego pewną Elso.

Twoja kochająca cię nadewszystko

rozsądna Mieting."

— Drogie dziecko, rzekła Elsa, dokończywszy listu, życzę jéj szczęścia z całego, całego serca.

Ale mówiąc to, zamyśliła się głęboko, co za dziwny traf związał serca tych dwojga szczęśliwych? A jak szczęśliwi, jak szczęśliwi oni byli! A ona? Pierś Elsy podniosła się, oddech stawał się coraz cięższy, oczy łzami zaszły, skłoniła wreszcie głowę na list Mieting i gorzko, długo płakała.

(c. d. n.)

O DZIAŁANIU WIATRU

NA SKORUPĘ ZIEMSKĄ.

Wiatr jest poczytywany za bardzo słaby i bardzo podrzędny czynnik w życiu ziemi i ludzi,—przynajmniéj u mieszkańców śródlądowych. Nadmorscy umieją go cenić i obawiać się go. Lecz i dla pierwszych ma on wielkie znaczenie: czyż nie od niego zależy nieraz wykonanie naszych zamiarów, majątek rolnika, stan zdrowia ogółu a szczególniéj osób słabowitych. „Dopóki wieje ciepły wiatr południowo-zachodni," powiada Kohl, „czują się ludzie nerwowi osłabionymi i przygnębionymi, gdy nastanie północno-wschodni, czują się dobrze, ale za to kaszlać i narzekać zaczynają chorzy na płuca." Rezultat niejednéj walki zależny był od wichru, który, pędząc pył w oczy nieprzyjaciół, zmuszał ich do ucieczki; handel Afryki musi się liczyć z wpływem samumu wiejącego na Saharze a istnienie milionów mieszkańców Indyj i innych krajów wisi często na włosku, gdy tytaniczny cyklon zmiata budynki i drzewa z powierzchni ziemi i wpędza na nią, na kilkadziesiąt stóp wysoką warstwę wód oceanu. Życie roślin i zwierząt jest także w wysokim stopniu od wiatru zależne: karłowate drzewa nad brzegami mórz, owady bezskrzydłe na Maderze, to jego prawie bezpośrednie skutki. Lecz nie na tém kończy się jego działalność. To są drobne rezultaty w porównaniu ze zmianami, które wiatr w kształcie kuli ziemskiéj zaprowadza.

Wpływ wiatru jako czynnika zmieniającego postać powierzchni ziemi mało był dotychczas ceniony; wielką część dzieł jego, w których pośrednio lub bezpośrednio bierze udział, rozpatrywano przy działaniu innych czynników, jak deszczu, morza, ciepła i t. d., pozostawiając wiatr zupełnie na uboczu; tylko w rozmaitych podró-

żach, dziełach geograficznych i t. d. wiele o nim pisano. Opinia ta jednak była zupełnie niesłuszną, i dlatego téż za zasługę poczytać należy p. Czernemu, prof. geografii w Uniwersytecie Jagiellońskim, że dziełem swém „Die Wirkungen der Winde auf die Gestaltung der Erde“ (1), zwrócił uwagę na ważność i różnostronność skutków tego czynnika, że nagromadził wielką obfitość faktów dla poparcia swego poglądu, że zebrał prawie to wszystko co o działaniu wiatru powiedziano, a może, co przy obecnym stanie nauki da się powiedzieć. Ze względu na to, że praca p. Czernego jest może jedyną tego rodzaju, co do swego zakresu i na to, że będąc po niemiecku, bo dla uczonych pisaną, nie jest dostępną dla ogółu naszéj publiczności, podajemy ją tutaj w zwięzłém streszczeniu. Wszakże prace naszych ziomków, w cudzoziemskich językach pisane, zasługują na podobne rozpowszechnienie.

Jakkolwiek kwestya powstawania wiatrów należy do meteorologii, jednakże musimy tu słówko o niéj powiedzieć.

Źródła wiatrów, tak jak w ogóle wszelkich ruchów na ziemi szukać należy w słońcu. Ono ogrzewając powierzchnią ziemi w jednych miejscach mniéj, w drugich więcéj, sprawia zwichnienie równowagi atmosfery i rodzi rozmaite w niéj prądy.

Z powodu niejednostajnego kształtu kuli ziemskiéj, z powodu nierównego rozdziału lądów i mórz tudzież innych warunków, prądy atmosferyczne nie odbywają się tak regularnie, aby je można było podciągnąć pod formułę; pomimo to, doszliśmy już do tego, że zawdzięczając Dove'mu, poznaliśmy zasadniczy typ ruchów atmosfery.

Ziemia jest kulą, a więc pod rozmaitemi szerokościami nierówna na nią ilość ciepła słonecznego pada. Pod zwrotnikami, gdzie promienie słońca są najbardziéj prostopadłemi do poziomu, powierzchnia ziemi najbardziéj się rozgrzewa i najwięcéj ciepła dostarcza atmosferze. Powietrze więc tam znacznie rzadnieje, staje się lżejszém, wznosi się w górę, tworzy ciągły *prąd wstępujący* (courant ascendant) i psuje równowagę całego morza gazowego. Sąsiednie warstwy, zimniejsze, wpadają w tę rozrzedzoną masę, pociągając za sobą powietrze zimne z okolic biegunowych, na którego miejsce płynie znów górą ogrzany prąd z pod zwrotników. W zasadzie więc

---

(1) Mittheilungen aus Justus Perthes' Geographischer Anstalt ueber wichtige neue Erforschungen auf dem Gesammtgebiete der Geographie von Dr. A, Petermann. Ergänzungsheft Nr. 48.

tworzą się dwa prądy: jeden *biegunowy* zimny, płynący ku równikowi, drugi *równikowy* ciepły i płynący w okolice podbiegunowe.

Zdawałoby się, że prądy te płynąć powinny w prostym kierunku według południka; ale tak nie jest. Buys-Ballot wykazał, że w skutek obrotu ziemi, każdy z tych prądów zbacza na północnéj półkuli w stronę prawą, na południowéj—w lewą.

Zwróćmy teraz uwagę na to, że powietrze ogrzane może się obciążyć daleko większą ilością pary wodnéj niż zimne. Gdy oziębimy pewną ilość ciepłego powietrza, zawiérającego parę wodną, to natychmiast para się skropli. Przeciwnie, jeśli ogrzejemy powietrze zimne, to uczynimy je zdolném do nasycenia się większą ilością pary.

Jasną więc jest rzeczą, że prąd zwrotnikowy może unosić z sobą większe ilości wody,—i tak jest rzeczywiście. Słońce, które wywołuje prąd wstępujący, zamienia jednocześnie znaczne masy wody na ciało lotne, które się miesza z powietrzem ogrzaném i płynie ku biegunom.

Lecz zbliżając się coraz bardziéj ku biegunom, prąd równikowy oziębia się, granica nasycalności parą wodną zniża się, następuje przesycenie i skroplanie pary; prąd występuje jako wiatr wilgotny, który przynosi deszcz i inne opady atmosferyczne. Przeciwnie, prąd biegunowy, płynąc ku ciepłym okolicom, coraz bardziéj oddala się od punktu nasycenia, coraz więcéj wody mógłby w siebie przyjąć, a więc występuje jako wiatr suchy. Zestawiając to wszystko, powiemy, że wiatry przybywające od równika odznaczają się najwyższym stopniem ciepła, największą ilością zawartéj w sobie pary, obfitością chmur i opadów atmosferycznych oraz, naturalnie, najniższém ciśnieniem barometryczném. Przeciwnie, wiatry płynące od biegunów cechują się najniższym stopniem ciepła, najmniejszą wilgotnością, piękną pogodą, najrzadszemi opadami i najwyższym stanem barometru.

Wiatry działają na powierzchnią ziemi nietylko swą siłą, ale i zawartością pary wodnéj oraz innemi właściwościami. Wpływ więc obu prądów typowych będzie z tych względów odmienny.

I tak, roznosicielem opadów będzie prąd równikowy, który przynosi pospolicie deszcz, lub śnieg. Jest on więc wielką arteryą, dla wody krążącéj po lądach, i zasila źródła, rzeki, stawy, jeziora, których ilość i obfitość są w prostym stosunku do częstości prądów równikowych. Że zaś woda płynąca jest czynnikiem niwelującym powierzchnią ziemi, więc prądy zwrotnikowe możemy uważać za środki geologiczne, zrównywające powierzchnią ziemi.

Wprost przeciwną jest rola prądów biegunowych. Biegnąc od stron zimnych ku ciepłym, oddalają się coraz bardziéj od granicy nasycenia parą wodną i stają się zdolnemi do przyjęcia coraz większych ilości wody. W skutek tego prąd biegunowy dąży do przeciwdziałania prądowi równikowemu, do odebrania powierzchni ziemi i do zwrócenia atmosferze téj wody, którą ją zrosił prąd równikowy. Wprawdzie czyni to już samo słońce, ale bez pomocy wiatru działanie jego byłoby bardzo osłabione. Atmosfera wkrótce przesyciłaby się parą wodną, i parowanie musiałoby ustać, gdyby wiatr nie odganiał powietrza wilgotnego i nie zastępował go suchém. W ten sposób prąd biegunowy powiększa parowanie mórz, zasilające prąd równikowy w wilgoć, a więc daje mu możność przenoszenia wody ku wyższym szerokościom. Prąd zatém biegunowy nie mniejszą ma ważność od równikowego.

Oba więc one stanowią system roznoszący wodę po lądach i oba równe mają znaczenie w niwelującéj pracy wody.

Nadto, oba te prądy wspomagają słońce w pracy wyczerpywania ogromnego wodozbioru oceanów. Niecała ilość wody, przenoszonéj przez wiatry na lądy, powraca do oceanu rzekami i drogą atmosferyczną; znaczna jéj część pozostaje na lądzie, wszedłszy w związek chemiczny z skałami. Nie można tedy wysokości poziomu oceanu uważać za stały,—obniża on się coraz bardziéj i prawdopodobnie niejedno wyniesienie się lądu przypisać należy obniżeniu się morza. Tak więc i niektóre przyrosty lądów przypisać należy w części działaniu wiatrów.

Wpływ lądów. Strona wiatru i ciszy. Oba powyższe prądy zachowują swą typowość tylko na oceanie, gdzie mogą wiać po gładkiéj powierzchni. Lądy, w rozmaitych kierunkach ciągnące się i najeżone w wielu miejscach wyniosłościami, wielce je modyfikują. I tak np. wiatr równikowy, wpadłszy na ląd, traci wielką ilość swéj wilgoci zaraz na wstępie i, w dalszym przebiegu, wieje już jako wiatr daleko suchszy. Podobnież i wiatr biegunowy traci swój charakter, gdy wpadnie na wyżynę lub łańcuch gór. Spotyka tam bowiem niższą temperaturę i musi skroplić swą wilgoć. Tak np. Atlas zawdzięcza w części temu prądowi swoje opady atmosferyczne. Nadto, wysokie i wielkie łańcuchy gór modyfikują działanie wiatrów i w ten jeszcze sposób, że stanowią tamę, o którą się wiatry rozbijają i po za górami w innym już charakterze występują. Klimat okolic z jednéj i z drugiéj strony gór położonych jest bardzo zależnym od téj okoliczności i może wielkie okazywać różnice, jeżeli góry są dość wysokie i wielkie, aby skroplić całą wilgoć prądu równikowego. Wtedy ze strony wietrznéj będzie zawsze obfitość wód, ze strony zaś ciszy

okolica może bardzo cierpieć w skutek suszy. Naturalnie wpłynąć to musi na stan powierzchni ziemi w obu okolicach.

Ponieważ góry są niejako oziębialnikami dla wilgoci atmosferycznéj, więc stanowią główne centra opadów. Oba prądy, bez względu na to, czy równikowy czy biegunowy, rzucają się z ogromną siłą na wszystkie wyniosłości i, nie mogąc ich przemódz, otaczają je przynajmniéj czepcem chmur, z których ciągle deszcze i śniegi spadają. Te zaś wymulają, wylizują i kruszą skały oraz przenoszą gruzy i muł do rzek, które znów prowadzą je do jezior lub mórz. Wszelkie więc okruchy, piaski i muły zalegające ujścia rzek są pośredniém dziełem wiatrów. Zdumiewająca to zaprawdę, powiada autor, igraszka natury! To samo ciepło, które wyniosło góry, które wywołało wszystkie nierówności skorupy ziemskiéj, toż samo ciepło tworzy prądy atmosferyczne, które te nierówności niwelują!

Granica wiecznych śniegów oraz lodowce są także zawisłe od wiatrów. Pierwsza nie zależy wyłącznie tylko od zimna, lecz i od ilości opadów atmosferycznych. I tak, w Himalajach ze strony południowéj, wystawionéj przez całe półrocze na działanie wilgotnego monsunu, linia śnieżna jest wzniesiona na 4.892 metrów według braci Schlagintweit, a 4.250 m. według Hookera, z północnéj zaś, która jest stroną ciszy, dochodzi ona do wysokości 5.254 m. według pierwszych, a 5.666 według drugiego. Toż samo odnosi się i do lodowców.

Jeśli wiatry wilgotne sprzyjają rozprzestrzenianiu się i zsuwaniu na dół granicy dolnéj śniegów i lodów, to za to wiatry suche działają wprost przeciwnie, a nawet czasami wywołują zniknięcie śniegów i lodów. Z tego powodu Szwajcarzy nazywają suchy „Föhn“ zjadaczem śniegu (Schneefresser). Skutek ten następuje przez parowanie, które suchy wiatr wywołuje nawet w niskich temperaturach.

Pustynie, stepy, obszary leśne. Jakość gruntu, wpływająca na charakter okolicy, na obfitość lub brak roślinności i jéj rodzaj, zależy od ilości wody, zraszającéj tę okolicę. Grunt urodzajny powstaje z rozłożenia się skał feldspatowych, które rozpadają się w skutek działania czynników atmosferycznych i wody, zawiérającéj kwas węglany, na piasek i glinę oraz węglany alkaliczne, które są koniecznym warunkiem istnienia roślin. Gdzie one znajdują się, tam zaraz tworzy się próchnica (humus) i roślinność bujnie wyrasta. Lecz woda nietylko potrzebna jest do przygotowania gruntu dla roślin, wymagają jéj także tkanki roślinne bezpośrednio. Że zaś ilość wody w pewnéj okolicy zależy od wiatrów, więc pojmiemy jak wielki

wpływ one wywierają na postać obszarów, będących pod ich panowaniem.

Gdzie wody nie ma, tam główną rolę gra wietrzenie pod wpływem tlenu, zmiany temperatury oraz światła, i skały rozkruszają się tylko, co najwyżéj, nie dostarczając rozpuszczalnych soli alkalicznych. Pod niebem więc ciągle, lub prawie ciągle pogodném, powstaje dzika pustynia, pozbawiona zupełnie zieloności, lub gdzie niegdzie tylko skąpém i jakby wyschłém zielem porosła. Wiatr suchy, pozbawiony ożywczéj wilgoci, tworzy pustynią.

Na dowód tego mamy w naturze wiele przykładów. Pustynia w Azyi środkowéj jest pod wpływem wiatru równikowego, wysuszonego przez góry Himalajskie; pustynie około morza Kaspijskiego otrzymują powietrze, które się pozbyło wilgoci, wiejąc przez całą Europę. Słynna Sahara również wiatrom zawdzięcza swą czczość, gdyż przez cały rok wieją po niéj przeważnie suche wiatry północne.

Przeciwnie, gdzie wieją wiatry wilgotne, geologiczno-chemiczny process rozkładu skał odbywa się swoim trybem i powstaje roślinność, dająca zaraz początek tworzeniu się próchnicy, a więc umożliwia pokrycie się gruntu bujną roślinnością. Zmiana taka bywa niekiedy nagłą, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiéj. W Algierskiéj np. Saharze, koło studzien artezyjskich wywierconych przez Francuzów, zaraz powstały gaje palmy daktylowéj, choć z początku brakło próchnicy.

Rzecz naturalna, że jeżeli w pewnéj okolicy wiatry wilgotne wieją tylko peryodycznie, w pewnych porach roku, to i roślinność pod ich wpływem peryodycznie budzić się będzie, a zamrze gdy susza nastąpi. Będzie to roślinność nędzna, prawie zupełnie jednostajna z samych traw złożona, uboga, tak jak ubogim jest zapas próchnicy, z którego siły czerpią, jak skąpą jest wilgoć, która zrasza okolicę. Takie, mniéj więcéj, warunki utworzyły stepy Rosyi i Syberyi, puszty węgierskie, karroo południowo-afrykańskie, pampasy, llanosy i preryе w Ameryce. Jeżeli zaś okolica stale jest zwilgacaną deszczami, jeżeli ciągły przystęp mają do niéj wiatry obciążone parą wodną, to grunt zawiéra wielką obfitość przygotowanych dla roślin środków pokarmowych i powstaje wegetacya, która nie znika peryodycznie, lecz trwa lata i wieki.

Powstawanie pustyń i charakterystyczne ich utwory geologiczne. Poznawszy wpływ suchych wiatrów na powierzchnią ziemi, przedstawmy sobie krainę, kwitnącą pełnią życia roślinnego, przeniesioną nagle w takie miejsce, gdzie prawie wyłącznie wieją suche i gorące wiatry. Nietylko zniknie bujna roślinność, ustępując miejsca nikłym

trawom, których efemeryczne istnienie stosować się będzie do powiewu tego lub owego wiatru; obfitość wód w rzekach będzie się także zmniejszała, tak, że wreszcie nie będą już zdolne dobiegać do ujścia swego w morzu lub jeziorze i znikną gdzieś w piasku na drodze swego biegu; jezioro, zasilane rzekami, które niegdyś może miało wpływ do oceanu, opuszczone przez rzeki, doprowadzające doń wodę, będzie coraz bardziéj obniżało swój poziom, otoczy się wgłębieniem, a wody jego coraz większy procent soli będą zawierały. Gdy susza jeszcze bardziéj się powiększy, gdy nadewszystko z okolicznych gór wiać będzie osuszony i gorący wiatr równikowy zamieniony w „föhn,“ po rzekach zostaną tylko suche koryta, a z jezior tylko wgłębienia, pokryte skorupą soli, pochodzącéj z wyparowanéj wody. Wegetacya naturalnie zniknie zupełnie, rolę urodzajną zastąpią okruchy skał, piasek i pył z wyschłego mułu, który unoszony wiatrem tworzyć będzie mgły i chmury kurzu, otulające swym ponurym całunem grobowisko natury.

Że tak się dzieje w naturze, mamy na to liczne przykłady. Zastanowimy się bliżéj nad niektóremi fizyczno-geograficznemi zjawiskami pustyni.

a. N a g o ś ć g ó r uderza przedewszystkiém oko wędrowca w pustyni. W południowéj Mongolii wszystkie góry są zwykle nagie na południowych stokach i tylko na północnych napotykamy lasy. Wszystkie wzniesienia gór Tian-Szan, wszystkie płaskowzgórza, a szczególniéj stok południowy ku Kaszgarowi, są zupełnie bezleśne, a fauna ich i flora ma zupełnie charakter stepowy. Podobną fizyognomią przedstawia naga górzysta kraina Tuaregów, gdzie niekiedy przez 6, a nawet przez 12 lat deszczu nie widać, goły zaś łańcuch Synaju posiada tylko „wdzięk nagiéj, mineralogicznéj piękności.“ Nie weselszą postać mają południowe stoki Elbrusu. A wszystkie te okolice są pod wpływem tchnienia suchych wiatrów.

b. R z e k i b e z u j ś c i a i W a d i. Jeśli góry pustyni są nagie, pozbawione ziemi urodzajnéj i roślinności, to nie mogą służyć za zbiorniki wodom, a więc nie może być mowy o źródłach, strumieniach, rzekach. Jeśli się zaś kiedy pojawi rwący potok, to istnienie jego jest tylko chwilowém, zależném od wilgotnego wiatru, który powiał. Zniknie on wkrótce, częścią wyparowany w powietrze, częścią pochłonięty przez szczeliny i piasek, pod którego pokład schroni się, jako „woda gruntowa.“ Inaczéj rzecz się ma z rzekami, które biorąc początek w górach po za pustynią leżących, biegną ku jéj wyschłemu łonu. Obfite i wartkie w górnym swym biegu, stają się w pustyni pastwą suchych wiatrów i wreszcie giną w piasku. Nawet to ich ujście nie jest stałém. Cofa się ono ku źródłu i wreszcie po

rzece pozostaje tylko wyschłe łoże. Takich łóż jest dużo w pustyniach. Inne rzeki, które jeszcze nie uległy w zupełności osuszającemu działaniu wiatrów, skróciły przynajmniéj znacznie swój bieg. Rzeka np. Czuj (Czu), zasilana wodą jeziora Issykkul, wpadała niegdyś do jeziora Aralskiego, teraz zaś kończy swój bieg w jeziorze stepowém (Saumalkul). Hilmend, najznaczniejsza rzeka Afganistanu, wpada na pustyni do bagniska Hamun, a niegdyś toczyła swe wody do oceanu Indyjskiego, po czém jeszcze ślad w wyschłém łożysku pozostał.

Podobnież częste są w pustyniach łożyska, po których już nic nie płynie, albo które tylko czasowo służą za koryta rzekom. Są to Wadi Arabów. Do takich należy zanikły już system rzeki Rumem lub Rumah, niegdyś dopływu Eufratu; tu się téż zaliczają liczne wadi Arabii. W Saharze również jest znaczna ilość łóż suchych, lub napełnionych wodami tylko w pewnych czasach, gdy wilgotne wiatry zasilą źródła gór na północy.

c. J e z i o r a s t e p o w e. Gdzie giną rzeki, tam i wody jezior nie są oszczędzane. To téż i jeziora stepowe nikną coraz bardziéj i cofają się często wstecz za rzekami, któremi są zasilane. Nie zasługują już wtedy na nazwę jezior, ale raczéj bagnisk, lub kałuż. Wiele takich przykładów mamy w pustyni Gobi. Inne jeziora, większe i poniekąd trwałe, schną coraz bardziéj i, jak np. Lob Noor, rozpadają się na grupę mniejszych jezior, tworząc „różaniec" małych stawów, czekających na wybicie ostatniéj swéj godziny. Jezioro Sarykupa, na północ od morza Aralskiego leżące, zajmowało niegdyś eliptyczne wgłębienie, którego oś większa dochodziła do 15 mil długości; teraz zaś rozpadło się na 20 większych stawów. I jezioro Aralskie zmniejsza się coraz bardziéj. Podobnież rzecz się ma z jeziorem Titicaca, wyniesioném na 13.000 stóp nad poziom morza na płaskowzgórzu w Boliwii.

d. L o s m ó r z ś r ó d l ą d o w y c h. Ponieważ z okolic owiewanych wiatrami suchemi woda znika, więc możnaby przyjąć, iż pustynie były niegdyś morzami śródlądowemi, z których w biegu czasu woda wyparowała. Wprawdzie wiatry suche, które tak samo dawniéj wiały ponad temi okolicami jak teraz, obciążały się nad morzami parą, która następnie w postaci deszczu spadała na to samo morze i na okolice mu przyległe, ale ileż jéj rozwiewało się w dalsze strony, ile pochłonęły rośliny i skały? W ten sposób musiało jéj coraz bardziéj ubywać, aż nareszcie pozostało samo tylko łoże skaliste.

W naturze mamy na to wiele dowodów. Wielka obfitość szczątków mięczaka Cardium edule, napotykana w Saharze, dowodzi, że

tam rozciągało się niegdyś morze od zatoki Gabes aż do dzisiejszego wybrzeża Senegalskiego, a otwory w wapieniu białéj jury pod Kairem, wywiercone przez mięczaka Pholas, pokazują dokąd tam sięgały fale morza miocenicznego zalegającego niegdyś Saharę. Podobnież rzecz się miała z okolicami morza Kaspijskiego i Aralskiego, dziś na wpół stepowemi na wpół pustynnemi. Morza te wraz z jeziorami Bałkasz i Ałakuł oraz licznemi jeziorami stepów Kirgizkich stanowią tylko kolonią, „różaniec“ jezior, jeziora szczątkowe, na które rozpadło się wielkie morze, nazywane przez pisarzy chińskich morzem Zachodniém. Dowodzi tego ciągle jeszcze trwające opadanie morza Kaspijskiego, wiele skamieniałości napotykanych w okolicach oraz szczątkowa jego fauna, naprowadzająca na myśl, że ono komunikowało się niegdyś z morzem Czarném i Oceanem podbiegunowym północnym. Istnieją również wskazówki, że pustynia Colorado była przedłużeniem zatoki Kalifornijskiéj, i że Morze Martwe, mające niegdyś poziom o 100 metrów wyżéj położony, łączyło się z oceanem. Wreszcie według pewnego Mongolskiego podania, zapadła część pustyni Gobi przy Erghi była morzem śródlądowém.

Oprócz tych mamy jeszcze inne bezpośrednie dowody powstania pustyń z jezior i mórz śródlądowych. Najważniejszym z nich jest istnienie soli na pustyniach.

e. T w o r z e n i e s i ę s o l i. Z geologii wiadomo, że morze jest źródłem soli, i że pokłady tego minerału utworzyły się z wyparowanych wód jezior śródlądowych, lub zatok odciętych od morza. Rzecz znana, iż w skutek parowania zbiorniki wód, choćby początkowo słodkich, stają się coraz bardziéj słonemi, nawet wtedy, gdy morze śródlądowe łączy się za pomocą cieśniny z oceanem.

Jeśli tedy dopływy wody słodkiéj znacznie się zmniejszą lub zupełnie ustaną, jeśli zbiornik wody utraci swą komunikacyą z oceanem, to procent soli w wodzie będzie się stawał coraz większym i wreszcie woda zupełnie zniknie, a sama sól pozostanie. Proces ten jest bardzo widocznym w jeziorach słonych i morzach śródlądowych. Niekiedy odbywa się w sposób przerywany, jak np. w jeziorze Elton, gdzie w porze suchéj sól osadza się pokładem na dnie, w dżdżystéj zaś woda staje się mniéj słoną.

Jeśli hipoteza o genezie pustyń jest uzasadnioną, to w takim razie powinniśmy w nich znajdywać sól, już to w pokładach, już to w jeziorach, pozostałych z mórz pierwotnych. I tak jest rzeczywiście. Pustynia Gobi nader jest obfitą w jeziora słone, a nawet w tamtejszych studniach często tylko wodę słoną napotkać można. W Persyi jest wielki obszar kraju, pokryty wykwitami soli, w skutek czego nadano mu nazwę „stepu solnego.“ W Saharze znajduje się

sól w szotach Tunisu i Algieru, we wgłębieniu oazy Siwah, a formalne kopalnie soli znajdują się w kraju Tuaregów, w Bilmie, Teghasa i t. d. Na pustyni Kalahari w Afryce, skorupa soli pokrywa znaczne przestrzenie, a pampasy Tamarugal w Peru dźwigają pokład soli, z którego nawet mieszkańcy wyciosują kamienie do budowy, możliwe w tym suchym kraju. Pomiędzy Andami, Argentyny i Rio Dulce rozciąga się prawie nieprzejrzana płaszczyzna, pokryta śnieżną płachtą soli, która w porze dżdżystéj na jezioro słone się zamienia. Na pustyniach Australii łatwo jest natrafić na jedno z nadzwyczaj licznych jezior i bagnisk słonych, kiedy o wodę słodką jest bardzo trudno. Wreszcie Gubernia Astrachańska, która sama tylko posiada 129 jezior słonych a grunt w wielu miejscach obficie solą przejęty, może zakończyć szereg przykładów, że stepy i pustynie były niegdyś dnami mórz i jezior.

Naturalnie wszystko to jest skutkiem suchych wiatrów, wspomagających ulatniające działanie słońca. I gdyby cieśnina Gibraltarska oraz Bab-el-Mandeb zostały zatarasowane, to morze Śródziemne i Czerwone stałyby się jeziorami słonemi, coraz większy procent soli by zawierały i, przeszedłszy fazy takie jakie nam przedstawiają morze Kaspijskie, Salt-Lake w Utah i morze Martwe, musiałyby wyschnąć wreszcie zupełnie, dając początek nowym pustyniom pokrytym pokładami lub wykwitami soli. Już i teraz, pomimo komunikacyi z oceanem i licznych dopływów wody słodkiéj, morze Śródziemne okazuje większą słoność niż ocean (38—39 na tysiąc wody); w morzu zaś Czerwoném, które prawie wcale dopływów nie ma, a jest przez cały rok pod działaniem suchych wiatrów, ilość soli dochodzi do 43 na tysiąc, gdy tymczasem średni procent soli w wodzie morskiéj wynosi tylko 34 na tysiąc.

Na tworzeniu się soli autor kończy swe uwagi nad *klimatyczno-meteorologiczném działaniem wiatrów.* Lecz to jeszcze niewszystko, co się da powiedzieć o stosunku ich do pustyni. W następującym rozdziale, *o mechaniczném działaniu wiatrów,* autor wraca do nich, mówiąc o wpływie wiatrów na piasek.

Dotychczas zastanawialiśmy się nad skutkami wiatrów, stosownie do tego, czy były wilgotne czy suche, przyczém zupełnie pominęliśmy milczeniem ich siłę. Tymczasem wiatr nie jest wyłącznie tylko roznosicielem wody, lub pompą ssącą, osuszającą rzeki i morza; działa on jeszcze swém parciem, siłą swego pędu, która, pomimo luźności cząstek powietrza, wielkich rzeczy dokonywa. Już wiatr średnio mocny

przebywa 7—11 metrów na sekundę a prze z siłą 5,96—15,27 kilogramów na metr kwadratowy; silny przebiega w sekundę 11—17 metrów a wywiera ciśnienie 15,27—34,35 kilogr.; dla burzy liczby te wynoszą 17—28 metrów i 34,35—95,4 kilogr., a orkan pędzi z prędkością więcéj niż 28 metrów na sekundę i ciśnie z siłą przeszło 95,4 kilogramów na metr kwadratowy. Choć więc ani burza, ani orkan nie strzaska skalistych kolosów górskich, jednakże nawet mniéj silne pędy powietrza mogą wprawić w potężny ruch masy stałe i ciekłe. W pierwszym razie wiatr działa bezpośrednio, wprowadzając rozmaite zmiany szczególniéj w położeniu ciał sypkich, w drugim, za pośrednictwem wody, jéj fal, bije taranem w zapory i przenosi gruzy, sprawiając ważne dla geologii zmiany wybrzeży.

Zajmiemy się najprzód bezpośredniém mechaniczném działaniem wiatrów na ląd stały, a na pierwszém miejscu postawimy:

Tworzenie się wydm i ich wędrówki. Każde płaskie wybrzeże morskie pokryte jest piaskiem wyrzuconym na ląd przez bałwany. Nie brak téż go i przy brzegach stromych, tylko że już wtedy nie tworzy piaszczystego brzegu, lecz ławicę przybrzeżną. Rzecz naturalna, iż piasek, czy na wybrzeżu czy w ławicach nagromadzony, staje się igraszką wiatrów. Gdy tylko wyschnie i stanie się sypkim, wiatr unosi z sobą ziarka i pędzi je dopóty, dopóki ziarko na jaką zaporę nie natrafi. Około niego gromadzi się drugie, dziesiąte i setne i tworzy się kupka, która, stanowiąc większą zawadę dla pędzonych ziarek, staje się punktem koncentracyjnym. Ponieważ wybrzeża są zawsze nachylone pod mniejszym lub większym kątem do poziomu, więc wiatr wiejący z morza w kierunku poziomym, uderza o nie pod kątem i, według znanego prawa, pod równym kątem się odbija. Ztąd przy wierzchołkach kątów tworzy się wyżłobienie i piasek nagromadza się po za niém w kącie odbicia, gdzie powietrze jest spokojniejszém. Nagromadzając się w ten sposób coraz więcéj na całéj długości wybrzeża, utworzy wreszcie wał wydmowy, łagodniéj pochylony ku morzu, a stromiéj ku lądowi, gdyż wiatry wiejąc od morza ciągle go strychują. Gdy przeważają wiatry lądowe stosunek bywa przeciwny.

Naturalnie, że wydmy nie przedstawiają nic stałego. Wiatr zwiewa z nich piasek na ląd i buduje nowe wydmy, a tym sposobem czasowe te utwory coraz bardziej posuwają się w głąb lądu.

Wielkość i wysokość wydm jest bardzo zmienna. Zależy ona od obfitości piasku, którego dostarczają fale i przypływy morskie, oraz od siły wiatru. W sprzyjających warunkach dochodzą one

do znacznych rozmiarów. W Guiennie i Gaskonii miewają do 75—80 metrów wysokości, a przy przylądku Bajador i na wybrzeżu Somali aż do 120—180 metrów.

Posuwanie się wydm ku lądowi zagraża często mieniu ludzkiemu, więc mieszkańcy nadbrzeżni starają się je utrwalić, przez zasadzenie na nich pewnych roślin, jak Arundo arenaria, Salix arenaria, Elymus arenarius, wreszcie winorośli, tamarynd itd. W okolicach jednak, gdzie nie zabezpieczają się przeciwko nim, wędrówka wydm staje się potężnym czynnikiem niszczącym. W Suffolku np. w 100 lat zasypały one 4 mile angielskie od brzegu, w Guiennie i Gaskonii mieszkańcy nadbrzeżni musieli kilkakrotnie przesiedlać się w głąb kraju, uciekając przed napierającym od morza piaskiem. W Lége musiano w r. 1480 przenieść kościół o 4 kilometry daléj od morza, a już w 1650 musiano go znowu przebudować o 3 kilometry daléj na wschód. Pod piaskiem znikły nawet zamki Lislan i Lelos, tak, że teraz nie wiadomo nawet gdzie stały.

Wiatr wyrzuca piasek nietylko na ląd już gotowy, ale może odciąć zatokę od lądu i, zasypawszy następnie jezioro w ten sposób utworzone, może powiększyć ląd o pewną, dość znaczną przestrzeń.

Jakkolwiek wielkie są wydmy nadmorskie a wpływ ich na okolicę jest potężny, jednakże nie mogą one wytrzymać porównania z całém morzem wydm, które na pustyniach napotykamy. Wysokość wydm dochodzi tam do 150—200 metrów, przy szerokości podstawy wynoszącéj 100 metrów do 4—6 kilometrów. I tam one wędrują, nawet w daleko wyższym stopniu, tworząc, tak jak w Gobi cale prądy, rzeki piasku, które zasypują część jéj zachodnią, ogałacając wschodnią z piasku. W Saharze téż część piaszczysta coraz bardziéj skalistą zasypuje. Pod suchym napływem wydm zginęło wiele śladów dawniejszéj kultury ludzkiéj, wiele ruin Mezopotamii ukrył w swém łonie piasek pustyni; liczne wioski i pola w Seistanie pod nim się schowały, a na szczątkach wielkiego i bogatego miasta Gumbuz srożą się teraz piaszczyste zamiecie pustyni Beludżystanu. Temu losowi uległo także wiele miast w Egipcie. Na ruinach świątyni w Tebach leży dwudziestostopowy pokład piasku, a jezioro Moeris straciło wiele z swéj wielkości, ciśnione coraz bardziéj zwężającym się pierścieniem piasku. Pustynie Turanu gnają swój piasek do Morza Kaspijskiego i zmniejszyły już znacznie jego głębokość z południowo-wschodniéj strony, a na zachodnim wybrzeżu Afryki wiatr ciągle pędzi tumany piasku do morza, osadzając je nawet w odległości kilku mil od brzegu, w skutek

czego powstała taka mielizna, że murzyn, po pół godzinnéj drodze od suchego piasku, ma wody zaledwie po kolana.

I rzeki doznają pewnych zmian od wydm. Wędrujące wydmy, zasypując z jednego brzegu koryto, zmuszają rzekę do zboczenia od pierwotnego kierunku. Tak się ma rzecz np. z Senegalem, który jest w ciągłéj walce z nawałą piasku, i widoczną jest rzeczą, że walka ta nie od dziś dnia się datuje. Główny kierunek jego biegu jest północny i prawdopodobnie w całéj swéj długości dążył ku północy z małém nachyleniem ku zachodowi, a dopiéro późniéj piasek zmusił go w dolnym brzegu do zwrócenia się na zachód. W północnéj także Saharze dość częste są przykłady rzek zmuszonych przez piasek do zmiany koryta. Zdaje się nadto, że Niger płynął niegdyś wprost na północ, do morza zalegającego Saharę, i że dopiéro zawieje piaszczyste zmusiły go do zboczenia pod ogromnym łukiem ku południo-wschodowi.

Powstawanie pustyń. Powrócimy teraz na chwilę znowu do pustyń, aby odpowiedziéć na pytanie: zkąd się bierze owo nieprzebrane morze piasku, które utrudnia pochody i często całe karawany zasypuje. Odpowiedź na to jest bardzo łatwa. Jeśli pustynie powstały z zamkniętych mórz śródlądowych, które były pod wpływem suchych wiatrów, to rzecz jasna, że wiatry te, za pomocą fal rozbijających brzegi, nagromadzały piasek, już to w formie wydm, gdy brzeg był płaski, już ławic, gdy stromo spadał w morze. Ponieważ ciągłe ulatnianie wody było niejako bezustannym odpływem morza, więc coraz to nowe warstwy piasku odsłaniały się i stawały się pastwą wiatru. Rzecz naturalna, że stosownie do kierunku wiatrów panujących, piasek nagromadza się w takim razie przeważnie z jednéj strony, odcina więc nieraz zatoki lub ujścia rzek i wywołuje powstanie licznych jezior,—a przytém—w odpowiednich warunkach spowodować może zboczenie rzeki od pierwotnego kierunku. W Saharze napotykamy wyraźne ślady podobnego procesu.

Przenoszenie innych ciał przez wiatr. Rzecz jasna, że wiatr może przenosić oprócz piasku i inne ciała sypkie i stosownie do ich obfitości może spowodowywać znaczne zmiany na powierzchni ziemi. Do Egiptu np. przynosi bardzo często wiatr z pustyni znaczną ilość *soli*, którą tak przesiąkają ławice wapienne, że ciągle są pokryte wykwitem i łatwo rozpadają się na gruz. Daléj, w północnéj Syberyi, wiatr nagromadza w jedném miejscu ogromne massy *śniegu*, prawdziwe wydmy śnieżyste, które, topniejąc częściowo w lecie, znowu przymarzając i powiększając się od nowego śniegu, tworzą coś w guście lodników, którym tylko brak powierzchni pochyłej, aby się poruszały. W pustyni Gobi burze wyrywają *rośliny* i, gromadząc

je w jeden ogromny kłęb, pędzą po powierzchni. W Patagonii wiatry, niedozwalając cząstkom zwierzęcym i roślinnym być w dłuższém zetknięciu z ziemią i zapędzając je do morza, przeszkadzają utworzeniu się próchnicy. W innych miejscowościach zdzierają wprost ziemię urodzajną. Jeszcze więcéj zapanowują prądy powietrzne nad *popiołem wyrzucanym przez wulkany*. W r. 79 po n. Ch. wiatr zaniósł popiół Wezuwiusza aż do Egiptu, w r. 512 do Konstantynopola i Tripolisu, a popiół z wybuchu Etny w r. 1863 upadł w Kalabryi i na Maltę. W 1850 r. wiatry zaniosły popiół Wezuwiusza do Alp środkowych. Podczas wybuchu Tambory (na wyspie Sumbawie, na wschód od Jawy) popiół przebiegł drogę 1.400 kilometrów na północ i spadł około Bruni na Borneo. Wreszcie podczas ostatnich wybuchów Vatna Jökul i Herthubreith na Islandyi, wiatry przypędziły popiół aż do Sztokholmu, a więc o 250 mil geograficznych od miejsca wybuchu. Jeżeli zważymy, że wulkany wyrzucają niekiedy 300 lub więcéj milionów kilogramów popiołu, to pojmiemy, jak dobroczynną potęgą są wiatry dla okolic wulkanicznych; bez nich okolice owe zniknęłyby pod powłoką popiołu.

Wiatr wpływa także na budowę wulkanów uwarstwionych (Strato-Vulkane), gdyż w skutek jego działania lżejsze ciała wyrzucane z krateru daléj spadają, a cięższe bliżéj; nadto, zmienia kształt krateru, albowiem pędząc lawę i inne ciało ku jednéj stronie powiększa w tém miejscu brzeg krateru, w skutek czego wulkan przybiéra postać stożka ściętego ukośnie.

Oprócz tego wiatr zwiewa *pył i okruchy*, które tak jak rzeki przenosi do morza, i tym sposobem obnaża powierzchnią skał wietrzejących, sprzyjając dalszemu rozkładowi.

Najlepszym przykładem potęgi wiatru w tym względzie są pokłady żółtego, gliniastego, zupełnie nieuwarstwionego iłu (Löss), które w północnych Chinach, szczególniéj w Prowincyi Szensi, pokrywają ogromne przestrzenie. Od nich to cesarz chiński nosi nazwę „Hwang-ti“ „pana żółtéj ziemi.“ Niezmiernie urodzajna ta warstwa, powstała, jak wiele faktów dowodzi, z iłu pochodzącego ze zwietrzenia miękkich, gliniasto-piaskowych skał, naniesionego przez wiatr. Podobne do tych pokładów iłu utwory napotykamy w Azyi środkowéj, Tybecie, nad Indusem, w Tian-szan itd.

Tenże sam początek ma *pył passatowy i deszcz krwawy*.

Pierwszy spada głównie na zachodniém wybrzeżu Afryki środkowéj i północnéj, daléj w okolicach Morza Śródziemnego i sięga niekiedy do północnéj Europy, rzadko do Rossyi i Szwecyi; w Azyi rozchodzi się przez Beludżystan, Turkestan aż do Chin. Afrykański bywa koloru czerwonawego i zawiéra wielką ilość krze-

mionkowych pancerzy wymoczków, powstaje prawdopodobnie na Saharze, któréj pewna część jest pokryta piaskiem czerwonawym. Innym jest pył azyatycki, koloru żółtego, powstały z iłu środkowéj Azyi. Tumany tych pyłów tak są wielkie i gęste, że często cały widok zaciemniają. Ztąd nazwa „mare tenebrosum,“ morze ciemności, na zachodzie Afryki. O ilości pyłu w tych piaszczystych obłokach poweźmiemy wyobrażenie, wziąwszy pod uwagę tę okoliczność, że w r. 1755 spadł około Lago Maggiore deszcz krwawy (pył czerwony), który pokrył około 200 mil kwadratowych powierzchni na wysokość prawie jednego cala, a jednocześnie spadł w Alpach śnieg czerwony (także od tego pyłu), grubości 9 stóp. Jeśli przyjmiemy według obliczenia geologa Dana, że przecięciowo grubość warstwy pyłu wynosiła tylko dwie linie, to ilość jego, pokrywająca jednę milę kwadratową angielską, wyniesie 2.700 stóp sześciennych. Darwin podaje, że obszar spadania pyłu na wyspach Zielonego przylądka, w r. 1833 miał 1.600 mil morskich szerokości; według kapitana Tuckey'a podobny deszcz pyłu za zachodniém wybrzeżu Afryki zajmował przestrzeń przeszło 1.800 mil morskich, a nieraz nawet ukazywał się na 600—800 a nawet 1.080 mil od brzegów Afryki na Atlantyku, a więc zasypywał powierzchnią około miliona mil kwadratowych; wreszcie okręt amerykański Jamestown, w Lutym 1856 znajdował się przez 6 dni w tém afrykańskiém morzu ciemności. Pewnego razu w Chinach, w r. 1154 deszcz kurzu trwał aż dni 10, a i teraz burze pyłowe są znane, szczególniéj w okolicach Pekinu. Przybywają one z zachodu i północo-zachodu i do tego stopnia zaćmiewają słońce na bezchmurném niebie, że wydaje się jako żółta tarcza matowa. Tę jednak mają dobrą stronę, że użyzniają ziemię, i chińczycy po każdym deszczu pyłowym oczekują dobrych zbiorów.

Przejdziemy teraz do *wpływu wiatru na wodę, a za jéj pośrednictwem na ląd stały.*

Prądy wietrzne, wygony (?) wietrzne (Triftströmungen, Windtriften). Woda doskonale przejmuje i reprodukuje każdy powiew wiatru, i dla tego téż ruchy atmosfery muszą wpływać już to na przyśpieszenie, już na opóźnienie biegu prądów morskich, już téż wywoływać nowe prądy. Te ostatnie powstają wtedy, gdy wiatr wieje poziomo, i nie sięgają prawdopodobnie głębiéj jak 30—60 stóp pod powierzchnią morza. Są to więc prądy powierzchowne. Głębsze są już prądami morskiemi właściwemi, wynikającemi głównie w skutek nierównéj temperatury oceanu w różnych miejscach. Odróżniają się one tém jeszcze od wietrznych, że krążą, pierwsze zaś płyną tylko w jednym kierunku, a nadto, że właściwe prądy są stałe, wietrzne zaś—zmienne, czasowe, trwające tak długo jak wiatry,

które je pędzą (1); a wreszcie właściwe prądy morskie mogą być bez fal, wietrzne zaś nigdy się bez nich obejść nie mogą.

Do takich prądów wietrznych należą: prąd przylądka Horn, wywoływany przez burzliwe wiatry północno- i południowo-zachodnie; odkryty przez Horsburgha i Beauforta prąd południowo-atlantycki, prądy w morzu Chińskiém, w zatoce Bengalskiéj, w Perskiéj, z któréj to ostatniéj prąd wypływa przez jednę połowę roku, a przez drugą wpływa. Dalej, przez Kattegat podczas silnego północno-zachodniego wiatru płynie prąd z morza Północnego do Baltyku, a przez Bosfor przy wiatrach zachodnich—z m. Marmara do Czarnego; w innych zaś razach prądy te mają kierunek odwrotny.

Prądy te wprowadzają wodę słoną oceanu do mórz, otrzymujących wielką obfitość wody słodkiéj; przenoszą lżejsze napływy z jednego miejsca na drugie i często przesuwają utworzone już pokłady osadowe, nadając im inne położenie, jak to się dzieje np. z ławicami przy koralowéj wyspie Baker, na Oceanie Spokojnym.

Potężniejszym może jest następujący wpływ wiatrów na wodę. W podzwrotnikowym pasie oceanu, gdzie parowanie jest największém, wiatry unoszą ciągle kolosalną ilość pary wodnéj, któréj masa, pochodząca tylko z Atlantyku, ma być równoważna przeszło 100 trylionom metrów sześciennych wody na rok. Wprawdzie część téj pary spada wkrótce na ocean, jako deszcz zwrotnikowy, ale większą część unoszą antipassaty do wyższych szerokości, i musiałoby się utworzyć pod równikiem wgłębienie, gdyby woda oceanu dla swéj płynności nie przybywała z większych szerokości, dla wynagrodzenia téj ciągłéj straty. Tworzą się więc prądy, mające wielkie znaczenie w krążeniu wód oceanów.

Fale wietrzne. Podobnie jak oprócz właściwych prądów morskich istnieją prądy wietrzne, tak samo też, obok fal pochodzących od przypływu i odpływu morza, mamy fale wietrzne. Te ostatnie stanowią daleko pospolitsze zjawisko niż pierwsze, gdyż pojawiają się i tam, gdzie wpływ księżyca na wodę jest bardzo nieznaczny, lub wcale się nie objawia.

Fale są głównie utworem wiatrów, uderzających o wodę pod znacznym kątem. W skutek długotrwałego działania ich na wielkiéj przestrzeni, równowaga wody zostaje zwichniętą, tworzą się doliny i góry fal, które dopiéro w pewien czas po ustaniu wiatru uspakajają się. Wysokość fal, to jest odległość wierzchołka od naj-

---

(1) Nie ustają z niemi ściśle jednocześnie, gdyż w tym razie skutek dłużéj trwa niż przyczyna.

głębszego punktu doliny, dochodzi do 25—40 stóp, a nawet, jak niektórzy podają, do 60 i 100 stóp. Zależy ona od głębokości i obszerności morza, od siły wiatru i czasu jego trwania oraz od kąta pod jakim wieje. Od tych czynników zależną jest także długość fal, czyli odległość pomiędzy dwoma wierzchołkami. Ruch fal jest głównie pionowym, t. j. odbywa się z góry na dół i z dołu do góry; istnieje jednak obok niego ruch postępujący, poziomy, mający przy silnym wietrze prędkość kilkunastu mil morskich na godzinę.

Jak wielkiém i wspaniałém są fale morskie zjawiskiem, o tém wié każdy kto był nad morzem. Ale ich funkcya nie kończy się na rozbijaniu okrętów i wywoływaniu wzniosłéj grozy w duszy człowieka. One wykonywają wielką pracę mechaniczną, która nie przechodzi bez ważnych śladów. Siłę swą wywiérają w dwóch kierunkach: w pionowym ku dnu i poziomym ku brzegom. Rozpatrzymy oba te przypadki z osobna.

Jak głęboko fale sięgają? Tego dotychczas ściśle nie określono. Pewną jednak jest rzeczą, że wpływ ich dochodzi do kilkuset stóp głębokości. Według Cialdi'ego, silne burze na otwartém morzu poruszają muł w głębokości 200 metrów. Jak zaś silne bywa tarcie wody o dno, w tak wielkich głębokościach, dowodzi ta okoliczność, że wody Golfstromu pomiędzy Florydą a wyspami Bahama, podczas burzy z północy wiejącéj, pokrywają się obficie roślinami morskiemi, mogącemi pochodzić tylko z pobliża tego miejsca, gdzie się pojawiają; a nadto, że około amerykańskiéj wyspy Nantucket, gdzie głębokość morza wynosi 12—14 węzłów, fale wyrzucają na pokład statków wielką ilość piasku dno pokrywającego, którego stopa sześcienna waży 100 funtów. Co więcéj, orkan, który się srożył w Antyllach 10 Października 1780 r., zerwał z dna morza koralową powłokę około S-ta Lucia, pogłębił przystań na 6 i więcéj metrów, a potrzaskaną skałę koralową na brzeg wyrzucił. Widocznie więc wpływ fal, a zatém i wiatrów, nie jest obojętny dla utworów na dnie morskiém.

Skutki działania fal w kierunku poziomym są bardzo różnorodne. Przedewszystkiém wiatry, unosząc z sobą cząstki wody w tym kierunku, w którym wieją, przytrzymują je tam, nie dozwalają im odpływać i w ten sposób podwyższają poziom morza przy lądzie dopóty, dopóki tylko siła ich zdoła podtrzymywać ciężar wody. W skutek tego następują często wielkie wylewy. Przeciwnie, jeśli wieje wiatr od lądu, poziom morza u brzegu może się obniżyć. I tak np. przy Pampero w La-Plata, podczas wiania wiatru południowo-zachodniego, morze spada o 4-6 metrów i okręty osiadają na mieli-

znie; w kanale La-Manche na małéj nawet przestrzeni napotykano różnicę 3 metrów w wysokościach poziomu, a Morze Baltyckie, od wschodniego brzegu Holsztyńskiego aż do Memla, podnosi się o pół metra, co także zależy zapewne od panujących nad niém wiatrów północno-zachodnich i zachodnich. Spiętrzenie wód oceanu, sprawione szczególniéj przez orkany, zalewa wodą znaczne przestrzenie nawet na kilkadziesiąt mil w głąb lądu, odbiérając życie setkom tysięcy ludzi, znosząc osady i zmieniając często kontury lądów. Zatamowanie odpływu wód rzeki, spowodowywane także często przez wiatr, sprawia również wylewy, zmusza rzekę do wcześniejszego osadzenia cięższych napływów, których nagromadzenie oddziela niekiedy przy ujściach jeziora tak zwane limany, które np. przy ujściu Dniepru widzimy.

Pędząc w ten sposób wody, wiatr może także przenosić za pomocą nich ciała stałe. Nie mówiąc już o tém, że fale przenosiły niekiedy o kilka stóp nawet głazy kilkadziesiąt tysięcy funtów ważące, wspomnimy tylko, że łatwo im jest porywać z sobą okruchy i piasek i osadzać je w inném miejscu. I tak np. na pewną ławicę leżącą przy południowym brzegu Anglii, fale wyrzuciły pewnego razu tyle gruzu, że oceniają go na 3½ miliona tonn (1.000 kilogramów = tonna), a w XIV stuleciu burza zaparła poprzeczną ławicą ujście rzeki Adour u przylądka Breton i zmusiła rzekę do zmiany koryta ku północy. Wreszcie, gdzie wiatr aż wylew morza sprowadza, pozostają na ziemi gruzy i piasek, świadczące jak najlepiéj o transportowéj sile fal.

Największą może, z tych wszystkich form działania fal, ma rozbijanie się o ich brzegi. Jeśli brzeg jest płaski, to fala słabnie, wpadłszy na mieliznę i stając się dłuższą kosztem wysokości, wrzuca na ląd przyniesiony z sobą piasek, gruz, muszle i t. d. Ztąd powstają „utwory nabrzeżne“ (litorale Bildungen). Jednocześnie fale odpływające i prąd powrotny zabiérają z sobą piasek i muł, i niosą go do morza, gdzie napotkawszy nową falę, bijącą na ląd, muszą osadzić zabrany napływ w miejscu spotkania się z nią. W ten sposób, przy pomyślnych warunkach tworzy się przy brzegu „utwór podwodny“ (subpelagische Bildungen) jako mielizna, lub ławica piaszczysta, która może odciąć pewną część morza i dać początek licznym lagunom, albo téż po prostu utworzyć przedłużenie lądu. Za przykład tego służyć może przyrost lądu przy południowém wybrzeżu Francyi, gdzie na przestrzeni 200 kilometrów, od Pirenejów do ujścia Rodanu, utworzył się cały szereg lagun i jezior nadbrzeżnych. Najczęściéj podobne utwory powstają przy ujściach rzek, gdzie przyczyniają się do utworzenia zatorów piaszczystych i delt.

Tak powstała delta Rodanu, Nilu, Mississipi i innych rzek. Delta Nilu zawdzięcza swój byt wiatrowi północno-zachodniemu, przez 9 miesięcy przeważnie wiejącemu na ujście Nilu.

Tak się dzieje na brzegach płaskich. Strome brzegi są przeciwnie pastwą rozhukanych fal, które ją kruszą i zabiérają materyał, aby z niego nowe utwory budować. Tu już nie osłabiają się one na mieliznie, lecz płyną swobodnie aż do brzegu. Napotkawszy tam nagle zaporę, która im się rozszerzać nie dozwala, zyskują na wysokości i rozwścieczone walą jak taran o skałę. A siła ich jest ogromną. Stevenson oblicza, że uderzenie ich na latarnią Bell Rock równa się ciśnieniu 17 tonn na 1 metr kwadratowy, a nawet najsilniejsze uderzenie o latarnią na skale Skerryvore dochodzi do siły parcia 30½ tonn na metr kwadr. Takiéj to potędze nie oprze się żadna skała i cała różnica na tém tylko polega, że jedna prędzej, druga późniéj ulegnie niszczącemu działaniu, stosownie do swéj twardości, budowy geologicznéj, nachylenia do poziomu i wielkości rozbijającego się o jéj podnoże morza. Odpadające z niéj, pod działaniem płynnego taranu, głazy, gruz i piasek osadzają się u stóp jéj i tworzą nieraz tamę, która przez długi czas chroni brzeg od wściekłości morza. Ale wreszcie bałwany zrywają ją—i znowu żłobią i rozbijają skałę, rzeźbiąc w niéj wyzębienia, iglice, obeliski, bramy i jaskinie, zamieniając przylądki na wydłużone języki ziemi, albo znów rozrywając na wyspy.

W ten sposób, od zdobycia Yorku przez Rzymian aż do naszych czasów, morze wdarło się w głąb lądu na 2 mile; tą siłą utworzyło trzy wyspy: Nordstrand, Sylt i Föhr z dawnego półwyspu Północnéj Fryzyi, istniejącéj aż do XIII wieku; tą piłą opiłowało wyspę Helgoland, która za czasów Adama z Bremen miała 900 kilometrów (?) powierzchni, a teraz ma nie wiele więcéj jak pół kilometra. Ztąd pojmiemy jak ogromną jest niszcząca potęga fal, ile materyału zabiéra ona lądom. Marchal oblicza, że samo tylko północne wybrzeże Francyi traci tą drogą rocznie 10 milionów metrów sześciennych materyału. Wprawdzie, ważną w tym względzie rolę grają fale przypływu morza, ale wiatr dzielnie je wspomaga. Nie jest on jednak wyłącznie tylko niszczycielem wybrzeży: widzieliśmy już wyżéj, że zabrany z jednego miejsca materyał przenosi na drugie i buduje pokłady podmorskie, lub też brzegi ku morzu powiększa i wynagradza w jednéin miejscu to, co gdzieindziéj zepsuł.

Widzieliśmy dotąd jak rozmaite i wielostronne jest działanie wiatrów na powierzchnią ziemi. Nie kończy się ono jednak na ich wpływach klimatyczno-meteorologicznych i mechanicznych. P. Czerny zawarł w ostatniéj części swéj rozprawy inne jeszcze, które,

jak powiada, w obu tych kierunkach przyjmują udział w pewnych zjawiskach geologicznych,—a działania te nazywa pośredniemi, mechanicznemi i klimatycznemi.

Tu zalicza autor przedewszystkiém wpływ ciśnienia barometrycznego,—a więc ciężkiego prądu biegunowego, lub przynoszącego lekkie powietrze—równikowego,—na poziom morza. Pokazało się właśnie, że wysokość jego jest zależna od ciśnienia barometrycznego, a zatém od wiatrów, że przy spadaniu barometru poziom jego podnosi się, a przy podnoszeniu zniża. Zauważono to, a nawet otrzymano liczebne wartości dla tego stosunku przy brzegach Anglii i w wielu innych miejscach. Dla téj właśnie przyczyny, podczas wysokiego ciśnienia atmosferycznego, woda jeziora Mälar spływa do Baltyku, przy nizkim zaś, dzieje się na odwrót; ztąd też w czasie cyklonu, w spokojnym jego środku woda wznosi się często znacznie nad przyległy poziom morza.

Ciśnienie barometryczne nie może także pozostać bez wpływu na wybuchy wulkanów i trzęsienia ziemi. Przed wielu wybuchami i trzęsieniami, barometr znacznie spadał, a najsilniéj te zjawiska występują zwykle w czasie burzy, mącącéj atmosferę. Mieszkańcy wielu okolic wulkanicznych, jak również rozmaici uczeni, jak Scrope, J. Schmidt, Mohn, utrzymują, iż powyższe zjawisko podziemne przypada zwykle razem z spadkiem barometru.

Poczytując trzęsienia ziemi głównie za skutki podmywań i zapadań się skorupy ziemskiéj, p. Czerny uważa za rzecz jasną, iż musi na nie wpływać prąd równikowy, wiatr deszczowy, który jednocześnie topi śniegi w wyższych szerokościach. Jako dowód na to, przytacza fakta, że w wielu razach trzęsienia ziemi następowały po porach dżdżystych. Podobnie miałyby wpływać deszcze wilgotne na wybuchy wulkaniczne, albowiem wraz z morzem dostarczają wulkanom wody do utworzenia pary, towarzyszącéj wszelkim wybuchom.

Wreszcie, autor opiérając się głównie na zdaniu J. R. Mayera oraz na faktach zauważonych przez Lyona, Duveyriera i Rohlfsa, iż suche wiatry Sahary są obciążone znaczną ilością elektryczności, sądzi, że wiatry zaopatrują ziemię w elektryczność. Za bezpośredni tego dowód uważa zjawisko, dostrzeżone na oceanie południowym, że wiatry północne i południowe wpływają na zboczenia igły magnetycznéj.

Przedstawiwszy treść rozprawy w skróceniu, pójdźmy za przykładem autora i obejmijmy ją jednym rzutem oka. Zawdzięczając

swój byt nierównemu rozdziałowi ciepła na powierzchni ziemi, prądy atmosferyczne grają ważną rolę w życiu ziemi. Jako wiatry wilgotne są one niejako węzłem łączącym ocean z najdalszemi punktami kontynentu, który zaopatrują we wszystkie dobrodziejstwa, otrzymywane przez ziemię od wody; jako suche są w stanie nawet morza zamienić na parę i z obnażonego tym sposobem dna uczynić puste, martwe przestrzenie. W obu razach, jako ruch powietrza poruszają piasek, kurz oraz wodę, i już to budując już niszcząc, zmieniają kształty lądów. Wreszcie mają pewne znaczenie przy wybuchach wulkanicznych. Doprawdy, kończymy słowami p. Czernego, czynnikowi takiemu należy się wybitne stanowisko pomiędzy pozostałemi czynnikami geologicznemi, a autorowi, dodamy od siebie, wdzięczność za uwydatnienie tego faktu, za zebranie bardzo obfitego materyału, służącego mu za dowód.

Charakter niniejszego artykułu zupełnie nas zwalnia od poglądu krytycznego na pracę p. Czernego. Interesujących się tém czytelników odsyłamy do recenzyi prof. J. Trejdosiewicza, pomieszczonéj w październikowym numerze „Przeglądu Krytycznego“ z r. z. Nie możemy jednak wstrzymać się od uwagi, dotyczącéj więcéj formy niż treści, od zarzutu, iż podział na pośrednie i bezpośrednie działania wiatru nie jest oparty na zasadach ścisłych i ma bardzo niejasną podstawę. Według nas, za bezpośrednie działania wiatrów uchodzić może tylko przenoszenie piasku i t. p., wywoływanie prądów powierzchownych, fal, wznoszenie poziomu wody przy brzegach, tamowanie odpływu rzek i niewiele innych zjawisk. Zmywanie zaś gór i t. p. to są już działania pośrednie. Odnoszenie ich bezpośrednio do wiatru jest albo za dalekie, albo za bliskie: bo dzieła te wykonywa albo woda, albo już.... jeśli dalszych przyczyn szukać mamy—słońce.

Bronisław Rejchman.

KRONIKA NAUKOWA.

Wpływ rozrzedzonego i zgęszczonego powietrza na istoty żyjące.

Najzdolniejszy uczeń Klaudyusza Bernarda, Paweł Bert, tak wielką sławę zyskał sobie długoletniemi badaniami nad wpływem zmian ciśnienia barometrycznego na zwierzęta, taki talent eksperymentatorski i taką bystrość umysłu w nich okazał, że uwaga całéj Francyi jest na niego zwrócona, jako na następcę Kl. Bernarda. Nawet Niemcy, tak zawistni sławy naukowéj Francuzom, nie skąpią słów uznania Bertowi.

Wszystkie swe badania tego przedmiotu dotyczące, zamknął Bert w nowo wydaném dziele p. t. „La pression barométrique, recherches de physiologie experimentale“ Paris 1878, a z okazyi wyjścia tego dzieła uważamy za stosowne podać czytelnikom ważniejsze rezultaty, do których doszedł ten znakomity fizyolog.

Wpływ powietrza rozrzedzonego. Wiadomo każdemu, iż gdy się wznosimy od poziomu morza na jakąś znaczną wyniosłość, to ciśnienie powietrza, czyli, co na jedno wychodzi, jego gęstość, coraz bardziéj się zmniejsza, gdyż podlegamy ciśnieniu coraz cieńszéj warstwy atmosfery. Jeżeli barometr przy poziomie morza wskazywał 76 centymetrów, to w miarę wznoszenia się w górę wskazywać będzie 75, 74, 73 itd. Obliczono, że wzniesieniu się na 100 metrów odpowiada mniéj więcéj obniżenie się barometru o 1 centymetr. Gdy więc na brzegu morza rtęć dochodziła do wysokości 76 centymetrów, to na wzniesieniu 1.123 metrów nad poziom morza (wysokość Wezuwiusza) dojdzie tylko do 66 centymetrów, na wzniesieniu 2.432 metrów (przełęcz góry W. St. Bernarda, szczyt Solniska w Tatrach) ciśnienie

barometru wyniesie tylko 56 cent., przy wysokości 3.998 metrów dojdzie do 46 cent., przy 5.920 metrach (najwyższy przesmyk w Himalajach) do 39. Największa wysokość, do którój człowiek wznieść się zdołał w balonie (Glaisher), 8.840 metrów, odpowiada ciśnieniu 24 centymetrów 76 milimetrów, a na ziemi bracia Schalagintweit dosięgli w Himalajach 6.882 metrów, co odpowiada 32 centymetrom ciśnienia barom. Najwyższe wzniesienie na ziemi, szczyt góry Gaurisankar (Mount Everest) w Himalajach, sięga 8.840 metrów, wysokości, na którój Glaisher upadł zemdlony na dno łódki swego balonu.

Rzecz jasna, że takie zmiany w ciśnieniu powietrza na nasz organizm nie mogą pozostać bez wpływu na jego funkcye. I jeżeli w niezbyt wielkich wysokościach jak Vevey, Zakopane itd. pobyt nietylko dla zdrowych, ale i dla chorych jest nader dobroczynny, to z drugiéj znów strony, na bardzo wielkich wysokościach, pojawiają się, naturalnie zależne od indywiduum i innych okoliczności, zaburzenia w organizmie, choroby charakterystyczne, opisane przez wielu podróżników po Alpach, Andach i Himalajach.

Najpierwszym objawem tego wpływu jest uczucie znużenia, wcale nieproporcyonalne do drogi przebytéj, lub pracy wykonanéj; zdaje się, że nogi obciążone zostały ołowiem. Potém oddech staje się krótkim, ciężkim, dychawicznym, puls przyspieszonym; serce bije w sposób przerywany, a uderzenia jego rozlegają się po głowie. Następuje potém szum w uszach, ćmienie w oczach, zawrót głowy i wkrótce niemoc dochodzi do tego stopnia, że podróżny musi się zatrzymać, pod karą zemdlenia. Jednocześnie przyłączają się do tego mdłości lub womity, i cały ten zbiór objawów stanowi charakterystyczną chorobę, zwaną górską (mal des montagnes), przypominającą chorobę morską.

W początkach tych przypadłości, dość jest trochę odpocząć, aby zupełnie znikły, a nagły w tym razie powrót do sił wyraźnie odróżnia tę niemoc szczególną od zwykłego znużenia. Lecz na znaczniejszych wysokościach, gdy już pojawią się cięższe przypadłości, a pomiędzy innemi krwotok z nosa i płuc, odpoczynek nie może już powrócić zdrowia normalnego—choć, bądź co bądź, zawsze przynosi pewną ulgę. Z tego to powodu, jak wszyscy wędrowcy jednogłośnie utrzymują, jeździec czuje się mniéj chorym niż pieszy turysta, gdyż mniéj się trudzi; a przeciwnie, na wysokich płaskowzgórzach północnych Himalajów, każdy szybszy chód, wejście na najmniejszy pagórek, dźwiganie tłomoczka wyczerpują siły człowieka, powalają go na ziemię a czasem śmierci stają się przyczyną. Z tego téż powodu, wysokość daleko późniéj daje się czuć we znaki aeronautom niż tu-

rystom. Pierwsi, nie zużywając sił podczas wznoszenia się, uczuwają niemoc dopiéro minąwszy 6.000 metrów. Przeciwnie zaś w górach, gdzie się trzeba wznosić siłą własnych mięśni, daleko niżéj symptomata te występują. Granica jednak objawiania się ich nie jest stałą. W Alpach nie dają się czuć poniżéj 3.000 metrów, w Andach Boliwii i Peru trzeba przejść wysokość 4.000 metrów, aby wyraźnie wystąpiły, a w Kordylierach podrównikowych oraz Himalajach, jeszcze wyżéj, dla doświadczenia ich, wznieść się trzeba. W ogóle wysokość, w któréj występują, jest w pewnym związku z granicą wiecznych śniegów, i wpływ zimna jest tu zupełnie widocznym. Wpływ miejscowości i indywidualności, jakeśmy wspomnieli, gra tu także ważną rolę, ale nie będziemy się nad nim zastanawiali.

Co za przyczyna sprawia te gwałtowne a tak szczególne przypadłości? Mieszkańcy niektórych górskich okolic przypisują je wpływowi bóstwa, które chce postawić tamę ambitnym zamiarom człowieka. W Andach składają winę na wyziewy metaliczne, szczególniéj antymonu, w Himalajach szukają przyczyny w jakichś trucizmach roślinnych, wydzielanych przez kwiaty, mchy itd. Naturalnie, że te dowolne przypuszczenia nie zasługują na uwagę. Możemy uwzględnić tylko zdania turystów, lekarzy i fizyków, którzy zresztą rozmaicie się na tę kwestyą zapatrują.

Pomiędzy wielu mniéj lub więcéj apriorystycznemi teoryami najpowszechniejszą była ta, którą poparł swą powagę Saussure. Wiadomo, że atmosfera wywiéra na każdy centymetr kwadratowy powierzchni ciśnienie równoważne 1,03 kilogr. Pomnożywszy tę liczbę przez ilość centymetrów kwadratowych, wyrażających powierzchnią ciała ludzkiego, otrzymamy mniéj więcéj 15.000 kilogramów. Tak ogromne ciśnienia wywiéra atmosfera na nasze ciało! Parcie w tkankach naszych opiéra się temu ciśnieniu, i jesteśmy w zupełnéj z niém równowadze. Otóż, jeżeli ciśnienie zewnętrzne zmniejszy się, to jesteśmy jakby pod wpływem ogromnéj bańki. Działanie serca nie jest już wtedy równoważone przez ciśnienie zewnętrzne, potężnieje więc, a ztąd powstają kongestye, przekrwienia i krwotoki z błon śluzowych i skóry, prowadzące za sobą inne przypadłości opisane.

Rzecz zadziwiająca, powiada Bert, iż znakomici uczeni przyjęli tę teoryą tak wyraźnie sprzeczną z prawami fizyki elementarnéj. Cóżby się z nami stało, gdybyśmy zmuszeni byli do dźwigania na swojém ciele ciężaru 15.000 kilogramów i gdyby każda zmiana barometryczna dodawała nam, lub ujmowała 100 lub 200 kilogrammów! Na szczęście, prawie zupełna nieściśliwość naszych tkanek

chroni nas od tych przygnieceń lub i rozprężeń, równie straszliwych.

Inna teorya, wygłoszona najprzód przez Saussure'a, jest daleko poważniejszą. Na szczycie góry Mont-Blanc (4.810 metrów), powiada ten uczony, powietrze jest prawie o połowę lżejsze niż u poziomu morza. Jeśli więc przez płuca nasze przepływa ta sama objętość powietrza co nad morzem, to waga jéj będzie o połowę mniejsza. Ztąd, ilość tlenu pochłanianego przez krew za każdém odetchnięciem będzie dwa razy mniejsza, niż przy zwykłém ciśnieniu powietrza, czyli, że oddychanie będzie niedostateczném. Przyśpieszenie oddychania mające zrównoważyć brak tlenu, jak mówi p. Martins, nie jest wystarczające, albowiem liczba oddechów nie może się podwoić. Jourdanet dodaje, że przy zmniejszoném ciśnieniu, mniejsza ilość tlenu może się rozpuszczać we krwi, a ztąd stan chorobowy, analogiczny z anemią, któremu Jourdanet proponuje nadać nazwę anoxyhemii, który to wyraz oznacza brak tlenu we krwi.

Przeciwko tym poglądom stawiano wiele zarzutów. Saussure'owi odpowiadano, że nawet w atmosferze do połowy rozrzedzonéj, dość jeszcze zostaje tlenu na potrzeby oddychania; zdaniu zaś Jourdaneta przeciwstawiano badania Fernet'a, z których wynika, że ponieważ tlen we krwi znajduje się nie w stanie rozpuszczenia, lecz związku chemicznego, więc ilość jego jest niezależną od ciśnienia barometrycznego. Pomimo tych napozór słusznych zarzutów, doświadczenia Berta przekonały, iż Saussure i Jourdanet mieli słuszność. Według niego, przypadłości, pochodzące od rozrzedzenia powietrza, przypisać należy niedostatecznéj ilości tlenu we krwi, jedném słowem, pewnego rodzaju asfiksyi, uduszenia.

Następujące doświadczenie okazuje w sposób bardzo jasny i niepozostawiający żadnéj wątpliwości, że wpływ mechaniczny zmniejszonego ciśnienia barometrycznego (rozrzedzonego powietrza) jest niczém w szeregu objawów, które rozrzedzone powietrze wywołuje na drodze chemiczno-fizycznéj, i że symptomata te ztąd tylko pochodzą, że krew nie może pochłonąć dostatecznéj ilości tlenu.

Pod dzwonem machiny pneumatycznéj, połączonéj z manometrem, Bert umieścił wróbla i rozrzedzał powietrze. Gdy manometr wskazywał 30 centymetrów ciśnienia powietrza w dzwonie, wróbel okazywał wyraźne znaki niemocy. Gdy spadł do 20 centymetrów zaczął się chwiać i upadł na bok; przy 18 centymetrach rzucał się gwałtownie i zginąłby, gdyby go eksperymentator pozostawił w dalszym ciągu w tych warunkach. Lecz wtedy Bert wpuścił do dzwonu trochę tlenu z worka kauczukowego—i ptak natychmiast przyszedł do siebie. Pozwoliwszy mu oddychać przez czas niejaki tém powietrzem,

Bert zaczął znowu rozrzedzać gaz pod dzwonem. W tym razie przy ciśnieniu 30 a nawet 25 centymetrów wróbel nie dawał znaków słabości i zaczął się mieć niedobrze dopiéro przy 20 centymetrach. Pomimo to można było zmniejszyć ciśnienie do 13 centymetrów, więc do granicy daleko niższéj aniżeli w pierwszym razie, a jednak ptakowi nie zagrażało najmniejsze niebezpieczeństwo.

Po powtórném dodaniu pewnéj ilości tlenu możnaby jeszcze bardziéj obniżyć ciśnienie w dzwonie, bez szkody dla wróbla.

Widoczną więc jest rzeczą, że przyczyną chorobliwych przypadłości było nie zmniejszenie ciśnienia gazu, lecz mniejsza prężność tlenu w powietrzu rozrzedzoném, która nie dozwalała temu gazowi wpływać do krwi w dostatecznéj ilości.

Bert nie ograniczył się na doświadczeniach z wróblami, czynił je także na swoim własnym organizmie i otrzymał rezultaty podobnie interesujące.

Używał do tego wielkich cylindrów z blachy żelaznéj, opatrzonych oknami z grubego szkła. Maszyna parowa rozrzedzała, lub zgęszczała w nich powietrze.

„Umieściłem się w apparacie," powiada Bert, „zaopatrzony w wielki zbiornik tlenu. Następnie, gdy pompa poruszać się zaczęła, doświadczyłem klasycznych przypadłości w skutek zmniejszonego ciśnienia: przyśpieszenia pulsu i oddechu, które najmniejszy ruch bardzo powiększał; niesmaku, mdłości, zaburzeń zmysłowych i umysłowych. Byłem obojętny na wszystko i niezdolny do działania; przeliczywszy raz uderzenia pulsu w ciągu dwudziestu sekund chciałem je pomnożyć przez 3, ale nie mogłem tego uczynić..." Wszystkie te jednak objawy znikły jakby na skutek czarów, gdym odetchnął tlenem z worka."

Najlepszą do tego illustracyą będzie następująca własna jego notatka:

„O 2 minut 30 (ciśnienie zewnętrzne 758 milimetrów) wchodzę i instaluję się wygodnie w cylindrach, mając z sobą worek napełniony powietrzem bardzo bogatém w tlen; obok mnie wisi w klatce wróbel. God. 2 minut 37: drzwi są zamknięte, zaczyna się rozrzedzanie za pomocą pompy pneumatycznéj. Godz. 2 minut 58: ciśnienie 590 milimetrów, puls 70; jestem pod wpływem rozrzedzenia, odpowiadającém mniéj więcéj wysokości Meksyku: 2,150 metrów. Godz. 3 minut 12: 450 milimetrów, puls 84; jestto rozrzedzenie w Calamarca, na wysokości 4,150 metrów; czuję jakieś objawy mdłości. Godz. 3 minut 14: 450 milimetrów, puls spada na 80, mdłości znikają; brzuch nieco wzdęty, czuję kongestyą w twarzy i lekkie ćmie-

nie w oczach. Godz. 3 minut 17: 430 milimetrów; puls 84, wdycham tlen trzy razy; puls spada na 78; trochę ćmi w oczach. O godzinie 3 minut 21 ciśnienie wynosi tylko 418 milimetrów, co odpowiada wysokości Mont-Blanc, 4.800 metrów; puls ciągle spada, po kilku odetchnieniach tlenem wynosi tylko 70; przy każdym oddechu ćmienie w oczach.....“

Na wzorze graficznym, który Bert dodaje do tego ustępu, widzimy, że w miarę zmniejszania się ciśnienia, powiększała się ilość uderzeń pulsu. Przy ciśnieniu 41,8 centymetrów (odpowiadającém wysokości Mont-Blanc), puls z 60 podniósł się na 84. W téj chwili Bert dwa czy trzy razy odetchnął tlenem i puls natychmiast spadł na 71. Przestał wciągać tlen i zaczął się poruszać, w téj chwili puls podniósł się do 100 i za wdechnięciem tlenu spadł znowu na 70. W ciągu godziny i minut dwudziestu, przy ciśnieniu 40—50 centymetrów, Bert wywoływał dowolnie te nagłe oscyllacye pulsu, zmieniając je nagle o 10 lub 20 uderzeń. Nawiasowo zaznacza Bert w tém miejscu, że już tego doświadczenia nie powtórzy więcéj, gdyż wieczorem poczuł objawy lekkiéj kongestyi, które przypisuje tym gwałtownym zmianom w krążeniu krwi w mózgu.

Przeciwnie, jeśli przy doświadczeniach tego rodzaju oddychał bez przerwy tlenem, nie doznawał żadnych szkodliwych skutków. W chwili mianowicie, gdy z obniżeniem się ciśnienia do 40 centymetrów puls doszedł do 85, Bert przyłożył do ust rurkę od worka z tlenem, puls spadł na 65 i pozostał na tym stopniu przez cały czas doświadczenia a nawet pod koniec spadł aż na 48. W ciągu tego czasu ciśnienie w apparacie obniżyło się do 24,6 centymetrów, co odpowiada wysokości najwyższego z szczytów Himalajów, tak niebezpiecznéj dla turystów i aeronautów. Bert wytrzymał to ciśnienie bez żadnego wrażenia słabości, i nieprzyjemne uczucie, które z początku wystąpiło, znikło zupełnie. Jednakże wiszący obok niego w klatce wróbel, leżał na boku, bardzo chory, gdyż nie dostawał tlenu. Bert chciał ciśnienie wewnętrzne obniżyć do tego stopnia, aby wróbel umarł, dla dowiedzenia się, w jakim stanie sam się znajdować będzie (oddychając tlenem), przy ciśnieniu w którém życie jest już niemożliwém; — ale machina parowa, będąca, jak podejrzywa Bert, w porozumieniu z osobami, które na niego przez okna patrzyły, odmówiła usług, i fizyolog rad nie rad musiał powrócić do ciśnienia normalnego. Przybliżył też rurkę od tlenu do dzióbka wróbla: ptak wkrótce powrócił do siebie i oba objekty doświadczenia opuściły apparat, który, jak się Bert wyraża, był przykrym tylko dla wróbla.

Następnie doświadczeniu temu poddały się dwie inne osoby.

I one, tak samo jak Bert, doznały podobnych przypadłości oraz dobroczynnego wpływu tlenu. Osobami temi byli Crocé-Spinelli i Sivel, dwaj nieustraszeni żeglarze nadpowietrzni, którzy potém padli ofiarą rozrzedzonego powietrza w wysokich regionach. Crocé-Spinelli, który był bardzo czułym na wpływ rozrzedzonego powietrza, miał wargi i uszy czarne i już prawie nie widział przed sobą papiéru, gdy zdecydował się odetchnąć tlenem. Po użyciu tego gazu, doznał gwałtownéj zmiany na dobre i natychmiast był zdolnym do pisania.

Mówiąc nawiasem, przyczyną śmierci Crocé-Spineli'ego i Sivel'a w balonie, było to, że nie uciekli się do użycia tlenu. Wprawdzie wznieśli się aż do 8.600 metrów, ale ciśnienie powietrza było tam jeszcze większe niż to, które Bert wytrzymał przy pomocy wdychania tlenu. Aeronauci wzięli z sobą ten gaz ożywczy, lecz w tak małéj ilości, że musieli być oszczędni i postanowili użyć go tylko w ostateczności. Tymczasem w chwili, kiedy już niemoc do najwyższego stopnia doszła, żaden z nich nie mógł sięgnąć do wysoko przyczepionéj rurki od gazu, i z trzech aeronautów pozostał przy życiu tylko jeden, G. Tissandier, który jednak zemdleniem i długą chorobą za tę wybujałą odwagę zapłacił.

Doświadczenia więc uskutecznione w cylindrach żelaznych dowodnie wykazują, iż przypadłości powyższe zależą wyłącznie tylko od prężności tlenu w powietrzu wdychaném. Aeronauta, oddychający powietrzem do połowy rozrzedzoném a mającém tak jak na powierzchni ziemi 21% tlenu, znajduje się w takiém samém położeniu, jak człowiek, któryby przy ciśnieniu normalném atmosfery, oddychał powietrzem zawierającém tylko 10½% tlenu. Rzecz więc jasna, iż utlenianie jego krwi nie jest dostateczne i że mu grozi uduszenie: ztąd to ten oddech przyśpieszony, usiłujący dostarczyć krwi tlenu, którego jéj brak, ztąd szybsze uderzenia serca i wreszcie osłabienie nerwów i mięśni.

Gdyby turysta, którego krew w wysokich strefach jest w ten sposób zubożoną, pozostawał w zupełnym spoczynku, nie uczułby wielkich przykrości, gdyż do utrzymania w zdrowiu ciała będącego w spoczynku niewiele potrzeba tlenu. Ale nie dlatego wzniósł się on w sfery, gdzie ciśnienie jest małe, aby odpoczywał. Pragnie wznieść się wyżéj, musi dźwigać ciężar własnego ciała i na ten expens sił musi zużyć pewną ilość tlenu, któréj krew tkankom nie może dostarczyć. Następują więc zaburzenia, które tylko za pomocą wypoczynku można złagodzić. Dla téj właśnie przyczyny *choroba balonowa* pojawia się u aeronautów — nie wykonywających żadnéj pracy — w daleko wyższych sferach, niż u turystów *choroba górska.*

Im zimniejsze jest powietrze na górach, tém wcześniéj, tém niżéj pojawiają się przypadłości choroby; w zimnéj bowiem temperaturze organizm musi zużyć daleko więcéj tlenu, niż w ciepłéj do utrzymania stałéj temperatury ciała. A zkąd wziąć tego tlenu, jeśli go ze krwią tak mało do tkanek przybywa? To nam tłómaczy dlaczego w Alpach choroba górska występuje na mniejszych wysokościach niż w Andach i Himalajach, o czém na początku wspomnieliśmy.

Powietrze zgęszczone. Lekarze, już oddawna posługujący się zgęszczoném powietrzem przy leczeniu anemii, chronicznych zapaleń oskrzeli, astmy emfizematycznéj i t. d., zauważyli, że pod większém ciśnieniem powietrza zmniejsza się ilość ruchów serca i płuc oraz powiększenie głębokości oddechu. Dla Berta obserwacye te nie miały wielkiego znaczenia, gdyż lekarze powiększają tylko o $1/3$, lub o połowę ciśnienie atmosfery, Bertowi zaś chodziło o skutki parcia kilku atmosfer, zastosowywanego teraz coraz częściéj w przemyśle, przy budowie filarów mostowych, oraz przy poszukiwaniu pereł szczątków okrętów na dnie morza i t. d.

Wiadomo, że nurek przedsiębiorący podobne poszukiwania opancerza swą głowę w pewnego rodzaju kołpak metalowy, skafander, opatrzony otworami oszklonemi dopuszczającemi światło. W kołpak ten wtłacza się powietrze za pomocą pompy zgęszczającéj, przez odpowiednie otwory. Z kołpaka wchodzi także powietrze do zwierzchniego ubrania, zrobionego z materyału nieprzemakalnego. Rzecz jasna, iż ciśnienie powietrza, którym nurek oddycha, powinno się zupełnie równoważyć z ciśnieniem wody w téj głębi, do któréj się zanurzył; w przeciwnym razie śmierć jest nieunikniona. Dawniéj wtłaczano powietrze do skafandra z statku, teraz umieszcza się na grzbiecie nurka bardzo dowcipnie obmyślony rezerwoar ze zgęszczoném powietrzem. Tak zabezpieczony nurek może się zanurzyć na 40 metrów w głąb morza, oddychając powietrzem, tylko pod ciśnieniem pięciu atmosfer będącém.

Aparat do budowy filarów uważać można za udoskonalenie dawniéj już znanego dzwonu nurków. Jestto wielka rura (keson), którą stawia się na dnie w tém miejscu, gdzie ma filar przypaść. U góry ma ona komorę, w którą się wdyma powietrze za pomocą machiny. Powietrze to, będąc z wielką siłą wtłaczane w keson, nie dozwala wodzie wpływać doń przez grunt, na którym stoi. W ten sposób robotnik umieszczony w kesonie może swobodnie kopać, dopóki nie natrafi na skałę, dającą dobrą podstawę. Keson sam się zsuwa coraz niżéj mocą swego ciężaru. Gdy kopanie jest

ukończoném, wypełnia się keson masą betonu i podstawa filaru jest gotowa.

W tym aparacie trzeba używać także zwykle ciśnienia, dochodzącego do pięciu atmosfer.

Jak u nurków, tak też u robotników pracujących w kesonach pojawiają się przypadłości tak ciężkie, że często kończą się śmiercią. W mniejszym stopniu występują one jako nieznośne świerzbienie, później zaś pojawiają się gwałtowne bóle w mięśniach i stawach, które najwięcéj pracowały; daléj porażenia, przedewszystkiem kończyn dolnych, porażenia często stałe i śmiertelne, nakoniec śmierć nagła. Z 160 robotników zajętych przy budowie filarów pod most w St. Louis (Stan Missouri), 30 przypłaciło tę pracę ciężką chorobą a 12 umarło.

Pytamy się znowu jaka jest przyczyna tych przypadłości? Przypisywano je tak jak i przypadłości w skutek rozrzedzenia powietrza, działaniu mechanicznemu ciśnienia. „Po wejściu do kesonu człowiek zostaje spłaszczonym“—tłómaczy pewien autor. Bert dowcipnie odpowiada na to, że rzeczywiście, jeśli przypuścimy, że trzy atmosfery ciśnienia dodają do przygniatającego nas brzemienia 45.000 kilogramów, to z pewnością zostalibyśmy przynajmniéj spłaszczeni. Na szczęście, dodaje z złośliwością Bert, chroni nas od tego fizyka elementarna.

Zauważono już dawno, że niebezpieczeństwo grozi tylko podczas wychodzenia z kesonu. „Płaci się tylko przy wyjściu“ mawiali robotnicy zajęci przy moście pod Kehl. Rzeczywiście tak się rzecz ma, że nie ciśnienie, lecz rozrzedzanie się ściésnionego powietrza bywa tu przyczyną złego.

Dla udowodnienia téj tezy, Bert wsadzał szczura pod dzwon szklany, w którym doprowadzał powietrze do prężności dziesięciu atmosfer. Następnie odkręcał kurek i przywracał nagle ciśnienie normalne: szczur wtedy wywrócił kilka koziołków i padł martwy. Bezpośrednio potém dokonana autopsya okazała, że serce i większe naczynia są wypełnione znaczną ilością gazu. Gaz ten składa się z azotu z małą domieszką kwasu węglanego.

Z faktu tego łatwo pojąć co się stało, gdy zwierzę uległo tak kolosalnéj zmianie ciśnienia. W atmosferze zgęszczonej krew pochłonęła znaczną ilość powietrza. Gdy nastąpiło ciśnienie normalne, gazy, któremi krew była przepełniona, powróciły do stanu swobodnego, tak jak w odkorkowanéj butelce wody sodowéj. Tlen powietrza, jako łączący się natychmiast chemicznie ze krwią, pozostał w niéj, lecz azot, zabiérając z sobą kwas węglany, rozprężył się

w sercu i naczyniach, wywołując śmierć w skutek zatamowania obiegu krwi.

Nie należy jednak na téj zasadzie wnosić, iż powietrze zgęszczone jest *jako takie* nieszkodliwém. I owszem, doświadczenia dowodzą, iż rzecz się ma przeciwnie,—jeśli tylko dla jasności rezultatów użyjemy bardzo wysokich ciśnień. Wróbel, poddany ciśnieniu 20 atmosfer. już po kilku minutach zaczyna drżeć, i drżenie to coraz bardziéj się wzmaga do tego stopnia, że przechodzi w konwulsyą, cięższą aniżeli po otruciu strychniną; wkrótce téż umiéra. Możnaby sądzić, że są to skutki olbrzymiego ciśnienia. Lecz następujące okoliczności przekonywają, iż tak nie jest. Najprzód, objawy te można wywołać i przy ciśnieniu pięciu atmosfer, jeżeli użyjemy tlenu zamiast powietrza, które przy takiém ciśnieniu nic szczególnego nie przedstawia; i powtóre, przypadłości te nie występują nawet przy 20 atmosferach ciśnienia, jeśli zamiast powietrza zwykłego, wtłaczać będziemy pod dzwon powietrze, zawierające bardzo małą ilość tlenu.

I tu więc przyczyna złego leży w tlenie, tylko rzecz się ma przeciwnie, tj. że tlen przy *zbyt wielkiéj* prężności zabija zwierzęta. Ten więc pierwiastek, który jest niezbędnym do życia, jest zarazem trucizną. W jaki sposób działa on na organizm trująco?

Zdawałoby się a priori, że tlen, który służy do podtrzymywania wewnętrznego gorzenia w naszym organizmie, będąc w nadmiarze, zabija w ten sposób, że wzmaga do wysokiego stopnia gorzenie organiczne, że spala zbyt prędko tkanki zwierzęcia, zużywa ich materyały, że podnosi temperaturę ciała do wysokiego stopnia. Jednakże, ku nadzwyczajnemu zdumieniu Berta, okazały się zupełnie przeciwne symptomaty. Termometr wskazał u wróbla, będącego w konwulsyach, obniżenie temperatury o kilka stopni. Rozbiór innych objawów doprowadził do tego samego rezultatu, i Bert przekonał się ostatecznie, iż nadmiar tlenu truje dlatego, że *tamuje*, *wstrzymuje utlenianie się tkanek organizmu.*

Żadna istota żyjąca nie może uniknąć trującego wpływu tlenu przy wysokiém ciśnieniu. Czy to roślina, czy zwierzę kręgowe czy bezkręgowe, powietrzne czy wodne, wielkie i złożone, czy mikroskopijne i proste, wszystko to pada pod zabójczém tchnieniem zgęszczonego powietrza.

Ludziom więc pracującym w kesonach szkodzi nietylko przejście do powietrza rzadszego, ale i bezpośredni wpływ powietrza zgęszczonego. Przy ciśnieniu pięciu atmosfer, działanie trujące nie jest widoczném, ale Bert przypuszcza, że szkodzi ono po kilkomiesięcznéj pracy w kesonach. Przy wyższych zaś ciśnieniach, przechodzą-

cych sześć atmosfer, wpływ trujący tlenu bezwarunkowo odrazu się objawia.

Badania te, oprócz bezpośrednich rezultatów teoretycznych i praktycznych, powinny być wzięte pod uwagę przy zaciekaniach się w ciemność, ogarniającą historyą początkową życia na ziemi. Są pewne fakta naprowadzające na wniosek, przyjęty przez ogół geologów, że w dawniejszych okresach geologicznych ciśnienie atmosferyczne było znacznie większe aniżeli dzisiaj. Czém i o ile różniły się ówczesne rośliny i zwierzęta od dzisiejszych, przy jakich warunkach ciśnienia powstanie ich stało się możliwém? Nadto, ponieważ ziemia ciągle zabiéra tlen z powietrza, zkąd parcie jego staje się coraz mniejszém, więc rodzi się znowu pytanie: jakie i, mniéj więcéj, kiedy wynikną skutki dla istot żyjących? Od czasu badań Berta historycy życia na ziemi nie pominą tych względów w swych wywodach.

Bronisław Rejchman.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

W ubiegłym miesiącu najżywiéj zajęły Warszawę odczyty profesora hr. Tarnowskiego. W ciągu tych trzech odczytów, publiczność zapatrzona i zasłuchana chwytała każde słowo wykwintnego mówcy, zapał uwielbienia dochodził zdaje się do swego zenitu, szczególnie wśród pięknéj połowy słuchaczów. Wszyscy prawie krytycy nasi, którzy jednak niezawsze podzielają zapały i uniesienia publiczności, przeciągłym echem powtarzali o odczytach prelegenta takie same superlatywa uwielbienia, z jakich powtarzania o Mickiewiczu i jego arcydziele sam mówca czuł potrzebę tłómaczenia się przed publicznością.

Oklaski publiczności i pochwały krytyków były usprawiedliwione. Tylko z ambony kościelnéj i kilka razy do roku z katedry w ratuszu, możemy słyszéć wypowiadane w naszym języku prawdy moralne lub naukowe, zbyt więc rzadko zdarza się nam sposobność słyszenia mówców wyższego rzędu, i dlatego wznieść się do prawdziwie krytycznego ocenienia zalet autora nikt chyba u nas nie potrafi, bo braknie nam punktów porównania, naturalnie więc, że to co piękne wielbimy bezwarunkowo.

Wymowa profesora Tarnowskiego jednych mniéj drugich więcéj zachwycała, ale podobała się wszystkim. Nic dziwnego: głos pełny i dźwięczny, deklamacya mistrzowska, chociaż nie bez przesady w pewnych modulacyach, styl wytworny, a nadewszystko sam przedmiot wszystkim znany i przez wszystkich ukochany, byłyby już dostatecznym warunkiem powodzenia dla każdego, ktoby z podobnemi przymiotami chciał mówić o Panu Tadeuszu. Témci zupełniejszém musiało być powodzenie prelekcyi w tym razie, gdy

obok wskazanych wyżéj zalet zewnętrznych widniały w odczytach: znajomość literatury wszystkich niemal narodów europejskich, wysokie estetyczne wykształcenie, umiejętność przedstawiania każdego obrazu z najpiękniejszéj strony, przyodziania każdéj myśli w najmilsze wyrazy i podawania jéj w dozie zupełnie odpowiedniéj upodobaniom słuchaczy. Dziwić więc nikogo nie może ani zainteresowanie publiczności, ani przyjemność odniesionych przez nią wrażeń.

Odczyty były pięknie wypowiedzianym komentarzem wszystkich wielkich piękności poematu, który jako arcydzieło naszéj poezyi, nieustępujące w niczém lepszym utworom pierwszych poetów cywilizowanego świata, nie mógł naturalnie dawać powodów lub materyi do nagany i zarzutów. Wolelibyśmy może, żeby prelegent nie o saméj tylko estetycznéj stronie poematu mówił tak szeroko, obfitsze użycie metody porównawczéj lepiéjby zapewne uwydatniło piękności poematu, aniżeli same pochwały, ale kilka ustępów, w których zwrócono uwagę na moralne znaczenie obrazów przez poetę skréślonych, tak żywo zajęły publiczność, że większa ilość tego pokarmu pewnoby spotęgowała jeszcze uniesienia, a bodaj i pożytek, wyrywając mówcę i publiczność z zaczarowanego koła jednostronnéj tylko, a przez to trochę nużącéj admiracyi.

W głębokich i prawdziwie wielkich myślach poety tkwi materyał do komentarzy nieskończonych, nie myślimy przeto wcale robić zarzutu z tego, że prelegent niewszystko wyczerpał. Byłoby istném niepodobieństwem w ciągu trzech odczytów wyjaśnić, a choćby tylko wytknąć to, nad czém długo myśléć i o czém długo pisać będą krytycy. Zadanie byłoby tém trudniejsze, że poemat dotychczas prawie jeszcze nie był analizowany, dwa pokolenia karmiły się nim i ukochały go całą duszą, ale jeszcze mało kto odważył się śmiałą ręką rozbiérać go na części składowe, wykazywać zkąd się one wzięły, jak się kształtowały. Pewni jesteśmy, że podobne traktowanie analityczne, którego próby już dokonano i w naszém piśmie (1), a które z czasem rozwijać się musi, nietylko nie poniży, ale owszem podniesie jeszcze wyżéj znaczenie poematu we wszystkich kierunkach, bo uczyni go dla nas nietylko miłym i ukochanym, ale nauczającym i pożytecznym.

Lecz skoro poematu w tym kierunku dotychczas nieopracowano dostatecznie, zniewoleni jesteśmy wyznać, że prelegent w zakrésie, jaki sobie zaznaczył, wywiązał się z zadania swego arcyświetnie; zestawił piękności opisów natury, uwydatnił różnice lub

---

(1) „Ateneum" r. 1877.

podobieństwa w charakterach osób działających, podniósł niezwykły talent poety w kreśleniu obrazów tłumnego zgromadzenia i saméj akcyi tłumu, a nadewszystko w prowadzeniu opowiadania, w którém akcya rozwija się sama przed czytelnikiem, bez objaśnień lub komentarzy ze strony autora, najszczęśliwsze splatanie drobnostek codziennego życia z żywszemi i gwałtowniejszemi namiętnościami, rysowanie się tych namiętności na tle publicznego życia w kraju i na tle widniejących w dalszéj perspektywie wielkich wypadków dziejowych; wszystkie te zalety poety krytyk uwydatnił po mistrzowsku. Dla nas (a mniemamy, że i dla bardzo wielu słuchaczów) najwyższą miały wartość: ustęp, charakteryzujący owę gwarną naradę w zaścianku, i ocena moralnéj strony Robaka. Tak, błądzić jest rzeczą ludzką, ale rzadki jest błąd, któregoby żal w połączeniu z silną wolą okryć nie mogły; jeno że o ten żal, a jeszcze bardziéj o silną wolę, nie łatwo, i częściéj Radziejowskich aniżeli Robaków widziéć się zdarza, niech przeto Robak za przestrogę służy. Słuchając tego co mówca nie rozwijał, lecz napomykał zlekka, nabraliśmy przekonania, że jeżeliby zechciał mógłby i w téj materyi dużo rzeczy wytłómaczyć.

Niezmiernie téż za serce ujęło publiczność wyznaczenie Panu Tadeuszowi miejsca najpierwszego pomiędzy epickiemi utworami poetów europejskich. Twierdzenie to, postawione zaraz na wstępie pierwszego odczytu, prelegent motywował i udowadniał przy końcu odczytu trzeciego. Porównanie z Orlandem Szalonym, z Jerozolimą Wyzwoloną, z Rajem Utraconym, z Hermanem i Dorotą wypadło na korzyść naszego poematu; tutaj musimy tylko żałować, że porównania te tak nakoniec zepchnięte musiały być bardzo krótko traktowane, że krytyk szerzéj ich nie rozwinął, a poprzestał tylko na ogólnych cechach tych poematów; wolelibyśmy poświęcić kilka ustępów z komentarza, za wyraźniejsze i dobitniejsze dowody, za co tak chlubne stanowisko należy się naszemu poecie. Byłoby to dla publiczności korzystniéj, a nawet przyjemniéj, wyjść z odczytu z dokładniejszém pojęciem: dlaczego Pan Tadeusz jednym tylko utworom Homera ustąpić może pierwszeństwa, aniżeli powtarzać to na wiarę słów prelegenta.

Dnia 14 Kwietnia odbył się pogrzeb ś. p. Leopolda Kronenberga; śmierć coraz to częściéj zabiéra z pomiędzy nas energicznych działaczy starszego pokolenia. Boleśnie odczuwamy stratę tych sił wypróbowanych, które niemałe położyły zasługi w robocie społecznéj. Głównym polem działania ś. p. Leopolda Kronen-

berga była Warszawa, wielkie jego zdolności umysłowe i śmiała przedsiębierczość, ale nadewszystko dzielność charakteru i żelazna wytrwałość w pracy zaprowadziły go ze skromnego kantoru wekslarsko-bankierskiego na stanowisko pierwszorzędnéj potęgi finansowéj w naszym kraju, poważanéj i szanowanéj na rynkach Europejskich.

Publiczność ceniła w nim za życia i uczciła po śmierci człowieka, który nietylko sam był twórcą ogromnéj fortuny, ale energią i bystry rozum łączył z zacnością obywatelską, ze szczerą i gorącą miłością swego społeczeństwa; był on nietylko śmiałym przedsiębiercą, ale pierwszy podjął inicyatywę organizowania przemysłu na wielką skalę; za jego staraniem i pod jego kierunkiem urządziła się i uporządkowała giełda Warszawska, regulująca stosunki handlowe; za jego wpływem powstała nie jedna instytucya finansowa, nie jeden zakład naukowy.

Żyjąc w czasach spekulacyjnego obłędu, nie dał się uwieść pokusom założycielstwa i gry giełdowéj, nie sięgał po łatwe zyski spekulanta, ale pracą rozumną przemysł w kraju krzewił; podnosił i w wysokim stopniu posiadał ten przymiot ludzi wyższego umysłu, że do osiągnienia swych celów najczęściéj musiał używać środków właściwych w porze właściwéj.

Roboty społeczne, jakie nam się do prowadzenia dostają, wymagają bodaj przedewszystkiém cierpliwości i wytrwałości, zapewne téż w skutek silnego potrzebowania tych cnót czujemy ich brak i niedostatek. Łatwo dostrzegamy czego nam potrzeba, nie trudno téż nam zrozumiéć w jaki sposób zaradzićby temu można, ale przy spełnieniu błogich zamiarów trafiamy na trudności, które nie zawsze umiemy przezwyciężyć. Wszystkie pisma nasze przepełniają się narzekaniem, że to lub owo nie zrobione; w pobieżnych artykułach literatów, w urywkowych korespondencyach obywateli kraju, zjawiają się coraz to nowe projekta ulepszeń i udoskonaleń, które, powstałe z chwilowego zwrócenia uwagi na jakiś niedostatek, zaognią na chwilę wyobraźnią, rzucą maleńki obrazek lub zarys tego coby mogło być lepiéj, zaciekawią na dni kilka czytelników i przebrzmią bez skutku i śladu. Wskazówki te często przybiérają formę pretensyi do jednych lub drugich grup społecznych i nie raz schodzą na fałszywą drogę, domagając się od ogółu i sił wspólnych, czegoś takiego, czego ten ogół zrobić nie może; ogół każdy, jako

taki, zdolny jest do wybuchów namiętności, ale nie do pracy stałéj; wszelką pracę prowadzą zawsze jednostki, i one dopiéro mogą skupić koło siebie mniéj więcéj poważne grupy sił społecznych. Codzień niemal zdarza się nam czytać skargi na niedość dobre urządzenie szkółek wiejskich, na nieodpowiedni stosunek między potrzebami ludności a ilością, lub jakością zakładów naukowych, na niesprawiedliwość w rozkładaniu ciężarów gminnych, na nieumiejętne użycie lub marnowanie środków w rozporządzeniu gmin zostających, na zły stan dróg w kraju, na brak przemysłowych przedsiębierców, na nieracyonalne prowadzenie handlu. Jeżeliby praca społeczna mogła być czułą na działanie tych wszystkich tak hojnie udzielonych jéj bodźców i mogła do nich stosować swe kroki, prędkobyśmy się wielu pięknych rzeczy doczekali. Ale robota nie posuwa się naprzód, bo brak największy tych, coby ją sami robili; wszędzie na świecie ludzi gotowych do rady więcéj jest niźli gotowych do roboty, ale u nas w skutek słabéj możności brania udziału w praktyce interesów publicznych, rozwija się nadmiernie teoretyczne pojęcie o znaczeniu i doniosłości pracy społecznéj, stawiamy żądania bez końca, ale do spełnienia ich prawie nikt nie czuje się obowiązanym, bo zbyt wiele trudności tu się spotyka, i dlatego to więcéj może niż gdzieindziéj, potrzebni są nam ludzie wytrwali, obdarzeni zmysłem praktycznym, którzyby umieli chęci swe rozmierzyć z siłami, brać się do tego czego mogą dokonać, i do końca doprowadzać to, co zaczęli.

Wszelka robota musi być robiona przez kogoś, który ją rozpocznie i skończy, ale praca około dobra społecznego najczęściéj przewyższa siły pojedynczéj osoby i wchodzi w zakrés działania instytucyj, lub urzędów. W naszym kraju w skutek wstrząśnień i przewrotów, przez które przechodziliśmy, władze administracyjne są więcéj niż gdzieindziéj, podejrzliwe i nieufne, szczególnie względem oświeconych klas ludności, a każdy człowiek, którzyby chciał rozpocząć na szerszą skalę jakiekolwiek ogólnie pożyteczne roboty, musi zjednać sobie ich poparcie. Tutaj leży główna trudność wszelkiego skutecznego działania; bo nie dość wypowiedziéć, że to lub owo źle się dzieje, że trzeba nadużycia usunąć, lub szczególną baczność zwrócić na pewny przedmiot, ale trzeba jeszcze dokładnie i namacalnie prawie wskazać urzędom praktyczność proponowanych ulepszeń, praktyczne środki i sposoby przeprowadzenia ich i granice, do których one dojść mogą w obecnym czasie. Naczelnik powiatu nie może miéć interesu w złém utrzymywaniu dróg w powiecie, władze administracyjne nie mogą żądać, aby gminy zaniedbywały swe interesa, lub niesłusznie rozkładały ciężary publiczne pomiędzy swych

członków, nakoniec nie może nie być w interesie państwa usuwanie zawad jakie przemysł lub handel napotykają, ale ażeby usiłowanie prywatnych ludzi we wszystkich tych czynnościach mogły osiągnąć pożądany skutek, muszą one dochodzić do porozumienia z władzami publicznemi. Kto zechce wziąć inicyatywę ulepszeń w zarządzie gminnym musi porozumiéć się w téj materyi z naczelnikiem powiatu, a jeżeli zapatrywania ich na ten przedmiot są różne, musi pierwéj, nim czego dokaże, przekonać naczelnika powiatu, a może i naczelnika gubernii: że ma słuszność; że zamiary jego nie sprzeciwiają się prawu, a są zarazem dla ogółu pożyteczne, i to samo dziać się musi we wszystkich czynnościach, do których władze krajowe wpływają. Czy pracownicy nasi na téj drodze mają dostateczny zasób wytrwałości, aby swoje zbawienne zamiary czy projekta przeprowadzić w życie?

Jeżelibyśmy częściéj i wytrwaléj próbowali tego jedynie praktycznego środka, możeby stan dróg był lepszy, i ilość zakładów naukowych odpowiedniejsza potrzebom, i kontrola gminnych rozchodów i rozkład ciężarów mogłyby się lepiéj prowadzić. Do publicystów należałoby wtedy wskazywać zakrés działania dozwolonego przez prawo i rozjaśniać drogi, na których każdy człowiek dobréj woli mógłby szukać władz odpowiednich do okazania mu właściwéj pomocy, lub poparcia wprowadzenia zamierzonych robót.

* *
*

Reforma włościańska, dokonana w kraju naszym przed kilkunasty laty, wywołała wielkie zmiany w stosunkach własności ziemskiéj. Większa własność, nieprzygotowana do tak nagłéj i radykalnéj reformy, widziała się zagrożoną w swym bycie nietyle z powodu ubytku ziemi, ile z powodu nowo wytworzonych służebności i braku kapitału obrotowego, koniecznego przy nowém gospodarstwie na opłacenie robotnika, powiększenie inwentarza, rozszerzenie zabudowań i t. p.

Jak to zwykle się dzieje po wielkich katastrofach, dotknięci nową reformą zostali nią z początku odurzeni, nie byli w stanie zdać sobie sprawy z nowego położenia, nie mogli na razie znaléść środków zaradczych. Powoli jednak widnokrąg się rozjaśnia, ludzie oswajają się z nowemi stosunkami, do nich się zastosowują i zastanawiać się poczynają nad środkami nietylko egzystencyi w nowych warunkach życia, ale znalezienia w nich pomyślności i rozwoju.

Jedną z najważniejszych potrzeb rolnictwa jest tani i dogodny kredyt. W poczuciu i zadośćuczynieniu téj potrzebie wyjednano w roku 1869 nowe przepisy udzielania pożyczek przez Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, ułatwiono rolnikom możność korzystania z kredytu instytucyj bankowych, w poczuciu wreszcie téj potrzeby agituje się od wielu lat projekt banku hipotecznego.

Po półwiekowéj w kraju naszym działalności z wielkim dla rolnictwa pożytkiem wzorowéj instytucyi kredytu ziemskiego, na wzajemności opartéj, projekt banku akcyjnego nie jest popularny, i sfery interesowane w miejsce téj nowéj instytucyi wolałyby, aby silniejsze Towarzystwo Kredytowe rozszerzyło zakrés swojéj działalności i samo zaspokoiło wielkie potrzeby kredytu tak ziemskiego, jak i rolniczego.

Tą tendencyą nacechowany jest artykuł zamieszczony w Niwie, p. t. Przyczynek do rozjaśnienia kwestyi Banku Hipotecznego, napisany przez zdolnego pisarza w materyach ekonomicznych, kryjącego sie pod pseudonimem Młynarza z nad Warty. Z treścią tego artykułu „Ateneum“ zapoznało już swoich czytelników w kronice miesięcznéj za miesiąc Marzec. Praca ta jednak, traktowana nader poważnie i z wielką znajomością przedmiotu, dotykająca przytém kwestyi wielkiéj doniosłości nie jest faktem, dla którego dostateczną byłaby zwykła kronikarska wzmianka, ale na bliższe i głębsze zastanowienie się zasługuje.

Autor, stawiając sobie pytanie, czy zdobycie przez rolnictwo kredytu za pośrednictwem banku hipotecznego byłoby dogodne, dochodzi, po rozpatrzeniu ustaw rosyjskich banków ziemskich i agitujących się u nas projektów, do wniosku, iż kredyt ten byłby drogi i niedogodny i zmiażdżiłby niebacznego, którzyby wpadł w sferę jego działalności.

Zobaczmy czy konkluzya ta jest usprawiedliwioną. Młynarz z nad Warty przyznaje, iż przecięciowy procent od długów ubezpieczonych na pewnych numerach hipotecznych, po Towarzystwie Kredytowém wynosi w kraju naszym 9%. Wedle rachuby autora, opartéj na tych danych, że bilety zastawne banku hipotecznego przynosić będą 6%, kurs tych listów nie będzie wyższy nad 85%; zysk zaś akcyonaryuszów oprócz zwykłéj dywidendy wynosić będzie aż 16%—21% superdywidendy, obowiązki płatnicze dłużnika na opłacenie procentu i amortyzacyi wynosić będą 9½% rocznie.

Przypuściwszy, iż wszystkie powyższe dane są usprawiedliwione, to jeszcze bank hipoteczny, którego pożyczka w ciągu lat 43½ w zupełności umorzoną zostanie opłatą 9½% rocznie, nietylko nie zmiażdżi niebacznego, wpadającego pod jego druzgocące

koła, a nawet nie pogorszy jego dotychczasowego położenia, skoro on dzisiaj płaci samego procentu 9% rocznie od długu, którego wymagalność każdego półrocza, a najdaléj roku wisi nad głową jego jak miecz Damoklesa. Autor zbyt lekceważy zasadę amortyzacyi, skoro twierdzi, że nim słońce wejdzie, rosa oczy wyje. Do pomyślności polepszenia bytu nie drogą losu, albo hazardowéj spekulacyi, ale pracą i oszczędnością nie dochodzi się nigdy w mgnieniu oka, ale długoletnią cierpliwością. Amortyzacya ma tę zasługę, iż do cierpliwości zmusza, iż téj trudnéj cnoty, jaką jest oszczędność, nie pozostawia na łasce lub nie łasce wystawionego na tysiączne pokusy człowieka, ale przymusem ją zdobywa, że wreszcie ofiara, jaką czyni oszczędzający za pomocą amortyzacyi, jest prawie niewidoczna, a tém samém łatwa do ponoszenia.

A teraz zobaczmy, czy dane, z których autor wyprowadza powyższe wnioski, są rzeczywiście pewnikami. Przecięciowa stopa procentowa od pożyczek lokowanych na nieruchomościach miasta Warszawy wynosi 8%. Wiadomo, z jakim wstrętem kapitaliści lokują kapitały swoje na dobrach ziemskich. Wstręt ten wzrasta w miarę odległości dóbr od Warszawy. Do przezwyciężenia tego wstrętu przewyżka jednego procentu nad zwykłą stopę, płaconą przez właścicieli nieruchomości miejskich, przyczynić się nie może, zwłaszcza w miejscach bardziéj oddalonych od ogniska kapitałów krajowych, jakim jest Warszawa. Jeżeli do tego doliczymy nieuniknione faktorne, koszta notaryalne przy wykréśleniu jednych długów i zaciąganiu drugich, to wydatki, jakie ponoszą rolnicy przy najmie obcych kapitałów, lokowanych bezpośrednio po pożyczce Towarzystwa Kredytowego, bezwarunkowo przenoszą 9% i są wyższe aniżeli procent łącznie z opłatą amortyzacyjną, jakąby płacić musieli bankowi hipotecznemu, udzielającemu pożyczki, nawet na tak ciężkich warunkach, jakie przez Młynarza z nad Warty są przedstawione.

Czy jednak warunki te są rzeczywiście tak ciężkie? Młynarz z nad Warty rozumuje, że pożyczka ulokowana na drugiém miejscu hipoteczném musi płacić wyższy procent od pożyczki mającéj przed nią bezpieczeństwo hipoteczne, a kurs listów zastawnych, reprezentujących niższą pożyczkę, musi być niższy od dzisiejszych listów zastawnych, lepiéj hipotecznie lokowanych. Skoro tedy listy zastawne Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego przynoszą 5%, to listy banku hipotecznego muszą przynosić 6%, skoro kurs dzisiejszych listów zastawnych wynosi w normalnych czasach 91%, to kurs nowych listów wynosić będzie tylko 85%.

Na wniosek ten trudno się zgodzić,—jedno z dwojga, do zaku-

pienia listów zastawnych, lokowanych na niższém miejscu hipoteczném, zachęci albo wyższa stopa procentowa, albo niższy ich kurs, aby przy wyższéj stopie procentowéj jednocześnie i kurs ich był niższy, zdaje nam się bardzo wątpliwe.

Zachodzi daléj pytanie, czy obok zabezpieczenia listów zastawnych banku hipotecznego na drugim numerze hipotecznym, nie można znaléść środków dodatkowego ich zabezpieczenia, zanulowania skutków mniejszego bezpieczeństwa hipotecznego, a skutkiem tego postawienia ich na równi pod względem stopy procentowéj i kursu giełdowego z listami zastawnemi Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego.

Pierwszą i naturalną gwarancyą listów zastawnych, wydanych przez instytucyą akcyjną, a któréj brak w instytucyach na wzajemności opartych, jest kapitał akcyjny. Jeżeli przytém unormowany zostaje stosunek kapitału akcyjnego do emittować się mających listów zastawnych, który tak w zagranicznych, jak i rosyjskich bankach ziemskich przyjęty jest jak 1 do 10, to listy zastawne banku hipotecznego zyskują silną podstawę, która w znacznéj części wynagradza pośledniejsze ich miejsce hipoteczne.

Niektóre banki akcyjne, jak np. Credit foncier, nie poprzestają na rzeczowém bezpieczeństwie dóbr otrzymujących pożyczki, ale żądają jeszcze i osobistéj odpowiedzialności dłużnika. Osobista ta odpowiedzialność jest w wielu razach gwarancyą dla instytucyi, że dłużnik nie zdeprecyuje przez złą wolę lub lekkomyślność majątku, obciążonego pożyczką, za którą nie przestaje być odpowiedzialnym i po utracie głównego zastawu, jakim jest obdłużony majątek.

Znany jest jeszcze jeden środek zabezpieczenia długoterminowych pożyczek, używany przez niektóre instytucye, a mianowicie wymagalność kapitału w razie niewypłacenia rat, lub złego administrowania majątkiem. Przy pomocy tego środka, instytucya może wcześnie zapobiedz zniszczeniu majątku, zagrażającemu bezpieczeństwu pożyczki. Nasze Towarzystwo Kredytowe nie ma możności wypowiadania kapitału ani w razie nieregularnego płacenia rat, ani w wypadku zniszczenia majątku, a skutkiem tego niedbały, lub nieuczciwy dłużnik ma sposobność przez wiele lat plądrowania w majątku i doprowadzenia go do ostatecznéj ruiny.

W związku z tym środkiem zabezpieczenia pożyczek pozostaje dana instytucyi możność rozciągnięcia dozoru i kontroli nad systemem gospodarstwa w zastawionych dobrach.

Mieliśmy sposobność czytać wygotowany u nas projekt banku akcyjnego, który, obok wszystkich powyższych środków zabezpieczenia listów zastawnych, zaleca nadto utworzenie kapitału gwarancyjnego z opłat amortyzacyjnych w pierwszych kilku latach na

wzór Towarzystwa Kredytowego Miasta Warszawy, które opłaty amortyzacyjne w przeciągu dwóch pierwszych lat nie przeznacza na umorzenie, ale na kapitał zasobowy, pozostający własnością dłużnika, lecz wymagalny dopiéro po umorzeniu całkowitéj pożyczki.

Zastosowanie przez bank hipoteczny wszystkich tych środków zabezpieczenia pożyczek usunie jeśli nie w zupełności, to w znacznéj części skutki wypływające z umieszczania jego listów zastawnych na drugiém miejscu hipoteczném, a tém samém wpłynie na usunięcie w części, lub może nawet w całości różnicy pomiędzy ich wartością giełdową, a tąż wartością dzisiejszych listów zastawnych.

Autorowie wzmiankowanego projektu mają tyle zaufania do powyższych środków dodatkowego zabezpieczenia listów zastawnych, iż nie wahają się emittować ich z kuponem 5%.

Drugi powód, jaki wedle twierdzenia Młynarza z nad Warty uczyni pożyczkę banku hipotecznego uciążliwą dla dłużnika, będzie wygórowane wynagrodzenie, jakie sobie prawdopodobnie kapitaliści za swe usługi płacić każą. W poparciu swego twierdzenia, autor przytacza argument, że kapitał tak u nas jak wszędzie jest kosmopolitą, egoistą, mającym przedewszystkiém na widoku siebie i swój interes. W zupełności w tym punkcie zgadzamy się z szan. autorem i pragnęlibyśmy, aby jak najszersze uznanie zyskała ta prawda, że kapitał nie powoduje się żadnemi względami plemiennemi, ani kastowemi, że kapitał nie wié co to są nasi lub obcy, ale ma przed sobą jednę tylko gwiazdę przewodnią, jeden ideał,—zysk, procent.

Zdawałoby się, że autor wychodząc z takiego założenia powinien był dojść do wniosku, że dla kapitału wszystko jedno, czy idzie na usługi kramarza z za Żelaznéj Bramy, czy szlachcica z jakiéjś Wólki, czy zysk osiągnie na Moszku, czy na Panu Pawle. Tymczasem, wedle obliczenia Młynarza z nad Warty, kapitał krajowy zwrócony ku rolnictwu nie poprzestanie na mniejszém wynagrodzeniu jak 24% a nawet 29%; powszechnie zaś wiadomo, że operujące w kraju naszym instytucye finansowe nie udzielają tymże samym kapitałom krajowym większéj dywidendy, jak około 8%.

Zdyskredytowawszy w powyższy sposób projekta akcyjnych banków hipotecznych, Młynarz z nad Warty proponuje w to miejsce zorganizowanie Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, w ten głównie sposób, aby ono powróciło do metalicznéj podstawy swych listów zastawnych i zmieniło przepisy o taxie.

Przedewszystkiém, proponując reformę Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, należy uwzględnić tę okoliczność, iż instytucya rozwi-

jająca się pomyślnie przeszło pół wieku, mająca w obiegu listy zastawne na 90.000.000 rs., ma swoję historyą i tradycyą, swe zasady, wypróbowane przez nas i doświadczenie, od których z łatwością nie odstępuje. Instytucya taka nie jest skorą do nowych experymentów, do rzucania się na nowe tory, które mogą zachwiać jéj byt lub kredyt. W ostatnich czasach mieliśmy całą powódź projektów, zmierzających do zmiany lub rozszerzenia działalności Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego; władze zaś Towarzystwa, mając przed sobą cyfrowe rezultaty, osiągnięte z dotychczasowéj działalności instytucyi, nie spieszyły się z zamianą tych pozytywnych danych na idealne pomysły.

My z naszéj strony bynajmniéj konserwatyzmu tego nie pochwalamy, konstatujemy tylko fakt, który leży w naturze rzeczy i z którym liczyć się należy. Wstrzymanie przeto utworzenia banku hipotecznego, w widokach możliwego zastąpienia go reformą Towarzystwa Kredytowego, jest to łudzenie łaknącego kredytu rolnictwa nadzieją, nader daleką i wątpliwą.

Przypuściwszy wszakże, że Władze Towarzystwa Kredytowego nie uchyliłyby się od dania ucha tak poważnemu głosowi, jakim jest bezwątpienia głos Młynarza z nad Warty, którego praca wyróżnia się od wielu innych, czyby w tym wypadku należało iść za jego radą?

Nikt nie zaprzeczy, iż nader pożądane, a nawet konieczne dla ekonomicznego rozwoju państwa jest uporządkowanie cyrkulacyi pieniężnéj w ten sposób, aby środek wymiany oparty był na podstawie metalicznéj; doprowadzenie jednak do skutku ważnéj téj reformy nie leży ani w atrybucyi, ani w mocy instytucyi takiéj, jaką jest Towarzystwo Kredytowe Ziemskie.

Usiłowania jego w tym względzie byłyby bezskuteczne. Wierzytelność Towarzystwa Kredytowego z r. 1869 wynosi około 86.000.000 rubli; od sumy téj stowarzyszeni opłacają półrocznie $3\frac{1}{5}$% na amortyzacyą, procent i koszta administracyi, czyli sumę około 2.750.000. Cyfra ta stanowi kroplę w morzu cyrkulacyi papiérowéj. Przy pomocy tych opłat w rublu metalicznym nie zdołanoby wypchnąć z obiegu 1.039 922.000 rubli kredytowych.

Konwersya biletów zastawnych emittowanych w rublu kredytowym na listy zastawne metaliczne nie jest bynajmniéj powróceniem do pierwotnych zasad Towarzystwa Kredytowego, ale jest wstąpieniem na drogę zupełnie nową, w przeszłości naszéj instytucyi nieznaną. Metaliczne bilety zastawne Towarzystwa Kredytowego emittowane były do roku 1855 w kraju, w którym cyrkulacya pieniężna oparta była na metalu, gdzie nie było różnicy pomiędzy biletem bankowym a monetą metaliczną, gdyż bilet bankowy mógł

być w każdéj chwili na srebro zamieniony. Od czasu zaś kiedy bilet kredytowy Cesarstwa pozyskał kurs przymusowy w Królestwie, kraj nasz pod względem cyrkulacyi pieniężnéj dzieli los Cesarstwa. W roku 1825 i latach następnych można było stanowić prawa, że każdy członek Towarzystwa płacić będzie raty w monecie srebrnéj grubéj, kurs w kraju mającéj, licząc na stopę wartości rzeczywistéj srebra $86^{80}/_{125}$ złp. z czystéj grzywny kolońskiéj, lecz jestże dzisiaj zadekretowanie takiego prawa możebne?

Możebne jest, ale czy z korzyścią dla biorącego pożyczkę rolnika, którego interes zarówno nam, jak i Młynarzowi z nad Warty tak bardzo na sercu leży? Autor nie przeczy, że niedogodności wynikłyby wielkie, ale niedogodności te uważa on tylko za chwilowe. „Przekonanoby się rychło, że na zapłacenie raty towarzystwa brzęczącą monetą, potrzebaby sprzedać nie więcéj pszenicy, żyta, lub innego towaru zagranicą pożądanego, ile go sprzedać trzeba obecnie przy dzisiejszych cenach zagranicznych i przy dzisiejszym kursie rubla papiérowego, tak korzystnie na te ceny oddziaływającego.“ Przekonanoby się może o tém rzeczywiście, ale wówczas dopiéro, gdyby powszechna zamiana monety papiérowéj na metaliczną doszła do skutku. Dopóki zaś marzenie to Młynarza z nad Warty, które zresztą cały kraj z nim dzieli, urzeczywistnione nie zostanie, dopóki stan dzisiejszy zmianie nie ulegnie, dopóki rolnik wartość sprzedawanych produktów otrzymywać będzie w zdeprecyonowanym rublu, dopóty na zapłacenie raty towarzystwa brzęczącą monetą stowarzyszony będzie musiał sprzedawać około 60% więcéj pszenicy lub żyta, aniżeli go sprzedać potrzebuje dzisiaj, kiedy ma obowiązek płacenia raty rublem kredytowym, a mianowicie takim, jaki sam otrzymuje.

Gdyby możebne było skonwertowanie biletów zastawnych, emittowanych w rublu kredytowym na bilety zastawne metaliczne, w takiéj chwili, kiedy kurs rubla kredytowego będzie najniższy, i gdyby można było osiągnąć pewność, że przez cały 42 letni okrés umorzenia kurs tego rubla będzie wysoki, byłaby to najszczęśliwsza operacya finansowa, jaka kiedykolwiek dokonaną została. Ale kto jest w stanie wynaléźć owę chwilę, kiedy kurs metali dojdzie u nas do zenitu, i kto zapewnić może, jaki będzie kurs rubla kredytowego w ciągu lat 42.

Rosyjskie banki ziemskie emittowały swe listy metalowe, w czasie kiedy kurs rubla kredytowego stał o kilkanaście do 20% niżéj pari, i rolnicy, którzy w swoim czasie otrzymane listy zastawne w stosunku do tego kursu zrealizowali, musieli w zeszłym i bieżącym

roku płacić raty po kursie około 60% niżéj pari. Łatwo obliczyć jak olbrzymie na téj operacyi ponieśli straty.

Obok strat materyalnych uważamy taką niepewność wysokości zaciągniętego i uiścić się mającego zobowiązania za nader demoralizującą i wciągającą małą klasę rolniczą w sferę spekulacyi. Rolnik nie pilnowałby się terminu raty, ale wyczekiwałby korzystnéj konjunktury kursowéj. W dzisiejszym stanie rzeczy zwykle połowa zastawionych w Towarzystwie Kredytowém dóbr zalega w opłacie przypadających od nich rat. Znaczna część zalegających tłómaczy się tém, iż kary płacone Towarzystwu z tytułu zaległości są niższe, aniżeli procenta płacone od długów prywatnych, wolą przeto płacić kary aniżeli procenta. Gdyby jeszcze obok tego stowarzyszeni mieli sposobność spekulowania na kursie, o ileby stosunek zaległości się powiększył!

Drugą reformą, jaką Młynarz z nad Warty proponuje dla Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, jest zmiana dotychczasowych przepisów o taxie, a głównie usunięcie regulatora z podatku gruntowego. Skutkiem dzisiejszych przepisów najwyższa suma pożyczek Towarzystwa Kredytowego nie może dosięgnąć więcéj jak 30% wartości wielkiej własności ziemskiéj, podczas kiedy wedle zasadniczego prawa z roku 1869 pożyczki mogą być udzielane do wysokości połowy wartości dóbr.

Wedle naszego przekonania umiarkowanie, jakiém się kierują władze Towarzystwa przy udzielaniu pożyczek wynika nie tyle z przepisów o taxie, ile z saméj natury i ustroju instytucyi. Wszelka instytucya finansowa na wzajemności oparta jest zawsze lękliwa w swych operacyach; z jednéj strony obawa o narażanie stowarzyszonych na odpowiedzialność, a z drugiéj brak bodźca interesu osobistego jest w każdém towarzystwie wzajemném hamulcem dla śmiałéj działalności. Natomiast towarzystwa akcyjne, założone w widokach zysku, mające w sobie żywioł spekulacyjny, działają zawsze śmieléj i na szerszą skalę. Otóż braki, jakie czuć się dają skutkiem zbytniéj oględności naszéj wzajemnéj instytucyi kredytu ziemskiego, może uzupełnić bank akcyjny, operujący z natury swéj śmieléj i energiczniéj; bank akcyjny posunie się w praktyce z udzielaniem pożyczek tam, dokąd Towarzystwo Kredytowe nie sięga, jakkolwiek w zasadzie sięgać ma prawo. Współczesne tedy działanie dwóch tych instytucyj, nawzajem się uzupełniających, nie szkodę, ale korzyść kredytowi rolniczemu przynieść może.

Wydawca, **W. Spasowicz**. — Redaktor, **J. Trejdosiewicz**.

Program Książki Jubileuszowéj

dla J. I. Kraszewskiego.



Grono literatów i publicystów warszawskich powzięło na zgromadzeniu r. z. zamiar upamiętnienia 5o-éj rocznicy zawodu literackiego J. I. Kraszewskiego wydaniem książki zbiorowéj, na którą złożyć się mają prace rozmaitych pisarzy polskich, a z któréj dochód całkowity ma pójść na rzecz jubilata. Osoby, wybrane przez owo zgromadzenie do zajęcia się planem i redakcyą wydawnictwa pamiątkowego, zatrzymały się na myśli rzuconéj przez T. T. Jeża, by książka, poświęcona uczczeniu Kraszewskiego, złożyła się wyłącznie z prac o Kraszewskim i jego różnostronnéj działalności. Jakoż myśl tę, z pewnemi niezbędnemi zmianami w szczegółach, Redakcya książki jubileuszowéj ostatecznie przyjęła, i skutkiem tego postanowiono zamieścić w książce zbiorowej:

A. Życiorys znakomitego jubilata.
B. Ocenę jego działalności literackiéj.
C. Artykuły odosobnione ze stosunków z Kraszewskim.
D. Bibliografią dzieł jego.

Skréślenie życiorysu, do którego bogate materyały Redakcya ma zapewnione, a spodziéwa się jeszcze więcéj pozyskać od osób związanych stosunkami z Kraszewskim, nie nastręczy nadzwyczajnych trudności. Znacznie trudniejsza sprawa z ocenieniem sturamiennéj działalności pisarskiéj jubilata.

Wykonanie tego, jedynego w swoim rodzaju, wdzięcznego i, jak mamy nadzieję, pożytecznego przedsięwzięcia, okazało się niełatwém, najprzód z powodu natury pracy zbiorowéj, powtóre z powodu niewyczerpanéj twórczości Kraszewskiego. Z jednéj bowiem

strony, w pracy składkowéj jest prawie niepodobieństwem dojść do mety zgodności wątku i sądu; z drugiéj, nie ma zaiste tak pilnego czytelnika, któryby przeczytał wszystko co napisał Kraszewski, a cóż dopiéro mówić o wertowaniu dzieł, niezbędném dla piszącego o ich osnowie. Jakkolwiek tedy Redakcya nie wątpiła, że studyum prawdziwie organiczne, spójne jednością zapatrywania się i wykładu, mogłoby wyjść tylko od osoby pojedyńczéj; musiała jednak w tym wyjątkowym wypadku uznać zbiorową ocenę prac znakomitego pisarza za jedynie praktyczną i wykonalną.

Sam też rozkład działalności pisarskiéj na pewne odnogi i grupy musiał nastręczać rozliczne uwagi; trudno bowiem członkować to, co samo z siebie jest żywym orgańizmem duchowym, w nader wielorakich, ale zawsze podobnych sobie przejawach. Zgodzono się w tym względzie, iż za przykładem przyrodników, należycie rozumiejących niepodzielność organizmu, a jednak dzielących go na części składowe i traktujących o każdéj z nich po osobno, należy ogromną pracę pisarską Kraszewskiego podzielić według rodzajów przyjmowanych zwykle w literaturze, z uwzględnieniem okoliczności, sprzyjających lub mogących zawadzać wykonaniu rzeczy. Tym sposobem cały zbiór utworów niespracowanego pisarza postanowiono uszykować w następujące szeregi:

I. Powieści.
II. Pisma wierszem liryczne i epickie.
III. Dramata.
IV. Filozofia.
V. Dziejopisarstwo.
VI. Podróże.
VII. Krytyka literacka.
VIII. Prace z dziedziny artystycznéj i archeologii.
IX. Publicystyka.
X. Wydawnictwa literackie.
XI. Drukarstwo i edytorstwo.

Atoli i ten podział, lubo dość szczegółowy, okazał się jeszcze za ogólnym, zwłaszcza co do powieści, których liczba, bezprzykładna w dziejach piśmiennictwa europejskiego, układa się w setki tomów, napisanych, jak wiadomo, bez wyjątku własnoręcznie przez autora. Konieczność zatém zmuszała uciec się do nowych podziałów przynajmniéj grup najliczniejszych. Stanęło tedy na tém, że niektóre powyższe szeregi utworzą po kilka lub więcéj osobnych odnóg, stanowiących o ile można zgodną całość. Tym sposobem zupełny podział oceny zawodu pisarskiego jubilata ułożył się jak następuje:

I. Powieści.

1. Powieść obyczajowa ogólna w okresach:

a) od roku 1831 do 1839;

b) „ „ 1840 „ 1849;

c) „ „ 1850 „ 1855;

d) „ „ 1856 „ 1860;

e) „ „ 1861 „ 1871;

f) „ „ 1872 „ 1878;

2. Powieść ludowa — jedno osobne opracowanie.

3. Powieść historyczna:

a) cykl dzieł obecnie wychodzących nakładem Spółki księgarzy warszawskich;

b) dzieła na tle wieku XVI i XVII;

c) dzieła z epoki Sasów;

d) dzieła z epoki Stanisławowskiéj;

e) utwory z dziejów Rzymu.

II. Utwory poetyckie liryczne i epickie — jedno opracowanie.

III. Dramata — jedno opracowanie.

IV. Filozofia — jedno opracowanie.

V. Dziejopisarstwo:

a) Dzieje Wilna;

b) Dzieje całéj Litwy;

c) Inne późniejsze prace historyczne.

VI. Podróże — jedno opracowanie.

VII. Krytyka literacka — jedno opracowanie.

VIII. Prace z dziedziny artystycznéj i archeologii — jedno opracowanie.

IX. Publicystyka:

a) Redakcya *Athenaeum;*

b) redakcya *Gazety Codziennéj (Polskiéj);*

c) redakcya innych pism i współpracownictwo.

X. Wydawnictwo literackie (pamiętniki, podróże etc.) — jedno opracowanie.

XI. Drukarstwo i edytorstwo (w Dreźnie) — jedno opracowanie.

Całkowitą więc działalność pisarską Kraszewskiego wypadło rozdzielić przeszło na dwadzieścia pięć grup osobnych, z których pomimo tego większa część po kilkanaście i kilkadziesiąt dzieł obejmuje, co zmuszać będzie piszących o niektórych dziełach do ograniczenia się na utworach typowych, by się utrzymać w obrębie artykułowi zakreślonym. Przeciwko niedogodnościom koniecznego

rozdrobnienia pracy, znajdzie się niewątpliwie środek w jedności myśli i uczuć wszystkich piszących o Kraszewskim w uroczystym dla niego roku — w wyborze rozmaitych punktów wyjścia pracy, mianowicie między piszącymi o powieściach obyczajowych — nareszcie w upoważnieniu Redakcyi, którego autorowie zapewne jéj nie odmówią, do czynienia niezbędnych zmian przy wiązaniu odosobnionych rozdziałów.

Rozkład pracy w wyborze punktu wyjścia pomiędzy piszącymi o powieściach, rozumiemy w tém znaczeniu, że przy ocenianiu całości każdéj grupy, piszący nie będzie spuszczał z oczu rzeczy najważniejszéj, to jest stosunku osnowy dzieła do myśli krążących w społeczeństwie, tudzież zgody formy artystycznéj z treścią; ale zarazem może według wyboru, w porozumieniu z innymi piszącymi, więcéj zwracać uwagi na dane punkta szczegółowe. Dorywcze w takim razie wybieganie wstecz i naprzód po za okrés obrany, jedynie dla porównań i rozszerzenia wywodów, może być niezbyteczne, zwłaszcza przy pożądaném unikaniu ogólników i rozpraszaniu się zawsze towarzyszącego ogarnianiu zbyt rożnorodnych szczegółów. Porozumienie się we względzie takiego rozkładu tematów między pracującymi, Redakcya najskwapliwiéj ułatwić się postara, skoro każdy życzenie jéj swoje objawić zechce.

Co do prawa czynienia niejakich zmian w artykułach, prawie zbytecznie jest powiadać, iż Redakcya, w interesie jedności dzieła, korzystać będzie z upoważnienia jak najoszczędniéj i tylko w razie nieuniknionéj potrzeby. Jedność w jéj oczach nie wyłącza rozmaitości.

Nareszcie co do wspólności uczuć i myśli piszących nie rozumiemy pod temi wyrazami jałowego panegiryzmu, lecz jedynie wykazywanie doniosłości utworów, branych pod ocenienie, oraz sąd ściśle objektywny, w formie spokojnéj i właściwéj przedmiotowi. Wyrażenie starożytne o Platonie i prawdzie bodaj czy nie było zbyt samochwalcze; my nie chybimy celu, gdy i Platona i Prawdę *równą* miłością kochać będziemy.

Te ostatnie wyrazy kładziemy téż na sercu osobom pragnącym zasilić wydawnictwo luźnemi ustępami, czy to o stosunkach osobistych z Kraszewskim, czy téż o pewnéj stronie jego zawodu publicznego, jak np. wspomnienia z czasów szkolnych i uniwersyteckich, pobyt w Gródku i Hubinie, kuratorstwo gimnazyum i dyrekcya teatru w Żytomierzu, zwyczaje w domu Kraszewskiego zachowywane, strona zewnętrzna jego wyjątkowéj działalności pisarskiéj, typy wyprowadzane przezeń w powieściach i dramatach i t. p. Kto nie ma zamiaru sam skréślić pewnego epizodu, a posiada potrzebne ku temu materyały, tego Redakcya najuprzemiéj uprasza o użyczenie jéj owych

materyałów dla zrobienia odpowiedniego użytku, czy to w życiorysie, czy w artykule osobnym, stosownie do osnowy. Jeżeli temi materyałami będą listy lub inne dokumenta, jest rzeczą nader upragnioną dla Redakcyi otrzymać je w orginale, przyczém zwrot ich zapewnia się najuroczyściéj. W razie niemożności wysłania orginałów, upraszamy o kopie wierzytelne, które téż z wdzięcznością będą przyjęte.

Do bibliografii prac Kraszewskiego pożądane są szczególniéj wiadomości o utworach rozproszonych po czasopismach, wychodzących w różnych okolicach i w różnych czasach. Dokonać tego, w stosunkowo krótkim czasie, można jedynie siłami zbiorowemi.

Objętość książki ma wynosić około 40 arkuszy druku wielkiéj ósemki, w skutek czego na pojedyńczy artykuł jedynie wyjątkowo przypadać może około 2-ch arkuszy, w ogóle zaś muszą być krótsze.

Termin nadesłania artykułów oznaczony został na dzień 1-szy Grudnia roku 1878. Atoli wcześniejsze nadesłanie jest nader pożądane i z wdzięcznością przez Redakcyą będzie przyjęte.

Adres Redakcyi: **Antoni Pietkiewicz**,
w Warszawie, Nowy-Świat Nr. 39.

W tych dniach opuścił prasę tom III-ci **„Zbioru Praw“**, który jest dalszym ciągiem dawniejszego wydawnictwa „Dziennika Praw Królestwa Polskiego“. Tom ten obejmuje postanowienia i rozporządzenia rządu za rok 1873, dotyczące dziesięciu gubernij Królestwa Polskiego a zebrane z urzędowego wydawnictwa Senatu Rządzącego, p. t. *Sobranije uzakonienij i rasporjażenij prawitelstwa.*

„Zbiór Praw“, obok tekstu rosyjskiego ustaw, obejmuje przekład ich na język polski, oraz odpowiednie spisy i skorowidze. Przeznaczony jest do podręcznego użytku nietylko wszystkich władz i urzędników, ale nadto i dla ogółu publiczności, która, ulegając powszechnéj zasadzie „nieznajomością praw nikt zasłaniać się nie może“, na zapoznaniu się z obowiązującemi ją przepisami wiele zyskać jest w stanie.

Zbiór Praw nabywać i prenumerować można w Redakcyi Niwy (Marszałkowska Nr. 54), oraz we wszystkich księgarniach.

Następny, to jest tom IV „Zbioru Praw“ wyjdzie w miesiącu Czerwcu i obejmować będzie prawodawstwo za rok 1874.
